

Lauren

Baratz-Logsted

Cienka

różowa kreska

PROLOG

planowane rodzicielstwo albo kulisy historii

- Palma ci odbiła, Jane?

Nie będzie „Ostatniej nocy śniło mi się, że znów jestem w Manderley” ani „To były najlepsze czasy, ble, ble, ble...”, przyznaję, ale wystarczy tego na historię mojego życia.

- Odbiło ci, Jane?

Nie, może lepiej nie zaczynać w tym miejscu przez wzgląd na pierwsze wrażenie.

Okej. Spróbujmy po raz ostatni. Tu głęboki oddech:

Nie planowałam zająć w ciąży, przysięgam, choć potrafię zadać sobie wiele trudu, żeby osiągnąć to, co chcę. Tłumaczyłam sobie wtedy, że złożyły się na to dwie okoliczności: niebываła zwierzęca namiętność i wada fabryczna. Zdarza się, prawda? Niemożliwe, żeby wszystkie nieplanowane ciąży tego świata przytrafiały się ludziom na tyle głupim, żeby angażować się w seks bez zabezpieczenia. Jeśli chodzi o namiętność i wadę, przynajmniej tak się rzeczy miały, gdy po raz pierwszy byłam w ciąży... ale przecież w rzeczywistości nie byłam.

Może lepiej cofnę się trochę w czasie i wyjaśnię.

Otóż Trevor i ja zaliczyliśmy w tamten weekend kolejny ślub znajomych, więc ja, oczywiście, wpadłam potem w zrozumiałe przygnębienie. W końcu nie byłam ani Trendowym Singlem, ani nawet spostonowaną Nadętą Mężatką, lecz tym czymś najniższym w towarzyskiej hierarchii, mieszkanką i współmieszkanką osławionego kobiecego czyścica, Występną Kobiętą Niezameżną. A więc po tamtym ślubie

Trevor, jak to Trevor, ponieważ wiedział, że nie jest gotów mi się oświadczyć, ale chciał mi jakoś poprawić samopoczucie, dał z siebie wszystko w łóżku.

Zawsze mnie dziwiło, jak często smutek i fantastyczny seks idą ze sobą w parze. Z tego, co słyszę od innych kobiet, z nimi musi być inaczej. Niech to diabli, czasami myślę, że z innymi ludźmi wszystko jest inaczej. Ale dla mnie im więcej melancholii, tym lepszy seks. Jeśli jestem naprawdę szczęśliwa, to pewnie coś jem i nawet robię to z przyjemnością, a seks jest ostatnią rzeczą, która przychodzi mi do głowy.

Ale wracam do Trevora, fantastycznego seksu i ciąży. Więc uprawiamy fantastyczny seks po-nie-swoim-ślubie, a ja myślę o tym, że ostatnio wszyscy moi znajomi nie tylko się pobierają, ale nawet mają dzieci. Nagle dopada mnie myśl: A gdybym tak zaszła w ciążę? Właściwie ta myśl pojawiła się dopiero wtedy, gdy Trevor doprowadzał mnie do finiszu, z profilaktyczną gumką, jak trzeba, a potem całkiem wyleciało mi to z głowy.

Do czasu, kiedy w spodziewanym terminie nie dostałam okresu. Trzy tygodnie później.

Oczywiście natychmiast się zwierzyłam swojemu najlepszemu przyjacielowi Davidowi (jego imię wymawia się „Da-wiid”)-

- Ale to wspaniała nowina, prawda, Jane? - spytał swoją nazbyt precyzyjną angielszczyzną.

David mieszkał w tym samym domu co Trevor i ja, piętro wyżej. Nieco wyżej niż przewiduje minimalna norma dla armii izraelskiej, w której kiedyś służył - zdaje się, że oni wszyscy to robią, prawda? To znaczy Izraelczycy - on był absolutnie fenomenalny. Ze swoją skłonnością do noszenia obcisłych T-shirtów i niebieskich dżinsów w stylu wczesnych lat osiemdziesiątych, wydawał mi się jedynym argumentem przemawiającym za powrotem dżinsów marki Jordache. Miał też czarną kręconą czuprynę, która wraz ze śniadą cerą nadawała mu semicki profil Juliusza Cezara. Były pilot myśliwca, powiedzmy pilot gej, próbował teraz

wyjść na swoje jako szef kuchni we własnym bistro „Covent Garden”, na razie wciąż na etapie planowania.

- Do armii izraelskiej, Jane, cokolwiek by mówić, bierze się gejów i kobiety, i wszystkich innych, którzy potrafią obchodzić się z uzi - powiedział kiedyś, dzieląc się ze mną resztą burgunda, której nie zużył do „wołowiny duszonej po burgundzku”, na którą z jakichś powodów nie przyszedł jego kochanek.

Kiedy David zasugerował, że moja licząca kilkanaście dni ciąża jest wspaniałą nowiną, uznałam, że się z nim zgadzam. W końcu nie było tak, żebym rozmyślnie próbowała usidlić Trevora, ale to bez wątpienia załatwiłoby sprawę. Trevor był takim pocziwym Dudley Do-Right *, że na pewno by się ze mną ożenił.

Nawet nie pomyślałam wtedy o tym, co by naprawdę znaczyło prawdziwe dziecko.

Nie pomyślałam też o emocjonalnych konsekwencjach zwierzenia się innym ludziom niż ojciec, zanim zwierzyłam się ojcu. To była jedna z tych rzeczy, które mieszczą się pod nagłówkiem „NIE PLANOWAŁAM TEGO W TEN SPO-SÓB, ALE...” W tym przypadku „ale” miało związek z radością, z jaką odebrał nowinę David. (A jemu powiedziałam pierwszemu tylko dlatego, że Trevor wyjechał na tydzień w interesach do Singapuru).

Zachwycona tym, jak uszczęśliwiła go moja ciąża, zaczęłam o niej rozpowiadać innym ludziom. Och, nie żebym przesadziła - no, może trochę - nie zrobiłam przecież niczego tak głupiego jak wygadanie się mojej matce albo siostrze czy nawet dziewczynom z pracy, ale fakt, że powiedziałam pakistańskiemu kioskarzowi z dołu („Proszę, weź trochę curry - na szczęście”), policjantowi, który pomógł mi wyłamać zamek, gdy pewnego wieczoru zamknęłam mieszkanie z torbą z kluczami w środku („Teraz, kiedy

* Dudley Do-Right - sumienny funk'onarusz Królewskiej Konnej Policji z amerykańskiej komedii Hugh Wilsona (przyp. tłum.).

jest was dwoje, musisz na siebie bardzo uważać") i jakimś dziwnemu nieznanemu.

Wystarczyło, żeby dać mi przedsmak tego, jak się żyje drugiej połowie. Ich reakcje, razem wzięte, sprawiły, że zaczęło mnie ogarniać przyjemne ciepło. Nabierałam wrażenia, że, być może, gdyby ominęło mnie bycie w ciąży, przepuściłabym szansę dla tej planety na bycie pięknym wspaniałym światem.

Należąc do gatunku ludzi, którzy niczego nie robią połowicznie, zaczęłam śledzić ciężarne kobiety. Całą sobotę poprzedzając powrót Trevora snułam się za przypadkowo napotkanymi przyszłymi matkami, aż w końcu uczepliłam się jednej, która wyglądała na tak bliską rozwiązaniu, że w każdej chwili, jak mi się zdawało, mogłam okazać się pomocna.

I jakże niesamowitych rzeczy się dowiedziałam! Przechodząc w ślad za moim celem obserwacji przez ciężkie drzwi, ze zdziwieniem zobaczyłam, że mężczyzna, który szedł przed nami, zawraca, żeby cierpliwie przytrzymać drzwi, aż kobieta przecisnie się do środka. Wciąż wyrażałam uśmiechem swoje zdumienie, gdy on puścił te drzwi tak szybko, że zdążyły trzasnąć mnie w twarz. Widocznie fakt, że nie dźwigałam przed sobą odpowiednika worka mąki, czynił mnie niewidoczną, a przynajmniej niewymagającą żadnych uprzejmości.

Zresztą, kiedy tak deptałam jej po piętach, to niezwykła uprzejmość, którą jej okazywano, robiła na mnie największe wrażenie, choć byłam autentycznie zaszokowana, gdy jakiś stary pijaczyna ustąpił jej w metrze miejsca. Nie, bardziej poruszało mnie to, że ludzie do niej naprawdę mówili, cały czas; kompletnie obcy faceci, którzy mogliby ominąć własne matki w rynsztoku, ciągle robili jakieś uwagi i zadawali jej pytania w niewiarygodnie troskliwy sposób: „Kiedy rozwiązanie?” albo: „Wiesz już, czy to chłopiec, czy dziewczynka?” albo: „Wiosenne dzieci są wyjątkowe - po prostu słoneczne aniołki, tak, tak”; to ostatnie wyszło z ust opuchniętego starego pijaka.

Boże, to było tak, jakby ktoś ją obsypał czarodziejskim pyłem! Jej egzystencja wydawała się tak cudowna, że po prostu marzyłam, żeby się przekonać, czy mój epizod z ciążą okaże się tym samym.

Jedyny problem polegał na tym, że gdy już miałam powiedzieć Trevorowi, który wrócił z podróży w samą porę, żeby wziąć udział w przedcelebracyjnej kolacji, wydarzyła się dziwna rzecz. Stojąc na krawędzi mojej wspaniałej przyszłości, podczas serwowania porcji cielęciny w potrawce, którą David przyrządził wcześniej, żebym udała, że ja ją przyrządziłam, poczułam niepożądane ukłucie bólu w krzyżu.

- Niech to szlag - zaklęłam pod nosem, ledwie się powstrzymując, żeby nie odstawić z hukiem garnka z powrotem na kuchenkę.

- Co się stało, Jane?

- Nic. Po prostu zabolał mnie kręgosłup.

- Uhm - mruknął w roztargnieniu, dalej grzebiąc w korespondencji, której nagromadziło się sporo podczas jego nieobecności. - Może powinnaś wziąć tylenol?

- Nie, nie. Na pewno mi przejdzie. - Rozpromieniłam się.

- Możemy zacząć jeść?

Chwilę później patrzyłam, jak Trevor nadziewa na widelec kawałek mięsa.

- Jane, naprawdę świetne! Popatrz, jaka to frajda, kiedy się zaprziesz, żeby zrobić coś domowego.

To brzmiało obiecująco.

Pożuł jeszcze trochę - miał w zwyczaju żuć każdy kęs około pięćdziesięciu czterech razy - i rozłożył gazetę, żeby sprawdzić, co się działo na miejscu, kiedy go nie było. Z oczami wlepionymi w jakąś historyjkę o Karolu i Camilli spytał z roztargnieniem:

- Mówiłaś, że chcesz mi o czymś powiedzieć, prawda?

- Zerknął na mnie, ziewając, wyraźnie zmęczony długą podróżą. - Zapowiedziałaś, że z jakiegoś powodu napasiesz mnie do zdechu.

- Jestem w ciąży - powiedziałam, przypominając sobie prosty scenopis, który ułożyłam wcześniej tego dnia. - Spóźniam się i myślę, że to musi być ciąża.

Trevor nie raczył nawet podnieść jeszcze raz wzroku.

- A, o to chodzi. - Przerzucił następną stronę. - Przydarażło się to klaczy wyścigowej Sam's Dolly i okazało się, że to ciężki przypadek anoreksji spotęgowanej odrzucaniem treści żołądkowej. - Potem uśmiechnął się do mnie, uprzejmie, z pobłażaniem. - Ale może sobie kupisz jakiś domowy test? To powinno rozwiać twoje obawy.

Okej, więc może nie była to dokładnie taka reakcja, jaką sobie wyobrażałam, ale był to początek.

Mogłabym się spodziewać, że Trevor na wiadomość, że będziemy mieli dziecko, zapragnie się ze mną tej nocy namiętnie kochać. Ja bez wątpienia chciałam się z nim namiętnie kochać.

Ale nie.

- Przepraszam, Janey. - Poklepał mnie po ramieniu, gdy robiłam miłosne podchody w łóżku. - Jestem po prostu wykończony długim lotem. Poza tym wiesz, jak usypiająco działa na mnie czerwone mięso. Może rano?

- Nie ma sprawy - powiedziałam, patrząc, jak się odwraca na bok, nie dając mi nawet szansy na wytłumaczenie, dlaczego nie ma sprawy.

A naprawdę nie było sprawy. Jasne, że akurat wtedy chciałabym być z nim fizycznie blisko. Pomyślałam sobie jednak, że niby cóż tak naprawdę znaczy strata jednej upojnej nocy w całej tej sytuacji? Trevor i ja mieliśmy mieć wspólne dziecko! Ja nareszcie miałam mieć to, co mieli wszyscy inni!

Stałam się - powiedzmy śmiało - sentymentalna.

Leżałam przy nim, rojąc o naszej wspólnej przyszłości: spacerach z wózkiem, chodzeniu na mecze rugby albo pokazy taneczne - albo nawet na jedno i drugie, gdybym miała bliźniaki; byciu częścią tego pięknego, wspaniałego

świata, który objawił mi się na moment, gdy śledziłam inne ciężarne.

Zastanawiałam się potem, co to będzie oznaczało dla mnie osobiście: stanę się wreszcie członkinią klubu. Po latach przeżytych na marginesie tego, co dla innych kobiet tworzyło normalne kobiece przyjaźnie, w końcu miałam uzasadniony powód, żeby włączać się do ich rozmów. Mogłybyśmy plotkować - och, nie wiem - o wysypkach niemowlęcych, o czymkolwiek. Zresztą nieważne, tak naprawdę, o czym. Liczyło się to, że będę jedną z grupy.

Myślałam i marzyłam, i myślałam, i marzyłam...

Cholera! Znow ten pieprzony ból w krzyżu, tylko że teraz silniejszy i promieniujący do brzucha.

Westchnęłam i pognałam do łazienki, żeby skorzystać z rady Trevora i wziąć tylenol.

Zapaliwszy światło, chwyciłam szklanekę i dwie pigułki z plastikowej buteleczki. Już miałam je połknąć, kiedy przypomniałam sobie coś jak przez mgłę - o tym, że kobiety w ciąży nie powinny zażywać pewnego rodzaju środków przeciwbólowych, że są one niebezpieczne dla rozwijającego się płodu. Czy chodziło o aspirynę? Czy może o tylenol? Nie mogłam sobie przypomnieć. Pokręciłam głową, wrzuciłam pigułki z powrotem do buteleczki, odstawiłam szklanekę. Nie warto ryzykować. Ból mogłam jakoś znieść. W końcu miałam dziecko i musiałam o nie dbać.

No dobrze, pomyślałam. Skoro już tu jestem, mogę się wysikać.

Opuściłam majtki, usiadłam na sedesie.

Oczywiście dostałam okres.

Nie byłam w ciąży.

Nie wiem, dlaczego zrobiłam to, co później zrobiłam, ale spuściwszy wodę, bez zastanowienia zwinęłam w kulkę zaplamione majtki, zawinęłam je w papier, na paluszkach przeszłam przez całe mieszkanie i zagrzebałam je w kubie na śmieci pod resztkami z kolacji. Potem równie cicho wróciłam

do sypialni, wyjęłam parę czystych majtek, poszłam do łazienki, żeby założyć podpasękę i podreptałam z powrotem do łóżka.

Trevor się poruszył.

Ciii, mój umysł przesyłał mu gorliwie wyszeptaną prośbę, żeby spał dalej, podczas gdy ja leżałam na boku, patrząc, jak śpi beztrzesko, i zastanawiałam się, jak mu powiedzieć, że jednak nie jestem w ciąży.

Przysięgam, że już wyciągałam rękę, żeby go obudzić i powiedzieć, co odkryłam, gdy - odwrotnie niż w ogranych nieco opisach doświadczeń ludzi, którym w obliczu śmierci ukazuje się cała ich przeszłość - mnie przemknęła przed oczami moja przyszłość.

Zgoda, może nie była to moja realna przyszłość: przyszłość Jane Taylor, nadal singla, bo przecież nie byłam w żadnej ciąży. Nie, to była moja potencjalna przyszłość jako żony Trevora, jako matki, jako jednej z Klubu, przyszłość jawiąca się jako piękny, wspaniały świat, o który ledwie się otarłam, śledząc tamtą kobietę; potencjalna przyszłość, z której musiałabym zrezygnować w tym samym momencie, w którym powiedziałabym Trevorowi prawdę.

Nagle pomyślałam o tym, jak zareagował Trevor, kiedy mu powiedziałam, że jestem w ciąży, gdy jeszcze sama w to wierzyłam.

Nigdy się nie dowiem, co to było: uraza z powodu obcesowego zachowania Trevora, fakt, że sama się wystawiłam, mówiąc najpierw innym (choć jednym z nich był David, z którym Trevor nigdy nie rozmawiał, a pozostali byli ludźmi, których żadne z nas nie znało), czy też układ gwiazd i planet - w każdym razie, tamtej nocy zrobiłam dziwną rzecz. W sekundę, bez zastanowienia, skoczyłam w przepaść.

Skokiem w przepaść było to, że kiedy Trevor poruszył się znowu, mrużąc nieprzytomnie: „Nie śpisz jeszcze? Wszystko w porządku, Janey?“, zamiast powiedzieć mu prawdę, odpowiedziałam tylko: „Tak, tak, śpij“.

Wytłumaczyłam sobie, że nie robię nic strasznego, nie niówiąc mu natychmiast. W końcu to nie było tak, żeby zareagował z przerażeniem na sam pomysł, że będziemy mieli dziecko. Nie, odniosłam wrażenie, że w ogóle się tym nie przejął. Właściwie przyjął to z obojętnością.

Jeszcze raz sobie powiedziałam, że nie robię nic strasznego.

Potem wymknęłam się na górę, żeby przekonsultować sprawę ze swoim najlepszym przyjacielem.

- Powiedziałaś mu? - spytał David.

- Tak.

- Więc dlaczego masz taką ponurą minę?

- No więc...

- Jane. - Wypowiedział moje imię, jakby ono samo było upomnieniem.

- Widzisz... chodzi o to, że już nie jestem w ciąży. A właściwie nigdy nie byłam.

Co do mnie, o ile jeszcze o tym nie wspomniałam, to kochałam Davida całym sercem i duszą. W ogóle myślę, że jeśli dziewczyna ma na tyle szczęścia, żeby mieć przyjaciela geja, musi być dla niego miła, prawda? W końcu tylko na nich można naprawdę polegać.

- Palma ci odbiła, Jane?

W swojej idiomatycznej angielszczyźnie David robił wyrażne postępy.

- Spróbuj mnie oświecić - grał na przewagę słowną, nie dając mi nawet chwili na odpowiedź na jego retoryczne pytanie. - Już wiesz, że nie jesteś w ciąży, ale nie dzielisz się tą wiedzą z ojcem swojego nieistniejącego dziecka. Wolno zapytać, co masz zamiar dalej robić? Przecież nie da się udawać ciężarnej w taki sam sposób, w jaki zawodowy morderca mógłby udawać zwykłego faceta.

- No wiesz... - Wzruszyłam ramionami, siłąc się na uśmiech. - Niby taki był plan.

- Więc masz jakiś plan? Jane, zaczynasz mnie naprawdę przerażać.

- Właściwie nie mam jeszcze pełnego planu, tylko jego początki.

- I co zamierzasz robić przez te dziewięć miesięcy? Nie sądzisz, że Trevor zacznie w końcu się domyślać, że nie będzie dziecięcego gruchania? Jane!

- No dobrze. To nie jest żaden wielki plan. Powiedziałam ci, że to tylko częśćka planu. Chodzi o to, że skoro już powiedziałam Trevorowi, że jestem w ciąży, a on nie wpadł w szał, mogłabym to pociągnąć i zająć w ciążę. To nie jest tak, że zastawiam na niego sidła, w konwencjonalnym sensie, bo z jego zachowania widać, że niespecjalnie się tym wszystkim przejął. To raczej sama siebie złapałam w sidła.

- Mogłabyś, oczywiście, uciec się do prawdy, Jane.

Uznałam, że to niewarte odpowiedzi.

Potem wytłumaczyłam Davidowi, jak piękne wydało mi się bycie w ciąży.

- Zrozum - powiedziałam na koniec - nie mogę z tego zrezygnować.

- Nie możesz zrezygnować z tego piękna ciąży? Ale ty nie jesteś w ciąży. Nie sądzisz, że stawiasz wszystko na głowie?

- Czepiasz się drobiazgow.

- Drobiazgow?

- Tak, drobiazgow.

- To znaczy...?

- To znaczy, że zajdę w ciążę. Tylko z kolejnością rzeczy trochę się pochrzaniło. Uda się, zobaczysz.

David pokręcił głową.

- Nigdy nie zrozumieję, dlaczego tak strasznie chcesz za niego wyjść, za ten okaz męskości. Swoją drogą, co powiedział Trevor, kiedy usłyszał nowinę?

pierwszy trymestr

pierwszy miesiąc

Tak naprawdę, gdyby się nad tym głębiej zastanowić, to wszystko była wina Trevora, bo to on zasugerował, żebym kupiła domowy test ciąży.

Jeśli ciąg dalszy sprawi wrażenie czegoś w rodzaju mowy obronnej, myślę, że na miejscu będzie zaznaczyć, iż większość ludzi nigdy nie dostrzega swoich błędów. Jeśli o mnie chodzi, świetnie znam swoje wady. Czy to znaczy, że powinnam być z nich od razu rozgrzeszona? Nie. Ale chcę przynajmniej uczciwie pokazać, kim jestem, a jeśli jestem dość małostkową osobą, która traci większość czasu na głupawe przedsięwzięcia, nic z tego, co złożyło się na to, kim jestem, nie było aż tak złe, żeby mierzyć się z Kubą Rozpruwaczem.

Na pewno zawsze byłam osobą, którą można by nazwać egoistką, zawsze się do tego bez oporów przyznawałam, przynajmniej przed samą sobą. Och, tylko nie myślcie, że chodzi o egoizm w stylu „złapać ostatni kawałek pizzy, która była do podziału”. Ani o egoizm z gatunku „odepchnąć starszą panią, żeby zająć ostatnie siedzące miejsce w metrze, nawet jeśli to będzie miejsce obok jakiegoś świra”. Nie, mam na myśli banalny, mały egoizm, który jest zmorą mojego życia, odkąd skończyłam trzy lata.

Zobaczyłam wtedy jak moja siostra bawi się lalką - małą, pyzată lalką z rozczochranymi rudymi włosami i językiem jak u żmii, który wysuwał się błyskawicznie,

gdy szturchnęło się ją w brzusek, co normalnie mogłoby wywołać u dziecka senne koszmary - i wiedziałam, że muszę ją mieć. Poczeakałam, aż siostra zaśnie, wyjęłam jej tę lalkę z objęć, a kiedy Sophie obudziła się z głośnym płaczem, powiedziałam: „Ale przecież ona nie była twoja. Tylko ci się śniło, że mamusia i tatuś dali ją tobie”. I zaczęłam tulić w ramionach swojego nowego dzidziusia. „Cicho, cicho”, uspiłam go, potem jeszcze raz spojrziałam na płaczącą siostrę. „Teraz, kiedy już nie śpisz i nic ci się nie śni, możesz zobaczyć, że dziecko wcale nie jest twoje. Jest moje”.

Ach, siostra Sophie: zdaje się, że myślę o niej jak o zakonnicy - złotowłosej, pięknej, trochę jakby wrednej zakonnicy. Starsza ode mnie o rok, chodząca doskonałość pod każdym względem, więc faktycznie rzadko się zdarzało, żebym była od niej w czymś lepsza. Była zdecydowaną blondynką o zdecydowanie prostych włosach, zawsze miała dobre stopnie, zawsze miała chłopaków, zawsze miała lwią część wszystkiego, co oferowało życie, włączając do tego troskę rodziców. Tak naprawdę, co mi kiedyś wprost oświadczyli, jedynym powodem, dla którego zostałam przez nich spółdzona, była potrzeba zafundowania Sophie towarzyski zabaw.

Powszechnie wiadomo, że z dwóch córek Taylorów to ja byłam estetycznie upośledzona. Ona nigdy się nawet nie śliniła jako niemowlę, mnie zaś nieustannie spływała z dolnej wargi strużka śliny i podobno aż do pierwszej klasy nie rozstawałam się ze śliniakiem. Krótko mówiąc, bycie młodszą siostrą Sophie było niewesołe; to tak, jakby mieć królową za starszą siostrę, tylko że moja starsza siostra nie była królową. Podejrzewam, że Sophie i ja doświadczyłyśmy największej siostrzanej rywalizacji od czasów Elżbiety i Małgorzaty, z tą różnicą, że Sophie zdawała się nie mieć o tym pojęcia. Czy nie przesadzam, porównując los nieżyjącej siostry królowej Anglii ze swoim? Być może. Ale powiem uczciwie, opierając się na

wiedzy z pierwszej ręki, że doskonale rozumiem, dlaczego księżniczka Małgorzata piła.

Ale wróćmy do lalki. Nie zmięklam przez cały następny miesiąc, kiedy noc w noc dręczyły mnie koszmary z powodu tamtego żmijowego jęczyczka, aż w końcu lalka się gdzieś na dobre zgubiła - prawdopodobnie za wielką niebieską kanapą w salonie, w czarnej dziurze naszego wczesnego dzieciństwa - i Sophie dostała następną rzecz, bez której ja po prostu nie mogłam żyć.

Dzisiaj jestem dorosłą osobą pracującą w londyńskim wydawnictwie, a sytuacja niewiele się zmieniła. Och, to nie znaczy, że wciąż kradnę mojej siostrze lalki, nic z tych rzeczy. Osiągnęłam dojrzały stopień zazdrości; wzniosłam się na wyższy poziom pragnień. Tak, tak, koniec z dziecinadą. Rok temu, u progu trzydziestki, zorientowałam się, że przedmiotem mojej piekającej zazdrości jest małżeństwo - ku rozczarowaniu Trevora Rhys-Daviesa, zabójczo przystojnego maklera giełdowego, z którym od ponad dwóch lat dzielę mieszkanie w Knightsbridge - stan, którego łaski dostała siostra Soph, również dwa lata temu. Wychodząc za Tony'ego. Który gotuje po włosku w każdy weekend i który zachęca ją czule, by wyciągnęła się z uniesionymi stopami, jak tylko się zmęczy, co zdarza jej się teraz znacznie częściej, bo przecież... - dalej, Jane, powiedz wszystko! Powiedz najgorsze! - ona jest w piątym miesiącu ciąży.

Tak więc, w zasadzie, zawiść z powodu małżeństwa była problemem zeszłorocznym. To w zeszłym roku zdobyłam Nagrodę za Złą Postawę Sportową w Konkurencji Ładnego Sypania Ryżem; to w zeszłym roku chlupałam na wszystkich ślubach przyjaciół i znajomych, nie z rozczulenia nad ich szczęściem, tylko z żalu nad sobą; to w zeszłym roku pociągałam nosem na ramieniu Trevora, kiedy prowadził mnie dookoła parkietu po tym, jak panna młoda pokroiła tort, dała sobie założyć w zbereźny sposób podwiązkę i rzuciła bukiet jakiejś innej chętnej

do zamążpójścia, którą ja próbowałam blokować. „To nie fair”, łkałam. „Dlaczego to nigdy nie ja?” Na co Trevor głąaskał mnie po modnie nastroszonych ciemnych włosach i mówił z westchnieniem: „Och, Jane”.

W zasadzie więc tegorocznym problemem nie jest już małżeństwo. Tym, co budzi w tym roku zielonookiego potwora zazdrości, jest ciąża.

Zawiść o ciążę, dla tych z was, którzy nigdy o tym nie słyszeli, przypomina kompleks braku penisa w tym sensie, że atrakcyjność obu rzeczy polega na samym ich fizycznym kształcie. To tak, jakby chcieć nosić krzyżyk na szyi, nie będąc wcale pewnym, czy miałoby się ochotę postawić nogę w jakimkolwiek kościele.

Zauważcie, że w ogóle nie mówię o dzieciach. To bardzo znamienne, więc miejcie to na względzie.

Był dopiero kwiecień, a już siedem razy w tamtym roku zostałam zaproszona, i nie śmiałam odmówić, na uroczyste pępkowe: dwa razy przez ludzi z pracy, przy czym jedną z tych osób znałam tylko z widzenia; dwa razy przez ludzi, na których ślubie byłam z Trevorem rok wcześniej (nie przymierzając jak króliki, prawda?); raz przez kobietę, której nazwisko nic mi nie mówiło, ale na jej zaproszeniu widniała informacja, że przyjęcie organizuje firma cateringowa (uwielbiam zamawiane jedzenie); i raz przez kobietę, którą znam z dzieciństwa.

Moja matka zapamiętała ją jako moją najlepszą szkolną przyjaciółkę i pod tym pretekstem wyděbiła wolne zaproszenie od jej matki. Ja, przeciwnie, pamiętam, że szczerze tej dziewczyny nie znosiłam za jej konserwatywne poglądy - może trochę przesadzam z tą swoją wczesną świadomością polityczną, ale dziewczyna była denerwująca. W każdym razie pojechałam tam w nadziei na wyzerkę, i z hojnym w moim mniemaniu prezentem w postaci talonu do sieci sklepów „Macierzyństwo: Centrum Karmienia Piersią”, kłóćąc się ze swoją matką przez

całą drogę do Brighton: „Ona była twoją najlepszą przyjaciółką!” - „Nienawidziłam tej kretynki!”

I choć w najbliższej przyszłości nie zapowiadało się żadne kolejne pępkowe, miałam jeszcze w perspektywie narodziny dziecka Sophie, za jakieś trzy miesiące.

Tak, zbliżając się do trzydziestki, praktycznie rzecz biorąc, skierowałam swoją pożądlivość na ciążę, z tym że tak naprawdę nie było w tym nic praktycznego i jedna rzecz stała się faktem: Byłam absolutnie zdeterminowana przyłączyć się do stada, i to szybko. Tylko w jaki sposób?

Cóż, wspominałam o rozmowie z Trevorem i jego radzie, bym kupiła domowy test. Zanim to jednak zrobiłam, pomyślałam sobie, że dobrze by było wstępnie się podszkolić.

Natychmiast kupiłam książkę, jaką od osiemnastu lat kupują wszystkie kobiety, które zaszły w ciążę: „W oczekiwaniu na dziecko”. Biorąc pod uwagę jej popularność, należy mieć głęboką nadzieję, że Eisenberg, Murkoff i Hathaway - troje autorów książki - wiedzieli, o czym, do cholery, piszą. Jeśli nie, wszyscy jesteście w kanale.

Włożyłam zakupiony egzemplarz do dolnej szuflady służbowego biurka i gdy tylko nie byłam strasznie zajęta pracą na rzecz Churchill & Stewart - firmy wydawniczej, w której pełnię funkcję młodszego redaktora, odkąd ukończyłam z najwyższą oceną wydział literatury angielskiej na Uniwersytecie w Essex - czytałam sobie o tym, czego mogę oczekiwać, oczekując. Akurat doszłam do najbardziej interesującego mnie wtedy rozdziału o domowych testach ciążyowych, na stronie czwartej, gdy...

- Taylor! - usłyszałam głos swojej przełożonej, Lany Lane.

Lana była typem kobiety, dla której mizogini pokroju Chandlera czy Hemingwaya pierwsi wymyślili zdania zaczynające się od pompatycznych słów rodem ze szkolnych rozprawek: „Madame X była typem kobiety...”

W przypadku Lany Lane, Lana Lane była typem kobiety znienawidzonej przez inne kobiety, paradującej w opiętych dżersejowych sukienkach, w których wyglądała jak ożywione komiksowe bóstwo, i budziła strach we wszystkich mężczyznach. Swoją drogą, dobrze, że moja aparycja była jedną z rzeczy, z którymi czułam się pewnie, jako że Lana była niewiarygodnie, olśniewająco piękną kobietą, przy której Cindy Crawford mogłaby zacząć doszukiwać się pryszczu na twarzy. A jeśli chodzi o mężczyzn, bali się jej nie tylko dlatego, że była piękną, jakiej nie mieli nawet nadziei być warci w swoim jałowym, nędznym życiu, ale również dlatego, że odnosiła większe niż wszyscy oni sukcesy w tym, co dawno, dawno temu było wyłącznie męską konkurencją. Za wszystkie więc jej grzechy mężczyźni ochrzcili ją Dodo, od wymarłego gatunku ptaków, a wszystkie kobiety w biurze to podchwyciły. Dlatego, że była piękną blondynką, i dlatego, że wszystkie piękne blondynki są autentycznie głupie, a ona głupia nie była, rechotali, zadowoleni, jakby to było coś w rodzaju pochlebnie ironicznego, pieszczotliwego imienia. Jeśli chodzi o mnie, nie jestem pewna, czy łapię ten dowcip.

Gwoli prawdy i na pohybel feminizmowi, Dodo nie było całkiem nietrafionym przydomkiem dla Lany. Bo pomijając fakt, że miała żyłkę wydawniczą, przed którą Bennett Cerf i monsieur Gallimard uchyliliby kapelusza bądź *chapeaux*, jeśli chodziło o normalne życie, była czymś w rodzaju socjokretynki. Nigdy w swoim trzydziesto-pięcioletnim życiu nie miała prawdziwej przyjaciółki, a ja byłam osobą, z którą nawiązała najbliższy kontakt. I gdyby musiała liczyć na to, że ja, będąc od siedmiu lat jej podwładną, nauczę ją żyć w społeczeństwie...

- Taylor! - wrzasnęła ponownie ze swojego gabinetu.

Wiadomo, nasza recepcjonistka zawiadomiła telefonicznie, że jest chora, bo był piątek, a Dodo nie radziła sobie

z nowym biurowym systemem telefonicznym, podobnie jak nie radziła sobie w kontaktach z ludźmi.

- Mogłabyś odebrać drugą linię? Dzwoni Colin Smythe. Wścieka się z powodu ostatniej książki, odstawiając coś, co według mnie ma być imitacją Johna Wayne'a, a ja nie jestem w stanie się w tym połapać. Mogłabyś, bardzo cię proszę, wziąć to na siebie?

Wetknęłam opakowanie po batoniku pomiędzy strony poświęcone testom domowym i testom laboratoryjnym. Zaintrygowana tym, co przeczytałam o tych pierwszych, schowałam książkę do szuflady i dopiero wtedy podniosłam słuchawkę.

Colin Smythe był cenionym autorem pięciu historycznych bestsellerów, których akcja toczy się w Anglii okresu regencji i z których żaden nie trącił nawet romansem. Musiały trafić w gusta czytelników, którzy uważają, że wystarczająco dużo podniet seksualnych dostarcza im codzienna prasa. Smythe napisał też szóstą książkę, na przekór wszelkim radom naszej redakcji, o surferowcu z Kalifornii, który przenosi się do Chicago i w jakimś przedziwnym miejscu znajduje swoją miłość. Powieść oparta na historyjce, którą usłyszał na weselu jednego z krewnych żony, została wydana u nas w zeszłym roku i nie stała się bestsellerem, choć z jakichś względów przypadła do gustu krytykom. Teraz miała wyjść w miękkiej oprawie, w tym samym czasie, w którym w Stanach miało ukazać się jej pierwsze wydanie w twardej okładce.

Żywiono nadzieję, że w Stanach, gdzie Colin był dość popularny wśród wielbicieli Maeve Binchy, irlandzkiej autorki światowych bestsellerów, jego książka rozejdzie się w na tyle wysokim nakładzie, żeby podgrzać zainteresowanie wydaniem angielskim. Cokolwiek by mówić, Amerykanie byli całkiem dobrzy w przekonywaniu obywateli reszty świata, żeby zechcieli kupić coś, czego sami nigdy nie chcieli. Wystarczy spojrzeć, co zrobili dla Arnolda Schwarzeneggera.

- Słucham, Colin. - Zawsze miałam wrażenie, że powinnam się do niego zwracać „sir Colin”, i on zapewne też był tego zdania. Jednak pomimo faktu, iż jego czytelnicy uważali go za męską wersję Wielmożnej Pani Barbary Cartland, bez pocałunków, różowych szat i kotów, królowa, choć była mu przychylna i zaprosiła go na kilka swoich ogrodowych przyjęć, jak dotąd nie pasowała go na rycerza. - Jane Taylor po drugiej stronie. Co mogę dziś dla ciebie zrobić?

- Czytałaś już „Timesa”?

- Tak, oczywiście. Nie mogę uwierzyć, że Blair naprawdę to powiedział. Nie sądzisz, że dziennikarze czasami zmyślają?

- Ja - nie - mówię - o - naszym - „Timesie”. - Każde słowo brzmiało jak strzał z pistoletu. Potem wrócił do normalniejszej intonacji, ale wciąż słychać było napięcie w głosie. - Mówię o ich „Timesie”, o „New York Timesie”.

- Ach tak. Czyżby mi się pomyliły terminy? Czy książka już wyszła?

Nie zaczął zdania od „ty głupia babo”, ale to zdecydowanie wisiało w powietrzu.

- Tak, właśnie tak. I „Times”, ich „Times”, już się do niej dobrał. Czasami mam wrażenie, że oni przydzielają książki recenzentom, o których z góry wiedzą, że się będą nad nimi pastwić. Pamiętasz, jak naczelny „Briefcase Woman” schlastał tamten pierwszy kryminał, w którym detektywem była gospodyni domowa i eks-cheerleaderka?

- Tak. To było naprawdę okrutne.

- A zauważyłaś, że jeśli recenzent codziennej gazety chwali jakąś książkę, to w wydaniu niedzielnym nie zostawiają na niej suchej nitki i odwrotnie?

- Mówi się o tym w branży od jakiegoś czasu. - Śmieszne to było, ale chciałam wrócić do sedna sprawy, wiedząc, że im szybciej Colin powie, o co mu chodzi, tym szybciej wrócę do lektury swojego podręcznika. - Jasne,

że to kupa śmiechu, Colin, ale co pisze „Times” o „Surfuj z wiatrem”?

Usłyszałam szelest gazety rozkładanej w „Kaczym Zaciszu”, wiejskiej posiadłości Colina, i lekkie odkasływanie, które, jak go znałam, zawsze towarzyszyło zakładaniu okularów.

- Jesteś gotowa?

- Umieram z ciekawości.

- Aha, recenzent jest amerykańskim historykiem, wykształconym w Oksfordzie. Jego nazwisko nic mi nie mówi. Myślę, że mogą nim kierować jakieś osobiste pobudki. No więc słuchaj: „Zawsze jest literacką zbrodnią przejawianie nieposkromionej pychy, gdy obywatel jednego kraju waży się umiejscawiać akcję w innym kraju, którego nigdy nie był mieszkańcem. Taka okoliczność jest już wystarczająco obciążająca, kiedy autor ogranicza się do ściśle narracyjnej formy; gdy jednak popełnia dalsze, poważniejsze wykroczenie - polegające na założeniu, że rozumie on niuanse mowy potocznej występujące w kraju, który wykorzystuje do swoich parodii - sprawia, iż żaden poważny czytelnik nie jest w stanie poważnie traktować jego twórczości. Dotyczy to również najnowszego utworu Colina Smythe'a, „Surfuj z wiatrem”, groteskowego romansu tak sówicie okraszonego wyrażeniem „na mój rozum”, że wypada tylko przypuszczać, iż pan Smythe mylnie sądzi, iż wszyscy Amerykanie czują się na pastwisku jak u siebie w domu. Jeśli ktoś, kto zna pana Smythe'a, przypadkiem czyta tę recenzję, najuprzejmiej prosimy o wyprowadzenie go z tego błędu. Wbrew wyobrażeniom niektórych narodów karaibskich i, najwidoczniej, małego procentu Anglików, nie każdy Amerykanin pochodzi z Teksasu. Nie wszyscy spędzamy życie, rozmawiając w kółko o zapasach siana, którym mamy wypchane usta. I nie wszystkie regiony Stanów Zjednoczonych używają tych samych idiomatycznych zwrotów...” Chcesz słuchać dalej?

Musiałam przyznać, że amerykański recenzent miał trochę racji. Próba małpowania Amerykanów przez Anglika zdawała mi się potencjalnie uwłaczająca. To tak, jakby jakiemuś Amerykaninowi, jej czy jemu, przyszło do głowy naśladować pisarza angielskiego przez samo naspikowanie tekstu różnymi „arteriami”, „biskwitami”, „świętami bankowymi” i tak dalej. Ale nie mogłam tego wytknąć Colinowi, prawda?

- To był codzienny „Times” czy niedzielny? - spytałam ze współczuciem, zakładając, że jeśli jeden go schlaśtał, to drugi będzie wynosić pod niebiosa. Lepiej, żeby to była gazeta codzienna, bo księgarze bardziej się liczyli z recenzjami niedzielными.

Usłyszałam westchnienie towarzyszące zdejmowaniu okularów.

- Obie.

- Jak to możliwe?

- Połączyłem obie recenzje i przeczytałem ci je tak, jakby były jednym tekstem. Krytyk z niedzielnego wydania dodał dla wzmocnienia efektu, że „ulgą byłoby zobaczyć pana Smythe'a kierującego swoje zainteresowania ku czemuś innemu niż bezbarwne powieści, gdyby tylko ktoś go zdołał namówić, żeby zdjął tego ogromnego stetsona, którego nosi, metaforycznie, podczas pracy twórczej”. Chciałem pominąć ten fragment, bo to dla mnie strasznie przygnębiające. - Westchnienie. - A ja tak polubiłem Amerykę, kiedy tam byłem, i myślałem, że ona lubi mnie. Czy oni nie rozumieją, że wcale nie próbowałem nikogo ośmieszać ani naśladować? Nie rozumieją, że my wszyscy cały czas tak mówimy, i że to nie ma nic wspólnego z zachodnim zaciąganiem, sześciostrażłowcami ani kukurydzą w Nebrasce, kiedy Anglik mówi „na mój rozum”?

- Nie mój rozum nie.

- Szkoda, że ani ty, ani Lana nie wychwyciłyście tego podczas redagowania. Oszczędziłoby mi to wielkiej przykrości.

Powstrzymałam się od wytknięcia Colinowi, że to on podróżował po Stanach, gdzie powinien mieć nieograniczone możliwości studiowania języka mówionego rdzennych Amerykanów. Ja natomiast - choć z największą ochotą wybrałabym się do Kalifornii, Chicago czy nawet Teksasu, gdzie ostatni gubernator wciąż pozwala na wykonywanie wyroków śmierci - nigdy nie ruszyłam się dalej na zachód niż do Gloucester. Zamiast tego obiecałam zrobić, co w mojej mocy, żeby ratować sytuację, i rozłączyłam się po jego kilku kolejnych westchnieniach.

Teraz mnie przyszło westchnąć, nie z przygnębienia jednak, lecz z ulgą. Nareszcie mogłam wrócić do „Oczekiwania”.

Tyle jest rzeczy, które mogą budzić niepokój. Zaczęłam zdawać sobie z tego sprawę, zagłębiając się w lekturę.

Och, nie mam na myśli niepokoju o zdrowie dziecka; to rozumie się samo przez się, jeśli kobieta jest naprawdę w ciąży. Nie, mnie chodzi o te wszystkie sprawy, które mogą potoczyć się źle, jeśli kobieta nie bardzo wie, co wyprawia, i nie jest tak naprawdę w ciąży, kobieta taka jak ja, która powiedziała swojemu chłopakowi, że jest w ciąży, a w rzeczywistości jeszcze nie jest.

Na przykład, gdyby ktoś ją zapytał, jak się zorientowała, że jest w ciąży? Najprościej mogłaby odpowiedzieć: „Nie dostałam okresu”. Ale gdyby zapytana nie chciała iść na łatwiznę, gdyby wolała przyprawić dialog szczyptą autentyczności, mogłaby powiedzieć: „Przez cały dzień zbiera mi się na wymioty” albo: „Ciągłe chce mi się sikać”, albo: „Moja wagina i szyjka macicy wyraźnie zmienia kolor”.

Oczywiście, odpowiednio bystra osoba mogłaby zasugerować inne medyczne i pozamedyczne przyczyny takich objawów, na przykład: „Nie przyszło ci do głowy, że to może być zwykłe zatrucie pokarmowe?” albo: „To

pewnie przez te środki moczopędne, którymi się faszerujesz od roku", albo: „Wiesz, Jane, może byś się przestała oglądać od dołu w lusterku?”

Nie, uznałam, że jedynym niepodważalnym dowodem dla ewentualnych wścibskich byłyby wyniki testu ciążowego, co zresztą zasygnalizował mi już Trevor.

Wracając z pracy do domu, wpadłam do baru „Mr Singh's”, zamówiłam curry na wynos, żeby mieć coś na zaspokojenie zachcianek, które powinnam mieć lada moment.

Potem weszłam do sąsiedniej drogerii i wśród bogatej oferty domowych testów ciążowych znalazłam taki, który, jak wyczytałam na opakowaniu, miał być skuteczny o każdej porze dnia, czyli nie trzeba było czekać na pierwsze poranne sikanie. Wybrałam jeszcze komplet cienko piszących Magicznych Markerów, zapłaciłam, odebrałam curry i pojechałam do domu.

Nie powiem, żebym uparła się tak sobie, dla zasady - kiedy Trevor i ja po raz pierwszy zamieszkaliśmy razem - by wybrać kolor ścian tak bardzo kolidujący z beżową osobowością mojego partnera. Tłumaczyłam sobie raczej, że autentycznie lubię łososiowy róż, a swoją drogą, dobrze jest w początkowej fazie nowego związku przeciągnąć nawet strunę, żeby dowiedzieć się, jak daleko mężczyzna jest skłonny pójść na ustępstwa, by zatrzymać cię w swoim łóżku.

Słyszałam opowieści koleżanek z biura o tym, jak zmuszały swoich mężczyzn do kupowania im klejnotów wielkości ich głowy, fundowania wakacji na Hawajach, godzenia się na drugiego faceta do igraszek w ich łóżku. Przy czymś takim skłonienie swojego beżowego mężczyzny do pomalowania ścian na różowo zdawało mi się kaszką z mleczkiem.

Poza tym Trevor też na swój sposób przeciągał strunę, czego dowodem była wstrętne pomarańczowa bestia, którą kochał, a która wabiła się Kot Punch. Nie wiem, dlaczego tak bardzo nienawidziłam Kota Puncha (zawsze, gdy wyłaził z jakiegoś kąta, miałam ochotę go kopnąć), bo tak w ogóle od zawsze uwielbiałam koty. Podejrzewam, że to przez to, że sprawiał wrażenie jakiegoś napuszonego, złowrogiego Kota w Butach, a może chodziło tylko o ten pomarańczowy kolor.

W każdym razie tamtego szczególnego wieczoru, kiedy weszłam do domu i zobaczyłam skradającego się ku mnie kota, poruszającego się jak Grinch, który jakby nie dotykając ziemi, ograbia domy z bożonarodzeniowych rekwizytów, moja reakcja była taka jak zwykle: chciałam zamachnąć się masywnym, pięciocentymetrowym obcasem i kopem wrzucić go do kominka. Ale nie mogłam tego zrobić. Nie w chwili, gdy miałam nadzieję wszcząć kampanię zmierzającą do tego, by Trevor zaczął patrzeć na mnie jak na przyszłą matkę swojego dziecka.

- Cześć, Punch. - Żonglując torbami, próbowałam się schylić i pogłaskać swojego wroga. - Tatuś jest już w domu?

Wiedziałam oczywiście, że Trevor gdzieś tu jest; jego samochód stał zaparkowany przed domem. Niby z jakiego innego powodu miałabym się podlizywać kotu?

- Cześć - odezwał się Trevor, wycierając ręcznikiem mokre uszy.

Zmierzał ku mnie od strony łazienki, w niebieskich dżinsach i niczym więcej.

Trevor należał do mężczyzn, którzy biorą prysznic dwa razy dziennie, i za każdym razem, gdy widziałam, jak chodzi po domu bez szelek, poza tym, że miałam ochotę klepnąć go po tyłku, naprawdę doskonałym, dziwiłam się od nowa, że jakimś cudem wylądowałam pod wspólnym dachem z facetem o bardzo jasnych włosach i ciemnoniebieskich oczach, kombinacji kolo-

rów, do której najmniej byłam skłonna przywiązać się na stałe.

- Cześć, kochanie! - wyrzuciłam z siebie. Może trochę przedobrzyłam? Cisnąwszy paczki na stół, zawisłam mu na szyi, przyklejając się do wilgotnego torsu. - Jak to dobrze być z tobą w domu. - Przynajmniej miałam na tyle taktu, żeby nie zareagować rechotem na własne brednie. - Miałeś ciężki dzień w pracy? - Czy mogłam posunąć się dalej w komicznej roli żony? - Mam nadzieję, że nie musiałeś mieć do czynienia z żadnym Nickiem Leesonsem.

- Nieee, nie było tak źle. - Trevor uwolnił się z moich objęć, ale w delikatny sposób. Zajrzał do torby z „Mr Singh's”. - Hej, curry! Fantastycznie! Pojęcia nie masz, ile razy myślałam dzisiaj, żeby do ciebie zadzwonić i spytać, czy nie zjadłabyś ze mną curry, ale ciągle mi ktoś przerywał, a potem nawet chciałem wpaść po drodze do Singha, ale pomyślałem, że jeśli ty już coś kupiłaś, będziemy mieli konflikt o kolację, więc w końcu dałem sobie spokój. - Uśmiechnął się. - Jesteś wielka.

Boże. Czasem to było tak cholernie łatwe.

- Cieszę się, że masz dobry humor. Wiesz co? Może nakryjesz stół, a ja wskoczę do łazienki umyć ręce i... - poklepałam torbę z zakupami z drogerii - i załatwić pewną kobiecą sprawę.

Trevor był tak bez reszty pochłonięty torbą z curry, że nie zrobił najmniejszej uwagi na temat torby z drogerii. Co za dziwny człowiek! Odważył się powiedzieć mi, żebym kupiła coś, co było równoznaczne z bombą zegarową. Teraz miałam to w ręku i gotowa byłam zdetonować, a on zamiast zdradzać jakiś niepokój, stał z nosem wetkniętym w kurczaka *tikka masala*. No cóż.

Gdy już zamknęłam za sobą na zamek drzwi, których nigdy dotąd tak nie zamykaliśmy, rzuciłam się do torby. Wyjęłam test ciężowy i jeszcze raz przeczytałam instrukcję. No dobrze, pomyślałam, mogłabym po prostu zde-

montować tę plastikową pałeczkę i różowym markerem narysować różową kreskę. Zreflektowałam się jednak, że najpierw powinnam nasikać na to coś, żeby miało autentyczny zapach uryny.

Usiadłam na sedesie i tak właśnie zrobiłam, obsikawszy sobie przy okazji całą rękę, ale kiedy zdemontowałam w końcu pałeczkę i przeciągnęłam różowym markerem po mokrym pasku, kreska wyszła rozmazana i zupełnie nie przypominała tej z rysunku na opakowaniu, mówiącej: „jesteś w ciąży”. Swoją drogą, nie przypominała nawet tej drugiej, która znaczyła „nie jesteś w ciąży”. Całe szczęście, że wybrałam w drogerii opakowanie z dwoma zestawami, a nie z jednym. Widocznie ich producent przewidział, że niektóre kobiety mogą być przesadnie ostrożnie albo że bywają takie jak ja, które mogą wyczytać z pierwszym testem bardzo dziwne rzeczy.

W pośpiechu wepchnęłam zużyty test do szafki pod umywalką, za paczkę podpasek - lepiej nie ryzykować, że Trevor zauważy go w pojemniku na śmieci, prawda? - i wyjęłam z pudełka drugi test, nie zamierzając na niego sikać. Gdybym zmarnowała i ten, musiałabym czekać do następnego wieczoru, żeby spróbować jeszcze raz, a byłam bardzo zniecierpliwiona.

- Jane? - usłyszałam wołanie Trevora. - Nic ci nie jest? Curry stygnie.

Może Trevor nie był typem rycerza w błyszczącej zbroi, jakim chciałam, żeby był przez ostatni rok - takim, który poprosiłby mnie o rękę po to, żebym miała choć jeden powód mniej do zazdroszczenia innym - ale jeśli chodzi o zachowanie przy stole, miał niespotykane wytworne manieri. Wiedziałam, że nawet gdybym ni stąd, ni zowąd przeszła na islam i zaczęła przestrzegać nakazów ramadanu, że nawet gdyby on pościł przez cały boży dzień, nie wzięłby do ust ani kęsa, dopóki nie usiadłabym z nim przy stole.

- Już idę! - krzyknęłam. - Sekundka.

Więc nie obsikawszy, podkreślam, plastikowej pałeczki, zdemontowałam ją. Pudełeczkiem, w które zapakowany był test, posłużyłam się jak linijką i narysowałam kreskę w odległości pół palca od kreski kontrolnej, widocznej w okienku testowym, z którą trzeba było porównać kolor własnego wyniku. Potem wrzuciłam marker z powrotem do torby, wepchnęłam wszystko razem w głąb tej samej szafki, w której spoczywał pierwszy test, za podpaski higieniczne, których, teoretycznie, miałam nie potrzebować przez najbliższe dziewięć miesięcy, i krzyknęłam:

- Trevor! Lepiej tu przyjdź! Na pewno chcesz to zobaczyć na własne oczy!

Usłyszałam skrzypienie krzesła i ten rodzaj westchnienia, które nieomylnie znaczyło: „Ale ja jestem głodny!”. Tylko że Trevor był zbyt dobrze wychowany, żeby powiedzieć to wprost.

Usłyszałam, jak szarpie za kłamkę zamkniętych na zamek drzwi.

- Jane, jeśli masz coś, co tak strasznie chcesz mi pokazać, będziesz musiała otworzyć te drzwi.

- Spójrz! - powiedziałam z entuzjazmem, wpuszczając go do łazienki, w której tak naprawdę mieściła się jedna osoba. Kątem oka zobaczyłam, jak Kot Punch wkrada się za Trevorem. Przebiegła kocica musiała nie zauważyć kątem swojego oka, że ja ją dostrzegłam kątem mojego. - Spójrz! - krzyknęłam jeszcze raz, podnosząc test na wysokość piersi, zupełnie jakbym była hostessą teleturnieju pokazującą najcenniejszą nagrodę. - Spójrz! Zmajstrowaliśmy wzorcową różową kreskę!

- Rany, Jane! - Chwycił się mimowolnie framugi drzwi. - Czy to znaczy to, co myślę, że znaczy?.

- Jeśli myślisz, że to znaczy, że przez następne dziewięć miesięcy będziesz musiał być dla mnie miłszy, bo tak się składa, że noszę w sobie twoje dziecko, to owszem, tak.

- O Boże, Jane. - Oddychał ciężko i wyglądał na lekko przerażonego, ale przyciągnął mnie do siebie, zdecydowany najwyraźniej, jak przystało na grzecznego chłopca z Gordonstoun, połknąć tę żabę. - Oczywiście będę z tobą.

Na co ja, z twarzą spowitą błogim uśmiechem tej czy innej Madonny, pozwoliłam mu się objąć i natychmiast użyłam nogi, żeby wypchnąć za drzwi Kota Puncha. W tamtej łazience nie było po prostu miejsca dla trzech żywych istot.

Zgodnie z wyliczeniami, które miałam potem ujawniać rodzinie i znajomym, w miarę jak mijały następne tygodnie i miesiące, w dniu sceny łazienkowej opóźniałam się zaledwie dwa tygodnie.

Co do Trevora, wart był swojego słowa. Był ze mną. Szkoda tylko, że nie uściślił - choć żeby oddać mu sprawiedliwość, nie dysponował wszystkimi faktami - jak długo to bycie potrwa.

Otóż trwało dokładnie dwa miesiące i trzynaście dni. Zbliżałam się właśnie do początku drugiego trymestru, planowaliśmy skromny ślub, ale wydarzenia sprzysięgły się, żeby dostarczyć Trevorowi reszty faktów.

Ale tu już wybiegłam za daleko w przyszłość.

Żeby trzymać się chronologii, wciąż byłam w pierwszym miesiącu; moje dziecko wciąż było mniejsze od ziarenka ryżu: taki mały kijankowaty embriion, szykujący się do wypuszczenia za dwa tygodnie rączek i nóżek z czegoś, co nazywa się zawiązkami, wraz z cewą nerwową - z niej miały się później wykształcić mózg oraz rdzeń kręgowy - i sercem, układem pokarmowym oraz organami zmysłu.

Trevor traktował mnie, jakbym była ze szkła albo plutonu; a ja gotowa byłam podjąć następny ekscytujący etap swojej prokreacyjnej podróży.

drugi miesiąc

Następnego ranka, po tym, jak utwierdziłam Trevora co do „nowiny”, obudziłam się, przeciągając leniwie jak kotka inna niż Kot Punch. Przytuliłam się do śpiącego ojca mojego nienarodzonego dziecka, ale nie wytrzymałam w tej pozycji zbyt długo.

Moja podpaska wymagała zmiany.

Wpadłszy do łazienki, ściągnęłam majtki w kolorze szampana z satynowej kolekcji „Victoria's Secret”, po to tylko, żeby odkryć, że wciąż noszę się ze szkarłatnym piętnem kobiety nieciężarnej. Rany! Byłam tak podekscytowana, mówiąc Trevorowi, że naprawdę jestem w ciąży, że kompletnie o tym zapomniałam - a miałam przed sobą jeszcze trzy dni okresu.

Dwie noce wcześniej po tym, jak po raz pierwszy powiedziałam Trevorowi, że jestem w ciąży, a Davidowi, że nie jestem, wróciłam do łóżka i leżałam z otwartymi oczami, knując plan kamuflażu swojej menstruacji do czasu, kiedy sperma Trevora naprawdę mnie zapłodni.

Główną przeszkodę, tak jak to widziałam, stanowiły same podpaski. Czyli winną tego, co mogło skończyć się zniweczeniem czegoś, co powinno być najszczęśliwszym okresem mojego życia, znów z zastrzeżeniem, że wtedy to tak widziałam, była moja matka.

Po śmierci ojca, kiedy Sophie miała siedem lat, a ja sześć - byłam pewna, że to fakt bycia żonatym z moją matką go zabił - jedyne, do czego matka zdawała się

nadawać, było rozpuszczanie Sophie i korzystanie z pokąźnego spadku, który jej zostawił. Nie zadała sobie oczywiście trudu, żeby wyposażyć mnie choćby w jedną z umiejętności przydatnych do radzenia sobie w życiu, z których nie najbłahszą było używanie tampaxów.

Pozwolę sobie w tym miejscu zwrócić uwagę, że nie jestem typową ofiarą losu, taką, co to spycha odpowiedzialność za wszystko, co zrobiła źle, na wszystko, co zrobili lub czego nie zrobili jej rodzice. Nawet ja, w najbardziej szaleńczych momentach tego, co inni nazwaliby „diabelskim knuciem”, jestem świadoma faktu, że jeśli wyjmuję pistolet i naciskam cyngiel, to tak naprawdę ja sama dokonuję wyboru.

Prawdę mówiąc, jako osoba dorosła mam coraz mniej cierpliwości do znajomych, którzy ciągle biadolą, że nie potrafią tworzyć prawidłowych związków, że są pasywno-agresywni, że mają większą potrzebę bycia dzieckiem niż dorosłym, ble, ble, ble, a wszystko to z winy mamusi i tatusia. Czasem korci mnie, żeby krzyknąć: „To nie wina twojej cholernej mamuśki, że nie masz się z kim pieprzyć w sobotni wieczór! To dlatego, że jesteś cholernym mazgajem!”

Ale wracam do tampaxów. Oczywiście nie obarczam odpowiedzialnością swojej matki za to, że postanowiłam symulować ciążę, dopóki w nią naprawdę nie zajdę, ale rodzice zdecydowanie ponoszą winę za pewne braki w uświadomieniu, a w moim przypadku to matka jest winna temu, że nie nauczyłam się używać tampaxów.

Była staromodną córką staromodnej matki, która jej też nie pomogła, kiedy pokolenie mojej matki przeszło wreszcie z podpasek przytraczanych do specjalnego paska na wygodniejsze, przylepiane do majtek, a był to już wielki postęp - tampaxy były Mount Everestem, na który nigdy nie odważyły się wejść. Nie wiem, jak sobie radziła z tym Sophie. Przypuszczam, że gdybyśmy były sobie bliższe, mogłybyśmy się nawzajem podciągać w takich sprawach. Ale było, jak było.

Miałam matkę, która się do niczego nie przydawała, równie dobrą siostrę, a jeśli chodzi o przyjaciółki, z żadną z nich nie łączyły mnie przesadnie poufałe więzy, rodem z powieści dla dziewcząt, takich, w których młoda bohaterka mogłaby powiedzieć drugiej: „Och, Sally! Mogłabyś mi w czymś pomóc? Moja mama jest beznadziejna, jeśli chodzi o artykuły higieny intymnej, a ja, wiesz, boję się, że jeśli nie dowiem się dokładnie, jak to robić, to zgubię tampax w trzustce albo gdzie indziej”.

No więc ja, nie mając żadnej Sally, naprawdę bałam się takich rzeczy.

Ale nie mogłam zaślaniać się w nieskończoność matką, Sophie, tampaxami i brakiem Sally. Musiałam obmyślić jakiś plan.

Problem w tym, że w domu, kiedy zmieniałam podpaski, zawijałam je w aluminiową folię i Trevor, chociaż nie był obsesyjnie zainteresowany detalami higieny kobiecej, mógł się oczywiście połapać, widząc, jak rzekomo ciężarna kobieta zaczyna gromadzić owinięte w folię pakunki w łazienkowym koszu na śmieci. Swoją drogą, zawsze, trochę pieśczośliwie, nazywał te pakunki „szczurkami”.

Więc jak rozwiązać problem, który miał być nieuniknionym problemem przez pięć dni w miesiącu, do czasu, kiedy w jakiś sposób sprawię, że przestanie być problemem?

Jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło mi do głowy, to nauczyć się używać tampaxów, które byłoby mi znacznie łatwiej ukryć przed Trevorem niż „szczurki”.

Jako że zapomniałam kupić je wczoraj, musiałam zrobić to dzisiaj.

Był też następny problem, polegający na tym, że nie mogłam sobie pozwolić na seks, dopóki nie skończy mi się okres. Ale to była tylko jeszcze jedna przeszkoda do pokonania - zawsze mogłam się wymówić mdłościami albo czymś tam - i miałam zamiar ją pokonać jak wszystkie inne.

Poza tym, o dziwo, mimo że Trevor zawsze po podróży służbowej był napalony na seks, teraz jego południowy region nie zdradzał śladów ożywienia. Być może świadomość, że konsekwencją seksu bywają dzieci, chwilowo go ostudziła.

Świetnie. Wyglądało na to, że kiedy wreszcie skończy rni się okres, będę musiała się zdrowo nagimnastykować, żeby uwieść ojca mojego dziecka po to, żeby było jakieś dziecko.

Postanowiłam uczynić Dodo swoją nową najlepszą przyjaciółką.

Właściwie doszłam do tego drogą eliminacji. Skoro miałam zamiar być w ciąży, potrzebowałam najlepszej przyjaciółki w pracy, kumpelki, której mogłabym się zwierzyć i pożalić, a Dodo wyróżniała się w tej dziedzinie wszelkimi możliwymi zaletami. Po pierwsze, była ode mnie starsza, fakt, że tylko o jakieś pięć lat, może więcej, ale przewaga wieku oznaczała, że w razie potrzeby będzie mi w stanie matkować. Poza tym nie miała siostry i nienawidziły jej prawie wszystkie kobiety w firmie, ponieważ była niewiarygodnie piękna. (Oczywiście mnie też nienawidziły, uważając za lichą namiastkę Dodo, jak środkowy palec czy coś w tym rodzaju, ale to mi nie przeszkadzało, bo - czyżby kwaśne winogrona? - zapytacie - nie należały one do gatunku ludzi, z którymi chciałam się wdawać w korytarzowe pogaduszki o programie telewizyjnym).

Gdybym skaperowała Dodo, mogłabym przejawiać wszelkie symptomy normalnej ciąży - na przykład miałabym jedną przyjaciółkę, z którą dzieliłabym się tym doświadczeniem, wszystkie inne koleżanki z firmy trzymając na dystans.

Czasami naprawdę mnie zdumiewało, ile wysiłku myślowego i czystej energii pochłaniało bycie nieuczciwym człowiekiem.

W każdym razie aż do tego momentu byłam wzorem powściągliwości. Jasne, że miałam ochotę wypaplać dobrą nowinę całemu światu, gdy tylko narysowałam tamtą pierwszą różową kreskę, ale wiedziałam z doświadczenia, że przyszłe matki nie zachowują się w tak lekkomyślny sposób. Z reguły się kamuflują, starają się odczekać dziesięć do dwunastu tygodni, zanim zaczną o tym mówić, jakby chciały bezpiecznie przetrwać czas, w którym najbardziej grozi ich płodom, że staną się częścią smutnej statystyki.

Jak powiedziałam, byłam wzorem powściągliwości. W szóstym tygodniu, absolutnie zdecydowana, że to jest to dziecko, którego nie zamierzam stracić, zaczęłam mówić ludziom o ciąży - do diabła z ostrożnością.

Dodo przyjęła moją nowinę z niebywałą radością i wzruszeniem, i z miejsca przysięgła, że przestanie się do mnie zwracać per Taylor. Co więcej, jako że był piątek po południu, a w piątki wszystkim starszym redaktorom wolno było wyjść wcześniej z pracy i pójść do pubu, żeby wypić drinka i przewałkować sprawę z całego tygodnia, Dodo powiedziała pod wpływem impulsu:

- Jane, a możesz pójdziesz dzisiaj z nami? Chętnie pomogę ci to uczcić!

Nim te słowa wyszły z jej ust, już sięgałam po torebkę. Tak! Ja i starsi redaktorzy na przyjacielskim piwku lub dwóch, może dżinnie z dietetycznym tonikiem. Nareszcie będę jedną z NICH!

Nim jednak zdążyłam chwycić torebkę, z ust Dodo wydobyło się głębokie westchnienie rozczarowania.

- Boże, Jane, ale jestem głupia. Przecież nie możesz iść z nami na drinka. Spodziewasz się dziecka!

Bezwładnym ruchem zawiesiłam pasek torebki z powrotem na krześle. I tyle było tego czczenia. Zrozumiałam, że z tą ciążą będą problemy, których nie przewidziałam.

Poprawiając pasek własnej torebki, Dodo rzuciła mi jeszcze jedno niepocieszone spojrzenie i ścisnęła mnie za ramię.

- Wiesz co? Za tydzień wybierzemy się razem na lunch, tylko we dwie. Zamówimy sałatki, jogurt i - och! - wszystko inne, co służy dziecku. Co ty na to?

Zapowiadała się wielka uczta.

Dalej nie byłam w ciąży. I naprawdę musiałam coś z tym zrobić.

Wracając z pracy do domu, kupiłam po drodze dwa steki i dwie butelki przyzwoitego czerwonego wina. Sama nie przepadając za mięsem, kiedyś często sobie myślałam, o ile mój facet nie był wegetarianinem, że to niesamowite, jak żucie mięsa, które jest jeszcze różowe w środku, potrafi cywilizowanego skądinąd mężczyznę natchnąć myślą o zgwałceniu pierwszego pod ręką żywego ciała, w którego żyłach płynie choć odrobina estrogenu.

Fakt, że tamtej nocy, kiedy wstępnie zasugerowałam, że jestem w ciąży, Trevor wymówił się od seksu zmęczeniem po zjedzeniu mięsa, ale ja wiedziałam, że to nic więcej niż wymówka. Zwykle po czerwonym mięsie mężczyźni są napaleni jak cholera. (David twierdzi, że w przypadku gejów ta teoria się sprawdza tylko przy filet mignon, ale przecież tak czy inaczej, bez względu na orientację chodzi o testosteron).

Jeśli chodzi o wino do kompletu, ono było też dla Trevora, bo ja, na co zwróciła mi uwagę Dodo - niech to szlag! - nie powinnam pić. Tylko dla zachowania pozorów, że to zwykły posiłek, a nie jakieś końskie zaloty, dorzuciłam kilka mrożonych ziemniaków, które mogłam wrzucić do mikrofalówki, i trochę zwiędłej zieleniny. Deser? Zakładałam, że nie będzie nam potrzebny.

Tak, wiem, że moje życie stało się banałem: dziewczyna próbuje zająć w ciążę, żeby złapać faceta. Ale niby jaki

w tym momencie miałam wybór? Poza tym ile razy mam tłumaczyć, że on myślał, że już jestem w ciąży? Więc nie był to całkiem klasyczny przypadek usidlania partnera.

- Ojej, strasznie dużo nalałaś mi tego wina - zauważył Trevor.

W swojej nadgorliwości użyłam największego kieliszka, jaki udało mi się znaleźć. No dobrze, przyznam się: to była ogromna koniakówka.

- Mmm, niezłe - mruknął po pierwszym łyku. - A ty się nie napijesz?

Wykonałam nieokreślony gest w okolicy swojego brzucha, ale już zdążył pochylić głowę nad talerzem.

- Ta sałatka z ziemniaków jest świetna.

- To przepis, który dostałam od Davida.

- Aha. - Wykrzywił się na swój talerz. - Od niego. Ciągle nie mogę zrozumieć, co ty w nim widzisz.

- Jest moim przyjacielem, i tyle. - Jakoś nie szło to tak, jak planowałam. Dopiłam wino z koniakówki Trevora. - Jak ci smakuje stek? - spytałam promiennie, szturchając widelcem własny stek, którego nie wzięłam jeszcze do ust. - Jest, eee, wystarczająco różowy w środku?

- Uhm. Doskonały.

- Chcesz i mój?

- Hmm... co? - Trevor uniósł głowę znad popołudniowego „Timesa”. Okej, więc wpakował się z czytaniem w sam środek mojej wielkiej sceny uwodzenia, ale to były tylko nagłówki. Byłam tego pewna.

- Stek. Pytałam, czy chcesz też mój?

- A nie zjesz go sama?

- Wiesz, nie... Zrobiłam dwa, bo pomyślałam sobie, że możesz być bardzo głodny po ciężkim dniu w pracy. Poza tym duże ilości czerwonego mięsa nie są chyba najlepsze dla dziecka.

- Aha. Chodzi o dziecko. - Wrócił spojrzeniem do gorącego problemu wiarygodności Tony'ego Blaira.

Wlałam do jego kieliszka resztę wina z pierwszej butelki i otworzyłam drugą.

Okazało się, że najbardziej misterne plany młodszych redaktorów o nazwisku Jane Tylor są równie realne, jak owe z powieści „Myszy i ludzie”.

- Nie jestem p-p-pewien, czy to j-jest dobry pomysł, Jane.

- Oczywiście, że tak. Musisz się tylko trochę rozluźnić.

- Poluzowałam mu krawat, mając nadzieję, że to pomoże.

- Za 1-1-1-użno. Za 1-1-lużno. W tym w-w-właśnie problem - jestem za 1-lużny.

I oczywiście miał rację.

Próbowałam go naprężyć...

- On ch-ch-chyba nie jest aż t-tak rozciągliwy, Jane.

...i postawić.

- Zły kier-r-runek jazdy. Ale doobrze mi!

Patrzyłam, jak zwisa bezużytecznie...

- Nic z tego.

...I usiadłam na nim.

- Jest duża sz-szansa.

W sumie nie było to najciekawsze doświadczenie seksualne, ale byłam pewna, że coś się na tym ostatnim okrażeniu wydarzyło.

Fakt, myślałam sobie, słuchając pochrapywania Trevora, że jeszcze raz się potwierdziła mądrość Szekspira, który dostrzegał ścisłą zależność pomiędzy winem a skutecznością działań, ale jedyne, na czym mi zależało, to żeby jeden silny plemnik znalazł się po mojej stronie. Tylko jeden silny plemnik i miałabym to, czego chciałam. Spełniłyby się moje marzenia.

To był jeden z tych doskonałych dni, o jakie modli się w cichości ducha każdy turysta odwiedzający Londyn. Och, nie mam na myśli dziwnych dni sierpniowych, kiedy niebo jest nieskazitelnie błękitne, a upał sprawia, że ludzie spacerują po mieście, jakby to było San Diego. Nie,

chodzi mi o taki dzień majowy, kiedy bez przerwy pada deszcz i gdyby nie ledwie widoczne, przebijające się przez mgłę rekwizyty nowoczesności, człowiek mógłby przysiąc, że wylądował w środku jakiegoś starego filmu o Sherlocku Holmesie.

Dzień, w którym pogoda jest tak straszna, że po powrocie do domu każdy turysta czuje się uprawniony powiedzieć: „Tam jest naprawdę tak wilgotno, jak mówią. I ludzie naprawdę nie potrafią gotować - nigdzie, choćbyś miał skonać, nie dostaniesz przyzwoitego steku”.

Więc był to jeden z tych parszywych londyńskich dni, a ja szukałam Dodo w nadziei, że skłonię ją, żeby mi poradziła, co zrobić ze świeżą sprawą Colina Smythe'a. Znalazłam ją na zewnątrz pod arkadami domu, w którym mieściły się nasze biura, tylko częściowo skutecznie usiłującą chronić przed deszczem zarówno siebie, jak i swojego superdługiego papierosa.

Całe to szaleństwo zaczęło się jakieś pół roku temu, gdy pewien amerykański biznesmen z Seattle zjawił się o godzinie zero na swoim białym koniu, żeby uratować naszą firmę przed pożarciem przez większą firmę, co stało się normą w biznesie wydawniczym w ciągu jakichś dziesięciu ostatnich lat.

Co bardziej złowieszcze duchy przepowiadały, że któregoś dnia będzie pięć firm, które ostały się na rynku, a następnego dnia - już tylko jedna. W każdym razie człowiek z Seattle nazywał się Steve Johnson. Plotkowano, że jego matka wdała się w wojenny romans z autentycznym Churchillem z Churchill & Stewart, i że to sentyment, plus wiara w to, że pan Churchill jest jego prawdziwym ojcem, skłoniły go do zainwestowania ogromnego kapitału w niepewne wówczas przedsięwzięcie. Jedyнным warunkiem, który towarzyszył aktowi hojności pana Johnsona - poza tym, żebyśmy go mianowali członkiem rady nadzorczej, którego głos zawsze będzie

się liczył podwójnie - była deklaracja z naszej strony, że w biurze będzie obowiązywał całkowity zakaz palenia.

To było dictum człowieka, który jadł londyńskie mięso, i to z upodobaniem, podobnie jak ser stilton i wszelkie nasze ciasteczka; cóż, przynajmniej nie musiałby się martwić, że złapie raka płuc, gdyby strzelił go pełnoobjawowy zawał serca. Dictum człowieka, którego noga nie powstała w Anglii, odkąd pożegnaliśmy go na Heathrow po tym jednym tygodniu, który spędził tu pół roku temu. Dictum, które wszyscy gorliwie spełnialiśmy, mimo że nic nie zapowiadało rychłego powrotu pana Johnsona - bo kto wiedział, kiedy może się znów pojawić na swoim białym rumaku.

Wiemy już więc, że Dodo, która nadal odpalałaby papierosa od papierosa, gdyby nie warunek pana Johnsona, wychodziła palić na zewnątrz. Ja, kiedy ją znalazłam, wyjęłam z torebki silk cuta, włożyłam go do ust, zaczęłam szukać jakiejś zapalniczki i...

- Jane, jesteś w ciąży! Chyba nie będziesz palić, co?
- Nie czekając na odpowiedź, wyrwała mi papierosa z ust i zgmiotła go obcasem.

Rzuciłam jej własnego patentu spojrzenie, wyrażające zgrozę i nieufność zarazem.

- Oczywiście, że nie! Nie bądź głupia. Wyjmuję ciagle ten sam i trzymam, niezapalony, jako metaforyczny wieczny płomień tego wszystkiego, co jestem gotowa poświęcić dla zdrowia mojego nienarodzonego dziecka.
- Rany! Skąd ja brałam takie pierdoły?

Ano brałam je głównie od cholernych jankesów. Nie dość, że skopali nam tyłek w jednej wojnie, a potem, co jeszcze bardziej stoi kością w gardle, ocalili nam tyłek w innej, teraz musieli eksportować „za wodę” wszystko co najgorsze w ich zaściankowej kulturze i obyczajach.

To oznaczało, że teraz już nikomu nigdzie nie wolno będzie korzystać z przyjemności palenia czy picia, że przyszłe matki będą skazane na dziewięć miesięcy

czyśca, bojąc się, że oskarżyje jakiś Tom, Dick lub kelner, przekonani, że to, co one robią swoim nienarodzonym dzieciom, jest naruszeniem jakiegoś prawa. I to są zawsze ci sami ludzie, którzy wierzą, że przestrzegając zakazu palenia i picia w ciąży, można z czystym sumieniem oddać swoje potomstwo na wychowanie obcym ludziom, choćby ich dobrze odżywione płody miały kiedyś wyrosnąć na morderców swoich szkolnych kolegów.

Uff! Mogłam sobie pogadać, ale i tak, wystawiona na baczne oko Strażników Odżywiania Nienarodzonych, byłam chyba zmuszona porzucić dietę ograniczoną do dwunastu mleczno-owocowych koktajli dziennie.

- Czy Trevor się nie martwi, widząc, jak chodzisz z przyklejonym do ust niezapalonym papierosem? - naciskała Dodo. - O to, że znowu zaczniesz palić?

Myślałam o tym przez moment. Prawda była taka, że Trevor widywał mnie tylko z zapalonym papierosem, i nie, nigdy nie powiedział ani słowa. Dziwne, ale w ogóle się nie wtrącał do tego, co robię z własnym ciałem.

- Nie - odpowiedziałam z brawurą Joanny d'Arc. - On wie, że nie zrobiłabym niczego, co mogłoby zaszkodzić naszemu dziecku.

A niech to. Więc musiałam też zrezygnować z palenia przy ludziach.

Przypuszczałam, że w ogóle będę musiała rzucić palenie, jak tylko naprawdę zajdę w ciążę.

- Jane, czy chciałaś ze mną o czymś porozmawiać? - podsunęła Dodo, zapalając świeżego papierosa od końcówki poprzedniego. - Nie wyszłabyś chyba na ten deszcz, ryzykując, że się przeziębisz, po to tylko, żeby dotrzymać mi towarzystwa.

Wyszłam na pieprzonego papierosa, ty głupia kretynko, miałam ochotę powiedzieć, ale nie mogłam powiedzieć tego teraz, skoro Dodo została moją nową najlepszą przyjaciółką, skoro byłam w ciąży i tak dalej.

- Och! - westchnęłam. - Chciałam z tobą porozmawiać

o sytuacji Smythe'a. Ale to może poczekać. - Uśmiechnęłam się półgębkiem, poklepując swój płaski brzuch.

- Nie możemy przemoknąć.

I wróciłam do środka.

Żeby poprawić sobie humor, wymyśliłam tyłozgięcie macicy, zaczerpnięte z „Oczekiwania na dziecko”, licząc, że wzbudzę tym współczucie i coś utarguję.

- Tyłozgięcie czego? - spytała Minerva z działu reklamy.

Więść gminna niosła, że Minerva pracowała w firmie od tak dawna, że kiedy autentyczny pan Churchill po raz pierwszy otwierał jej podwoje, ona już na niego czekała. Cesała się w prosty kok, uwity na czubku głowy z nieprawdopodobnie, jak na kobietę w jej wieku, żółtorudych włosów, i nosiła wielobarwne okulary na łańcuszku, z mnóstwem kryształków górskich w kątach oprawek.

Próbowałam ją skłonić, żeby zajęła się kryzysową sytuacją wynikłą z nieszczęsnego „na mój rozum” Colina Smythe'a. Na przykład rozesłała kopie wszystkich pochlebnych recenzji z innych czasopism (to znaczy brytyjskich), których autorzy nie mieli żadnego kłopotu ze zrozumieniem, co miał na myśli, faszerując swój tekst taką liczbą „na mój rozum”, że amerykańskim czytelnikom książka przypominała porcję chili z za dużą zawartością chili.

Podstępem usiłując zaskarbić sobie sympatię Minery, zanim wspomniałam o kłopotach Colina Smythe'a, zaczęłam masować się po krzyżu - z lekkim tylko grymasem, jak gdybym dzielnie skrywała ból - i ledwie bąknęłam o tyłozgięciu, po tym, jak zapytała, czy mam jakiś nerwoból.

- Tyłozgięcie?

Wyjaśniłam jej, że statystycznie jedna kobieta na pięć ma trzon macicy odgięty ku tyłowi zamiast do przodu.

- To naprawdę nic poważnego - szarżowałam dalej.

- Podobno w większości przypadków powinna się sama wyprostować do końca pierwszego trymestru.

- A jeśli się nie wyprostuje?

- No cóż, w tych rzadkich przypadkach dochodzi do zrostów z miednicą, ucisku na pęcherz i czasem muszą pacjentce cewnikować pęcherz i odprowadzić macicę.

- Au - powiedziała Minerva, ale w tym jej „au” jakoś nie wyczułam współczucia. - Cóż, powiedz mi, jeśli do tego dojdzie. Ale, jak powiedziałaś, pewnie sama się wyprostuje. Trzymam za ciebie kciuki. Tymczasem nie rozmawiajmy o Smycie. Nie przewidziano na to środków w budżecie.

Być może prawdą jest, jak głosi stare powiedzenie, że miodem się bierze muchy, nie octem, a moje tyłzgięcie macicy na guzik się zdało.

Niech to szlag! Dalej nie byłam w ciąży!

Wyszłam z łazienki Davida, cisnęłam bezużyteczny test ciążyowy do pojemnika na śmieci pod zlewozmywakiem i wyjęłam z lodówki podwójną butelkę kwaśnego Australijczyka.

Już dawno temu wspólnie doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu marnować dobrego wina na leczenie depresji. I tak to się kończy zalaniem w trzy dupy, więc po co się karać dorzucaniem do interesu sporych pieniędzy? Z drugiej strony, warto opłacić to kacem, nieuchronnym po dużej ilości taniego wina, choćby tylko po to, żeby przypomnieć sobie rano, dlaczego nie należy wpaść w alkoholizm.

- Cholera!

- Jane, możesz mi powiedzieć, o co ci naprawdę chodzi?

- Mam dosyć tego, że nie jestem w ciąży, kiedy mi na tym zależy!

- Okej, ale to, co teraz robisz, jest naprawdę obrzydliwe.

- Co? - Chwilę wcześniej wyjęłam z jego zamrażalnika lody, i jadłam je łyżką prosto z pudełka.

- To. Mieszanie wina z lodami. To obrzydliwe. Porzygasz się.

- Aaa, to. Nawet gdyby... Jakie to ma znaczenie? Powiem Trevorowi, że miałam poranne mdłości wieczorem. - Łyżka; przełknięcie; westchnienie. - Jego to dużo obchodzi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Uświadomiłam mu fakt, że Trevor jest mniej ciepły, odkąd dowiedział się o dziecku.

- Żeby być „mniej ciepły”, Trevor musiałby być ciepły tak w ogóle, a co do tego mam poważne wątpliwości.

Poszłam za nim do łazienki, bo chciał się ogolić. David ma tak mocny zarost, że jeśli nie ogoli się dwa razy dziennie, zaczyna wyglądać jak ortodoks, który jakimś cudem trafił na reklamę Calvina Kleina.

- Och, zawsze jesteś na niego taki cięty.

- Może dlatego, że wciąż nie rozumiem, co ty w nim widzisz.

Oparłam się o framugę, koncentrując na swoich lodach.

- Zadziwiające, że on mówi to samo o tobie.

- Tak, ale moje wnioski wynikają z racjonalnego myślenia. W jego przypadku to czysta złośliwość.

- Och, po prostu go nie znasz. Trevor jest naprawdę słodki.

Spoglądając na moje odbicie w lustrze, pociągnął nożykiem po namydlonym policzku.

- Może jak na homofoba.

- Ile razy mam ci to powtarzać? Trevor nie jest homofobem. Jest tylko bardzo konserwatywny. I nie przepada za Izraelem.

Postukał nożykiem w krawędź umywalki.

- Ach tak, więc to cały kraj, z którego pochodzę, stwarza jakiś problem...

- Błagam, możemy sobie to w tej chwili darować? To ja mam problemy!

- Och, dobrze, oczywiście. - Wytarł twarz ręcznikiem.

- Jane, jeśli ty masz problemy...

- O co ci chodzi? - Omal nie udławiłam się łyżeczką.
- Uważasz, że jestem egocentryczna?
 - No, być może odrobinę.
 - Ja... Ja... Ja... W porządku. Opowiedz, co z twoją restauracją. Wszystko na dobrej drodze?
 - Jak najlepszej. Dzięki, że zapytałaś.
 - Architekt się sprawdza?
 - Na razie.
 - Sponsorzy się nie wycofali?
 - Nie.
 - Dalej się upierasz się, żeby nie zdradzić mi szczegółów? W końcu mogłabym połączyć po Covent Garden i sama się dowiedzieć, który to dom.
 - Tak, wiem. - Wychodząc z łazienki, zgasił światło.
 - Mogłabyś, ale nie zrobisz tego. Ciekawość może cię zabić, ale przegapienie szansy na to, żeby doświadczyć do końca elementu zaskoczenia, okazałoby się druzgoczące dla twojej osobowości.
 - Wiesz co - skrzywiłam się - zaczynasz wyprawiać dziwaczne rzeczy z językiem angielskim.
 - Fakt, ale ja dopiero zaczynam. Ty natomiast robisz imponująco dobrą robotę, udając prawdziwą postać.
 - O Boże -jęknęłam, wyrzucając do śmieci pudełko po lodach, i znów sięgnęłam po butelkę. - Więc naprawdę jestem egocentryczką?
 - Tak. - Objął mnie ramieniem i uściśnął. - Ale nie przejmuj się. I tak cię lubię.
 - Ale dlaczego mnie lubisz?
 - Bo nie ma drugiej takiej jak ty. Bo jesteś naturalną siłą.
 - Tak? Jeśli jestem taką naturalną siłą, to dlaczego nie mogę zająć w ciążę?
 - Nie wiem. - David wzruszył ramionami. - Może wcale, tak naprawdę, nie chcesz zająć w ciążę.
 - Bzdura, oczywiście, że chcę. A jak sądzisz, czym się zajmuję od kilku tygodni?

- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że gdybyś naprawdę chciała zająć w ciąży, nie rzucałabyś ciągle kłód pod własne nogi.

- Na przykład jakich?

- Takich jak upijanie Trevora przed pójściem z nim do łóżka. Każdy, kto kiedykolwiek przeczytał dzieła zebrane szanownego Williama Szekspira, wie...

- Tak, wiem wszystko o winie, pożądaniu i skuteczności, ale ja nie miałam zamiaru upić go do tego stopnia. Tak po prostu wyszło.

- Okej, ja tylko uważam, że gdybyś poważnie myślała o dziecku, podchodziłabyś poważniej do wszystkiego, co się z tym wiąże. Nie piłabyś... Wiesz, to że robisz to tylko przy mnie, nie znaczy, że nie robisz tego w ogóle. Nie paliłabyś... - Strzelił palcami. - No jasne!

- Co?

- Ty w ogóle nie chcesz mieć dziecka! Ty tylko chcesz być w ciąży, bez konieczności bycia w ciąży.

- To jest chore! - Zastanawiałam się nad tym przez moment. - Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć?

- Jane, czy gdybyś mogła być w ciąży, nie będąc tak naprawdę w ciąży, poszłabyś na to?

Kiedy tuż po tym, jak powiedziałam dziewczynom z biura o dziecku, powiedziałam im również, że Trevor chce się ze mną ożenić, moje notowania wzrosły o kilka następnych punktów.

- Nie mów! - Louise uraczyła mnie żartobliwym pacnięciem w ramię. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że Louise, która zdawała się mnie szczerze nienawidzić, stać było na żartobliwy gest.

Louise była typową „zimną blondynką”. Tak lodowato zimną, że nawet Stan z księgowości schodził jej z drogi. Jeśli chodzi o drugą część charakterystyki, była jeszcze jedną ze stada blondynek o prostych jak druty włosach,

z przedziałkiem na boku. (W pewnych okresach swojego życia bywałam otoczona taką liczbą blondynek o prostych jak druty włosach, że gotowa byłam przysiąc, iż w Anglii produkuje się je masowo, może w jakieś małej jaskini).

Pozycja Louise w Churchill & Stewart była analogiczna do mojej, co znaczyło, że ona mozoliła się w cieniu sławy jakiegoś ważnego redaktora, tak jak ja mozoliłam się pod zwierzchnictwem Dodo. Gdyby Louise była inną osobą lub gdybym ja była inną osobą, mogłybyśmy zostać czymś w rodzaju towarzyszy z okopów. Ale było inaczej. Nienawidziła mnie od pierwszego podania ręki, a ja odpłacałam jej pięknym za nadobne.

- Właśnie że mówię! - odparowałam, pacnąwszy ją w ramię z większą siłą.

Wtedy podeszła do mnie jeszcze inna kobieta i wszystkie zaczęłyśmy skakać radośnie jak nastoletnie kozy, aż Dodo, któż by inny, zauważyła, że takie podskakiwanie nie służy dziecku - ale dopiero po tym, jak Stan z księgowości, przechodząc obok, zatrzymał wzrok na naszych synchronicznie rozbujanych biustach i nie darował sobie komentarza:

- Brawo, normalnie za taki miły widok muszę płacić wstęp na kobiece zapasy w błocie.

Zaznaczam, że wszystkie zgodnie nienawidziłyśmy Staną z księgowości, który był szczupły w nieprzyzwoicie estetyczny sposób, nosił ciuchy, które były droższe, niż pozwalały mu na to zarobki w firmie, miał brązowe włosy obcięte na jeża, zezowate niebieskie oczy ukryte za okularami w drucianych oprawkach, i wyglądał, jakby w szkole regularnie dostawał w skórę za to, że jest gejem, choć te z nas, które choć raz uszczypnął w tyłek, mogły zaświadczyć, że nim nie jest.

Gdyby nie fakt, że jego bezwzględny matematyczny umysł rok w rok ratował budżet wydawnictwa Churchill & Stewart przed wypływem góry pieniędzy, prawdopo-

dobnie wspólnie wytoczyłybyśmy mu proces i posłały go na zasłużoną zieloną trawkę.

Ale wracam do mojego ślubu.

Sposób, w jaki Trevor powiedział, że chce się ze mną ożenić, nie miał w sobie, niestety, nic romantycznego. Zostawiliśmy w domu Kota Puncha i wyszliśmy do ulubionej restauracji Trevora, której specjalnością był bakłażan z parmezanem, przyrządzany właśnie tak, jak on lubił.

Płonęła świeca, topniejący różowy wosk skapywał na niebieskości i zielenie, które już wcześniej ozdobiły butelkę po chianti. Trevor miał drugą butelkę chianti, bez świecy i kapiącego wosku, którą bez kłopotu całkiem sam opróżniał. Sałatkowe przystawki zostały zabrane i czekaliśmy na jego bakłażana. Wszystko było prawie tak, jak powinno być w świecie Trevora, poza brakiem Kota Puncha i obecnością ciężarnej przyjaciółki.

Ja zamówiłam pastę primavera na przekór obiekcjom Trevora, jakoby nie było to dostatecznie włoskie danie, a jeśli chodzi o płynący z głośników śpiew Andrei Bocellego, prawdopodobnie nie drażniłby mnie aż tak bardzo, gdyby nie fakt, że ten sam cholerny kawałek ogłuszał mnie za każdym razem, kiedy próbowałam kupić coś do jedzenia, i zaczął mi się kojarzyć z wybieraniem ryb.

- Wiesz, Jane - powiedział Trevor, pociągnawszy długi łyk z trzeciego kieliszka chianti i sięgając po sztućce, żeby zaatakować bakłażana - kiedy mówiłem, że będę przy tobie, nie rzucałem słów na wiatr.

- Miałeś na myśli coś konkretnego? - spytałam, leniwie zawijając na widelec makaron.

- No wiesz, myślałem, że dobrze byłoby dla małego urwisa, gdybyśmy się zastanowili nad ślubem.

- Naprawdę?

- Tak, oczywiście.

- Ale czy nie powiedziałeś na jakimś przyjęciu, że nie

staniesz przed ołtarzem, nim skończysz trzydzieści pięć lat i zaoszczędzisz do tego czasu trylion funtów?

- Możliwe, że kiedyś tak powiedziałem. Ale to, co się stało, wszystko zmienia.

- Jak to?

- No więc po pierwsze, to jest tak, jakby przyszłość była tu i teraz. Jak gdyby to przyszło do nas z odwrotnej strony na taśmociągu, prawda?

- Niezupełnie.

- Okej. W porządku. Ale zakładając, że tak będzie, jedynym rozwiązaniem jest stawić temu czoło. Nie możemy wziąć nóg za pas i próbować biec w odwrotnym kierunku, prawda?

- Pytasz poważnie?

- Słucham?

Nagle zaczęłam się zastanawiać, dlaczego się tak opieram. Dlaczego tak utrudniam mu sprawę? Czy nie tego właśnie chciałam od roku - żeby Trevor poprosił mnie o rękę? Na myśl o tym, że w końcu dopięłam swego, poczułam, jak łagodnieje mi twarz. Sięgnęłam przez stół, zatrzymałam rękę, która znów zabierała się do krojenia bakłażana, i splotłam palce z jego palcami.

- Mniejsza o to - powiedziałam. - Jeśli naprawdę tego chcesz, Trevor, oczywiście, że za ciebie wyjdę. - Chyba zaczęłam mieć objawy urojonej ciąży, bo w jednej sekundzie moja powściągliwość ustąpiła miejsca szalonemu entuzjazmowi. - O jakim terminie myślisz? Już, natychmiast? Jeśli weźmiemy teraz cichy ślub, nie będę skazana na suknię w stylu empire, jak ta biedna kobieta na słynnym obrazie van Eycka...

- O Boże, Jane, nie! To znaczy, nie chodzi mi o suknię...

- Cofnął rękę, z tym swoim gestem irytacji, jakby oganiał się przed muchami, tym, który tak bardzo mnie irytował.

- Zapewniam cię, że będę przy tobie i zrobię to, co należy, ale absolutnie nie ma powodu, żebyśmy brali ślub przed urodzeniem się dziecka.

W moich doświadczeniach życiowych bardziej typowa była sytuacja, w której to ja doprowadzałam drugą osobę do tego, że jedzenie stawało jej w gardle; teraz, kiedy omal nie udławiłam się małym zielonym groszkiem, miałam okazję dowiedzieć się z pierwszej ręki, jak to smakuje. Wypiłam łyk wody.

- Czy dobrze zrozumiałam, że powinniśmy poczekać, aż dziecko przyjdzie na świat, i wziąć ślub, kiedy wciąż jeszcze będę rozdęta jak boa dusiciel po połknięciu ofiary?

- Ależ oczywiście, jeśli chcesz, możemy zaczekać, aż wrócisz do swojej wagi. A kiedy dokładnie to będzie, nie ma dla mnie wielkiego znaczenia.

- A dlaczego to dla ciebie takie ważne, żebyśmy poczekali ze ślubem do urodzenia się dziecka? - Zaczęłam się czuć wystrychnięta na dudka.

- No wiesz... Sama wiesz. Różne rzeczy mogą się zdarzyć po drodze. Z dzieckiem może coś nie wyjść, wiesz, sprawa donoszenia ciąży i tak dalej. Popatrz tylko, co mogło się przydarzyć księżniczce Niquie.

- Postawmy sprawę jasno. Gotów jesteś się ze mną ożenić, żeby dać naszemu dziecku nazwisko, ale dopiero po tym, jak naprawdę urodzę, bo chcesz mieć pewność, że dziecko przeżyje i cały zachód ze ślubem nie pójdzie na marne?

- Jane... oczywiście, że kiedy ujmujesz to w ten sposób, wychodzę na straszego chama. Chodzi mi tylko o to...

Trevor głędził dalej, a ja wróciłam myślami do początku wieczoru, gdy - zanim jeszcze zostałam brutalnie uświadomiona, jak pragmatycznie przyszedł pan młody zabezpiecza sobie odwrót - sama miałam powściągliwy stosunek „do zastanawiania się też nad ślubem”, jak to romantycznie ujął Trevor. Być może powód, dla którego tak się wahałam, miał coś wspólnego z dręczącym uczuciem, jakie nie opuszczało mnie od tamtej sceny w łazience, kiedy z dumą pokazałam mu swoją różową kreskę. Nawet wtedy, całemu temu gadaniu o byciu ze mną

brakowało entuzjazmu, na jaki chciałoby się liczyć w podobnych okolicznościach.

Z drugiej strony, ja sama zawsze byłam pragmatyczną dziewczyną; powiedzmy, zaradną dziewczyną. Odkąd pamiętam, zawsze sprawiałam wrażenie, jakbym musiała radzić sobie ze wszystkim, co zsyła mi los, wszystko musiała rozstrzygać. Fakt, że wobec Sophie byłam defensywnie agresywna, kiedy byłyśmy małe, ale to wynikało z konieczności.

Przeobrażenie się dziewczyny zaradnej w dziewczynę małpio zaradną naprawdę nie wymaga wielkiego wysiłku - zrobiłam to ot tak, jednym susem. Więc zaszalałam po małpiarsku z tą fałszywą ciążą, ale nawet ja rozumiałam, że jeśli chcę, żeby Trevor się ze mną ożenił, będę musiała przejść metamorfozę wsteczną i wykazać się zwykłą zaradnością. A gdyby przyszło co do czego, mogłabym zostać przy tej lepszej.

- Dobrze - powstrzymałam jego słowotok skąpym uśmiechem. - Przyjmuję twoją propozycję. Na twoich warunkach.

- Nie pożałujesz tego, Jane. - Jego uśmiech wyrażał ogromną ulgę. - Zobaczysz. Tak będzie najlepiej.

Kilka minut później oddalił się do toalety, gdy wyfraczony kelner przyszedł sprzątnąć nasze talerze. Ja dzięki temu miałam szansę pomyśleć o najbliższej przyszłości i szybko doszłam do wniosku, że sprawy przybrały wcale nie najgorszy obrót. Na razie musiałam trochę przystopować. Wielka rzecz.

Nie było tak - nawet gdyby Trevor chciał się ze mną ożenić jeszcze dzisiaj - żebym poważnie liczyła na to, że zechce dalej być moim mężem, jeśli w ogóle nie zajdę w ciążę, a on się dowie, że nigdy w żadnej ciąży nie byłam. Teraz przynajmniej czekała mnie zabawa z planowaniem odległego ślubu. Gdyby poszło po mojej myśli, wyszłabym za mąż teraz, ze świadomością, że może za niecały

rok będę musiała dać mu rozwód. Trochę jednak bolało, że nie kwapił się do ślubu ze mną dla mnie samej.

Trevor wciąż był w toalecie, gdy wrócił kelner z kartą deserów.

- Czy sądzi pani, że signor będzie dziś zainteresowany czymś słodkim?

Nie zadałam sobie nawet trudu, żeby sprawdzić, czy mają czekoladowy mus, ulubiony deser Trevora. Wysączyłam resztkę jego chianti i odstawiłam kieliszek na tacę kelnera.

- Chyba że signor ma ochotę wyjść z czymś słodkim na własnej głowie.

Przeżyłam krytyczne pierwsze dwa miesiące swojej ciąży. Dziecko miało dużo bardziej ludzki wygląd niż miesiąc wcześniej i było dużo większe od ziarnka ryżu. Miało około trzech centymetrów wzrostu, z czego jedną trzecią stanowiła głowa, i ważyło około dziesięciu gramów.

To chyba naprawdę niedużo; w czasach studenckich zdarzało mi się wypalać tyle samo marihuany, bez niczyjej pomocy.

Moje dziecko miało już całkiem własne rytmicznie bijące serce i prawdziwe rączki i nóżki, które wcześniej były tylko zawiązkami kończyn. Teraz kształtowały się palce dłoni i stóp, lub strzałki i świnceczki, jak nazywał je wujek Jack, kiedy zabierał się do łaskotania świnceczek moich i Sophie, za czym żadna z nas nie przepadała. Kość zaczęła zastępować chrząstkę.

Coś tu naprawdę zaczynało się dziać.

trzeci miesiąc

Sama się dziwię, że to mówię, ale nie zawsze nienawidziłam swojej siostry Sophie.

Dawno, dawno temu marzyłam nawet o starszej siostrze, która pomagałaby mi zrozumieć zawiłości życia na tej zwariowanej planecie; o starszej siostrze, z którą łączyłaby mnie zarówno wielka przyjaźń, jak i więzy krwi; o starszej siostrze, która by nie piała z zachwytu nad własnymi sukcesami i nie śmiała się z moich porażek.

Ale zamiast wymarzonej siostry miałam Sophie.

Było jednak takie jedyne dwanaście godzin, jakieś pięć lat po śmierci naszego ojca, kiedy wcale jej nie nienawidziłam. Nasza matka wyszła na swoją pierwszą i zapewne ostatnią randkę w życiu, i zostawiła nas bez opiekunki, zdecydowawszy, że Sophie, panienka w wieku dwucyfrowym, jest wystarczająco dojrzała, żeby zaopiekować się mną, zwłaszcza że Sophie była „najdroższym aniołem pod słońcem”. Zdaniem mojej matki, która mówiła mi to dość często, nie zrobiłabym źle, biorąc Sophie za wzór do naśladowania.

Zanim czerwone światła samochodu Chance'a Reynoldsa, który zabrał naszą matkę na randkę, zniknęły za rogiem szutrowego podjazdu, zwróciłam się do Panny Opiekunki:

- Mam pomysł na zabawę.
- Będą z tego jakieś kłopoty? - Sophie przygryzła wargę.

- Nie. Spodoba ci się. Nawet będzie ci smakowało.

- O mój Boże. - Złapała to od naszej matki, i przyznam, że śmiesznie brzmiała taka odzywka wychodząca regularnie z ust dwunastoletniej dziewczyny. - Czy to nie jest kluczyk do barku mamy? - spytała, wpatrując się w dynadający przed jej oczami przedmiot na łańcuszku.

- Bystra jesteś. To będzie, moja droga Soph, zabawa w barmana i gościa. - Poprowadziłam ją do barku w salonie, tak jak się prowadzi fokę na pokazie cyrkowym.

Ze swoimi świeżo umyтыми prostymi włosami blond z równiutkim przedziałkiem na boku i swoją mleczną cerą, w staromodnej płóciennnej koszuli nocnej, wyglądała jak reklama idealnego angielskiego dziecka. Stawiało to ją w rażącym kontraście z moimi opalonymi policzkami, własnoręcznie obsmzczonymi włosami i skąpą pidżamą w tygrysie cętki, do której kupienia namówiłam w sekcji Harriet, siostrę mojej matki.

- Nie masz chyba nic przeciwko temu, żebym ja była barmanem, prawda? Mój strój bardziej do tego pasuje, a ty w swoim wyglądasz jak ktoś, komu dobrze zrobi jakiś drink.

Działo się to, rzecz jasna, w czasach, kiedy wypadało pić w towarzystwie inne alkohole niż wino i piwo, więc barek mojej matki był imponująco zaopatrzony, zwłaszcza że większość zapasów zrobił nasz ojciec, znany za życia z tego, że nigdy nie odmawiał. Jak przystało na owe czasy, przy kontuarze stały wyściełane skórą stołki barowe, sprawiając wrażenie, jakby w każdej chwili mogli wpaść do nas jacyś goście, choć nie zdarzyło się to ani razu, odkąd pogrzebaliśmy ojca. Sophie, wdrapawszy się za moją radą na jeden z nich, machała w powietrzu nieskazitelnie czystymi stopkami.

- A więc - powiedziałam, stawiając przed nią kryształową szklaneczkę - co to będzie, madame?

- Eee... - Wahała się przez moment, skubiąc dolną wargę, i nagle się rozpromieniła. - Może sherry?

- Nie chcesz czegoś lepszego? Przecież sherry możesz sobie próbować, kiedy przychodzi do nas ciotka Harriet. Może coś, czego jeszcze nie piłaś?

Sophie znów skubała wargę, podczas gdy ja myszkowałam między najbardziej zakurzonymi butelkami w barku.

- Aha! - Podniosłam się ze swoją zdobyczą i postawiłam ją na bufecie. - Co byś powiedziała na to?

- „Jeżynowy snaps” - wydukała z błędem, jakby była jakąś kretynką, a nie normalną dwunastolatką, i spojrzała na mnie z niepewnym uśmiechem. - Czy to może być bardzo obrzydliwe?

- To jest wódka!

Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, ile jej tego dają, napełniając szklaneczkę do pełna, a jeśli chodzi o procent alkoholu umieszczony na nalepce, cóż, na tamtym etapie mojego życia taka informacja nic mi nie mówiła.

Wzięła łyk, wykrzywiając się na smak pierwszego mocnego alkoholu.

- Ohyda. - Wierchem dłoni wytarła usta, zamiast jednak odepchnąć ze wstrętem szklanekę, chwyciła ją z powrotem, oglądając z bliska, jakby to była jakaś szkolna przeciwność losu, którą można pokonać samym wzrokiem. - Dziwne - powiedziała. - Na początku to jest naprawdę ohydne. Ale potem zaczyna czuć się jeżyny i wtedy jest całkiem w dechę.

Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby moja siostra sztywniaczka używała takich wyrażeń jak „całkiem w dechę”. Robiło się ciekawie i szło dokładnie po mojej myśli. (Nie żebym miała jakiś konkretny plan, chciałam po prostu, żeby coś się działo).

Sophie pociągnęła następny łyk, tym razem większy, potem machnęła w moim kierunku pustą do połowy szklaneczką.

- A ty sobie nie należesz?

- Jasne, że tak. Chciałam cię tylko trochę rozkręcić.

Widzisz, na tym właśnie polega zabawa w barmana i gościa.

Odegrałam scenę szukania drugiej identycznej szklaneczki. W szafce pod bufetem było ich jeszcze jedenaście z tego samego kompletu, ale wzięłam mały kieliszek do wódki.

- Dziwne - powiedziałam, napełniając po wrąb jej szklanekę i swój kieliszek - ale zdaje się, że taka jak twoja jest tylko jedna. Trudno, będę sobie po prostu częściej dolewała.

Ale nie robiłam tego. Dolewałam jej i sobie w równym tempie, czyli na każdą jej setkę „snapsa” wypadła moja dwudziestka piątka. Przy trzeciej kolejce zaczęłam się czuć bardzo nieswojo. Miałam kompletną pustkę w głowie, raz tylko zaświtała mi myśl, że skoro mnie tak wzięło, Bóg jeden wie, co dzieje się z Sophie, która miała nade mną „przewagę” cztery do jednego.

Wyglądało na to, że ona też zaczyna się czuć nieswojo. Leżała na kanapie w odwróconej pozycji, zupełnie jak jedna z figur w kartach tarota, wisielec, czy jak mu tam. Jej potargane włosy zwisały na dywan, na białej nocnej koszuli, zadartej do samych bioder, były purpurowe plamy. Gołe nogi sterczały nad oparciem kanapy, palce stóp tańczyły w rytm przypominający charlestona. Za każdym razem, kiedy próbowała coś wymamrotać, gestykulowała prawą ręką, wprawiając napełnioną do połowy szklaneczkę w szybkie, miarowe kołysanie nad kremową kanapą naszej matki.

- Wiesz co, Jane... - zaczęła.

- Soph, uważaj na szklanekę - upomniałam ją po raz nie wiadomo który, przytrzymując jej rękę.

Siedziałam po turecku na podłodze i kiedy patrzyłam na odwróconą twarz mojej siostry, nareszcie ożywioną jakimś kolorem, po raz pierwszy wydała mi się prawie ładna.

- Wiesz, Jane... Ja się wcale nie cieszę, że jestem

pupilką mamy. Nie wiem, jak to się wszystko zaczęło. Naprawdę myślisz, że to zabawne czuć się, jakbyś bez przerwy musiała być doskonała?

I to był dokładnie ten moment, w którym dojrzewające we mnie owego wieczoru uczucie w pełni się skryształizowało. Dokładnie w tamtym momencie po raz pierwszy kochałam swoją siostrę.

- Mówisz serio, że to cię nie cieszy?

- Kurczę, nie. - Potrząsnęła synchronicznie głową i szklaneczką, wpadając z powrotem w tę lingwistyczną czarną dziurę swojej osobowości, z której wydobyła nieco wcześniej „całkiem w dechę”. Beknęła, zasłaniając ręką usta o wiele za późno. - Nie znoszę tego. - Teraz Sophie Bez Skazy nie była nawet w stanie mówić pełnymi zdaniami.

Siostrzana więc jeszcze bardziej się umocniła.

Upiekłyśmy jakiś krzywy tort, robiąc nieprawdopodobny bałagan w kuchni, potem poprzestawiałyśmy meble w całej gościnnej części domu. Gdy na zakończenie zabawy Sophie zwróciła trochę „jeżynowego snapsa”, ja, chroniąc przed skalaniem jej włosy, po raz pierwszy z życia czułam się jak prawdziwa siostra.

W końcu poszłyśmy spać.

- Dobranoc, Jane - mruknęła sennie Sophie, kiedy zapakowałam ją do łóżka. - Kocham cię. - I przekreśliła się na bok.

- Dobranoc, Soph - powiedziałam miękko, postępując z największą ostrożnością. - Ja też cię lubię.

Potem się wycofałam do swojego pokoju, sąsiadującego przez ścianę z pokojem Sophie.

Rano, kiedy matka zobaczyła pobojowisko i otwarty barek (w nocy po swoim powrocie nie zapaliła światła), udała się natychmiast do pokoju Sophie.

Słyszałam stłumione głosy, ale nie byłam w stanie wychwycić słów, dopóki Sophie się nie wydarła: „Ale to był pomysł Jane!”

Fakt, że wkrótce potem usłyszałam, jak znów haftuje w toalecie, nie wpłynął łagodząco na fakt, że z powrotem zaczęłam nienawidzić Sophie.

Blisko dwadzieścia lat później moje uczucia wobec Soph trochę się zmieniły.

Była pogodna czerwcową sobota, początek mojego „trzeciego miesiąca”, a ja zaprosiłam na drugie śniadanie matkę i Sophie. Pomyślałam, że skoro powiedziałam już wszystkim z pracy (łącznie z tymi, których nie lubiłam, nawet Stanowi z księgowości), równie dobrze mogłam powiedzieć swojej matce i siostrze, zanim ta wieść dotrze do nich pocztą pantoflową.

Zaopatrzyłam się w okazały zapas bezkofeinowych herbatek, z myślą o Sophie i jej stosownych dla Statecznej Ciężarnej Damy zasadach odżywiania, oraz wystarczającą ilość ciastek wielkości połowy ludzkiej głowy dla mojej matki.

Więc, jakżeby inaczej, moja matka się nie zjawiła.

- Jak to: nie przyjdzie?! - wydarłam się na Sophie, gdy reszta jej ciała wtoczyła się za nabrzmiętym brzuchem do mojego pokoju dziennego.

W każdej innej sytuacji ucieszyłabym się, widząc, że hormony ciąży odebrały zdrowy połysk jej włosom, ale byłam zbyt zajęta przeżywaniem dziecinnego rozczarowania, żeby odnotować z satysfakcją, że ciąża pozbawiła ją nieprzeciętnego wycucia stylu, który zawsze miała. Workowata bluzka z kokardką przy kołnierzyku dowodziła niezbicie, że nadmiar progesteronu może być bardzo niebezpieczny.

- Jak to: nie przyjdzie? - powtórzyłam pytanie, gdy Tony usadził ją na mojej kanapie, pocałował w czubek głowy i obiecał odebrać za godzinę. Po czym uciekł.

- Przykro mi, Jane - powiedziała mało przejętym głosem - ale naprawdę nie może. Kazała cię przeprosić, ale kiedy zgodziła się przyjść w sobotę o jedenastej, po

prostu zapomniała, że w soboty o jedenastej umawia się na manikiur.

- Na manikiur? Ale ja mam ważną sprawę!

- Oho! Ważną, naprawdę? Mogłaś powiedzieć coś przez telefon zamiast robić z tego tajemnicę. Czy ty zawsze musisz grać Matę Hari? „Jeśli jesteście wolne o jedenastej w sobotę, byłoby miło, gdybyście do mnie wpadły”. Dlaczego nie powiesz, że to ważne, jeśli jest ważne? Boże!

- Co z tobą, Soph, masz za ciasny biustonosz?

- Nie. Po prostu znów muszę zrobić siku, po raz czterdziesty dzisiejszego dnia. Pozwolisz? - spytała, powracając do typowego dla siebie stanu mdłej łagodności.

Podźwignęła się na nogi i z jedną ręką na krzyżu poczłapała do łazienki. Wyglądała, jakby się miała lada moment rozsypać, a była w siódmym, może w ósmym miesiącu.

Wróciła po chwili, z ręką na brzuchu i odzyskanym błogim uśmiechem.

- Och, teraz mi dużo lepiej. - Umościła się z powrotem na kanapie, a ja nalałam jej do kubka rumiankowej herbaty. - Więc powiedz mi, Jane, co to za ważna sprawa, dla której potrzebowałaś tak strasznie nas obu?

- Kiedy ostatnio - zapytałam wojowniczym tonem - zaprosiłam tutaj was obie?

- Nigdy - odpowiedziała po chwili namysłu.

- A jak długo tu mieszkam?

- Hmm... chyba kilka lat.

- No właśnie. Więc jeśli od kilku lat nigdy nie zaprosiłam was obu, to skoro już to zrobiłam, musiałam mieć coś... - Wykonałam posuwisty gest ręką, jak gdybym miała do czynienia z mało rozgarniętym dzieckiem, które na to, żeby coś skojarzyć, potrzebuje dużo czasu i zachęty.

- ...Ważnego? - dopowiedziała po długiej pauzie.

- Brawo! Damy dziewczynce ciasteczko. - Co próbowałam zrobić, ale odmówiła, twierdząc, że to niezdrowe dla dziecka i że wolałaby rzodkiewki.

- Nie bądź śmieszna.

- Niby co jest śmiesznego w rzodkiewkach? Jesteś osobą w pełni świadomą, co jest dobre dla zdrowia. Zresztą ostatnio mam niepohamowany apetyt właśnie na rzodkiewki. I na ciastka. A że ciastek jeść nie mogę...

- Dajmy temu spokój - powiedziałam, zrzucając ze stołu Kota Puncha. Kocica nie pokazywała się od rana, ale widocznie i ją naszedł niepohamowany apetyt na ciastka. Uśmiechnęłam się z nadzieją, że wyszedł z tego szczerzy uśmiech, i usiadłam obok Sophie. - Więc chciałam ci powiedzieć...

- Wiesz, ciężarne kobiety nie powinny przebywać z obcymi kotami ani sprzątać kuwet.

Potarłam nos, modląc się o cierpliwość. To na to poświęciłam piękne sobotnie przedpołudnie, które mogłam spędzić w parku na rowerze, z ojcem swojego dziecka? Zrezygnowałam z parku dla toksoplazmozy?

Prawdę mówiąc, nawet gdyby Sophie nie przyszła, nie jeździłabym na rowerze z Trevorem, bo mimo że była sobota, Trevor wyszedł wcześniej do biura, żeby poświęcić się jakiejś pilnej pracy. Ostatnio poświęcał się jej bardzo intensywnie. Pewnie ja też bym pracowała, bo Dodo powierzała mi ostatnio coraz więcej własnej redakcyjnej roboty, ale tak czy inaczej, zaprosiłam Sophie w celu nawiązania...

- Tak - powiedziałam - próbując pozbyć się niejasnego wrażenia, że wolałabym już czytać złą literaturę niż rozmawiać o kocich kuwetach. - Chyba gdzieś o tym czytałam.

- Chodzi o choroby, które mogą przenosić. Łapią je, kiedy wychodzą z domu i polują na szczury i różne inne.

- Tak. Wiem. Ale Kot Punch nie jest obcym kotem. To znaczy, jest obcym kotem, ale nie w tym sensie, jaki masz na myśli. W każdym razie nigdy nie wychodzi z domu, choć bardzo bym tego chciała, więc naprawdę nie musisz się martwić, że jest...

- Mieliliśmy kota do czasu, kiedy zaszłam w ciążę.

- Tak?

- Tak. Nazywał się Dżet. Kiedy okazało się, że jestem w ciąży i Tony chciał, żebym rzuciła pracę, powiedział, że przebywanie cały dzień z kotem i sprzątanie jego kuwety nie byłoby dla mnie dobre, nawet jeśli we wszystkich książkach piszą, że jeśli miało się kota wcześniej, nie ma potrzeby się go pozbywać. Więc daliśmy ogłoszenie do gazety i przyszła taka śliczna mała dziewczynka z rodzicami i ze swoją własną kuwetą...

- Dla niej czy dla Dżeta?

- Słucham?

- Czy kuweta była dla kota, czy dla małej ślicznej dziewczynki?

- Co ty, oczywiście, że dla kota. Nie rozumiem, jak mogłaś pomyśleć...

- Och, mogłabyś się w końcu zamknąć?! - krzyknęłam. - Nie widzisz, że jestem w ciąży?

- Nie, oczywiście, że nie widzę, bo jesteś strasznie chuda. Ale wracając do kota... - Zanim jednak otworzyłam usta, żeby ją uciszyć, zrobiła to sama, łapiąc się za głowę z niedowierzania. - Nie mów! - wrzasnęła, nie chcący małpując dziewczyny z biura.

- Właśnie że mówię.

- Mój Boże - powiedziała stłumionym głosem, a potem zrobiła coś, czego nigdy dotąd nie zrobiła. Wyciągnęła ręce i uściśnęła mnie, tuląc do siebie tak czule, jak gdyby była dużo starszą siostrą niż ten jeden rok.

Prawie dwadzieścia lat temu powiedziała, że mnie kocha, ale choć bardzo chciałam jej wtedy wierzyć, wiedziałam, że to był tylko odruch wdzięczności za to, że uchroniłam przed wymiocinami jej piękne włosy. Teraz tego nie mówiła, ale wyrażała swoim zachowaniem; tylko że tym razem to nie było za coś, co dla niej zrobiłam. Tym razem, jeśli niekoniecznie było to za to, kim jestem, było za to, do czego, jak myślała, jestem zdolna, za coś we

mnie. Być może jedno z moich najskrytszych marzeń miało się wreszcie spełnić. Być może byłam o krok od nawiązania siostrzanej więzi z własną siostrą.

- Mój Boże! - powiedziała znowu, tym razem bardziej radośnie. - Wiesz, co to znaczy?

Wzruszyłam dwuznacznie ramionami: nie, że „niezupełnie”; tak, że „a co, wyglądam na głupią?”

Sophie przyjęła do wiadomości wariant pierwszy.

- To znaczy, że nasze dzieci będą w tym samym wieku i będą ciotecznym rodzeństwem!

- Może nawet będą się lubić!

- O rany, coś takiego trzeba uczcić. Należy nam się po ciachu.

- Ale powiedziałaś, że...

- Do diabła z doskonałym odżywianiem! Jutro znów możemy być grzeczne do obrzydliwości. Tymczasem - powiedziała konspiracyjnym tonem - zjedzmy sobie na spółę ekierkę. I napoleonkę... Och, zaraz, tylko czy ty się czujesz na siłach? Chyba nikt nie wie lepiej ode mnie, co się dzieje z żołądkiem w pierwszych trzech miesiącach ciąży.

- Eee tam - zlekceważyłam poranne mdłości, których nie miałam, dzieląc na pół ogromne ciastko. - Nie dokucz mi to za bardzo. Mam chyba dużo szczęścia, że odziedziczyłam geny po babci Taylor. Pamiętasz, jak mówiła, że wolałaby urodzić całą gromadę dzieci, niż pójść jeden raz do dentysty?

Sophie wybuchnęła śmiechem.

- A pamiętasz, co na to mówiła mama? Że tylko dlatego babcia Taylor mogła tak myśleć, że w tamtych czasach kobiety były rutynowo znieczulane, dopiero później przyszła moda na naturalne metody rodzenia, a swoją drogą babcia Taylor była pijaczką.

- Pamiętam.

Na życzenie Sophie jadłyśmy z jednego talerza, każda swoim widelczykiem.

- Och - westchnęła - to będzie cudowne.
 - Ze nasze dzieci będą w tym samym wieku? Że będą ciotecznym rodzeństwem i może nawet będą się lubiły?
 - To też. Ale... jest jeszcze inna dobra strona tego, że obie jesteśmy w ciąży.
 - Ooo... - Odłożyłam widelczyk.
 - Teraz mama będzie musiała przelać nieco troskliwości, którą mnie zamęcza, na ciebie.
- A więc, podobnie jak dwadzieścia lat temu, Sophie w swoim przypływie siostrzanych uczuć kierowała się niskimi pobudkami.
- Może nawet mama zacznie cię wreszcie lubić - dodała z konspiracyjnym uśmiechem.

Gore Vidal powiedział kiedyś: „Ilekoć mój przyjaciel odnosi sukces, ja po trosze umieram”. To doskonała synteza pisarskiego życia, którą często cytowałam moim kolegom ze światka wydawniczego. Jeśli o mnie chodzi, zwykłam traktować sukcesy przyjaciół tak jak moje własne, bo słowo daję, gdyby nie przyjąć takiej postawy, jaki sens w ostatecznym rozrachunku miałyby nasze życie?

- Opowiedz mi jeszcze raz o Christopherze - prosiłam Davida, praktycznie truchając u jego boku, kiedy zbliżaliśmy się do kebab baru na Tottenham Court Road. - Ma na imię Christopher, prawda?

- Tak, zgadza się, i jest najcudowniejszym mężczyzną, jakiego poznałem, odkąd mieszkam w twoim kraju. Jest Anglikiem, ale całkiem nieangielskim, jeśli wiesz, co mam na myśli, i jest prawdziwym hulaką.

- Chcesz powiedzieć, że to libertyn?

- Nie, podejrzewam, że głosuje na laburzystów.

- Nie o to mi chodziło. I sędzę, że tobie też chodziło o coś innego.

Wszedł pierwszy i, jak przystało na dżentelmena, przytrzymał mi drzwi.

- To może chciałem powiedzieć, że jest nicponiem.
- Nie, to naprawdę nie jest to słowo, którego szukasz.
- W porządku. - Podsunął mi krzesło, wytarłszy je przedtem. „Korona Tandoori” była obskurnym barem z aż dwoma stolikami, ale przyrządzali tam najlepsze curry w okolicy. Potwierdzić to mogli jednak tylko ci, którzy wiedzieli, że trzeba je zamówić do zjedzenia na miejscu; jeśli zamawiało się na wynos, mogli wrzucić do torby, co popadnie. - Powiedzmy więc, że kocham go bardziej niż wszystkich innych, których kocham i których poznałem w tym kraju po tym, jak poznałem ciebie.

- Mocno powiedziane.

Kiedy na niego spojrzałam, zmienił się na twarzy. Widziałam, jak opromienia ją czysta, niezmacona radość; rzadko taką widywałam, może na twarzach bardzo małych dzieci, którym poszczęściło się na tyle, żeby mieć wspaniałych rodziców.

Gdy David podniósł się z krzesła, odwróciłam się, żeby zobaczyć obiekt jego niepomahowanego zachwytu, i po raz pierwszy zetknęłam się twarzą w twarz z jego Christopherem.

Spodziewałam się czegoś w rodzaju kobieco-męskiego przeciwieństwa Davida, a stanął przede mną drugi David, tyle że bez obcego akcentu.

- Domyślałam się, że jesteś Christopher - powiedziałam, wyciągając rękę. - Ty i David poznaliście się, kiedy David szukał nowego architekta do swojej restauracji.

- Owszem. - Uścisnął mi rękę wystarczająco ciepło, żeby stworzyć podwaliny przyszłej zażyłości. - A ty na pewno jesteś Jane. Ty i David poznaliście się, kiedy on wprowadzał się do mieszkania w Knightsbridge i musiał pożyczyć klucz francuski. Stałaś w drzwiach prawie naga i pomyślałaś, że on próbuje cię napastować, a potem poczułaś się urażona tym, że nie próbował. Kiedy się zorientowałaś, że jest gejem, zostaliście najlepszymi przyjaciółmi i nadal nimi jesteście.

- Owszem. - Zrozumiałam, co David miał na myśli, mówiąc, że Christopher jest Anglikiem, ale całkiem nieangielskim. - Jesteś pewien, że nie jesteś Amerykaninem?

- Nie - powiedział i ledwie rzuciwszy okiem na menu, zamówił swoje danie. - Dlaczego pytasz? Spodziewałaś się kogoś bardziej zmanierowanego?

- Nie, tylko...

- Nie wszyscy się tak zachowujemy. To nie jest żaden wymóg.

- Wiem, tylko że...

- Bywa, że zakochują się w sobie mężczyźni bardzo do siebie podobni, jak ja i David. Nie w każdym związku musi być „kobiecy” partner, choć tak by wynikało z różnych książek i filmów.

- Tak, pracuję w wydawnictwie i wiem, że...

- Nie ma powodu...

Tym razem mu przerwałam.

- Chodziło mi tylko o to, że strasznie dużo gadasz jak na kogoś, kto nie jest Amerykaninem.

- Aha. O to. Cóż, moja matka pochodzi z New Jersey.

Po czym zaniósł się głośnym śmiechem, takim rodzajem śmiechu, od którego musiało pochodzić słowo „rechot”.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem...

Plask, plask, plask. Christopher walił otwartą dłonią w blat chwiejącego się drewnianego stołu, a David zaczął rechotać razem z nim.

- Powinnaś widzieć swoją twarz! - ryknął David, pocierając ręką oczy.

- Kiedy David pierwszy raz mi o tobie opowiadał - wydusił Christopher, gdy ich wzajemna wesołość zaczęła mijać - wiesz, tamtą historię z kluczem francuskim...

- Tak, wciąż pamiętam tamto wydarzenie.

- Powiedziałem mu też - David podjął wątek Christophera - że mimo dziwacznych okoliczności naszego pierwszego spotkania jesteś najtwardszą kobietą, jaką

poznałem, włączając wszystkie kobiety noszące uzi, które poznałem w moim kraju, i że po prostu nie ma mowy, żeby zrobić sobie z ciebie jaja.

- Na co ja powiedziałem - przejął pałeczkę Christopher - zdaj się na mnie.

- Więc założyliśmy się... - David wręczył Christopherowi zwitek pogniecionych banknotów, które wyglądały na niskie nominały, ale zawsze...

- No i wygrałem! - Christopher przyjął pieniądze i znów ryknął śmiechem.

W końcu się pozbierałam.

- Więc to nie było na serio, cała ta tyrada o zmanierowanych gejach i tak dalej?

- Och, oczywiście, że na serio, ale tylko słowa, a nie jako tyrada.

- I twoja matka nie pochodzi z New Jersey?

- Właściwie to też jest prawda.

Jasne, dopóki jest im na rękę.

Nad parującymi talerzami samosy z kurczakiem i *aloo* samosy - byliśmy w bardzo samosowym nastroju - opowiedzieli mi jeszcze raz, jak to Christopher zastąpił poprzedniego architekta współpracującego z Davidem. Słyszałam wcześniej wersję Davida, ale oni wciąż byli na etapie świeżej znajomości i skorzystali z okazji, żeby przywołać na głos wszystkie okoliczności narodzin ich związku, a ja z radością służyłam za pretekst do ich szczęśliwych wspominek.

David dalej się bronił przed wtajemniczeniem mnie w szczegóły projektu restauracji, twierdząc, że chce, aby to była kompletna niespodzianka, zastanawiałam się więc, co aż tak oryginalnego można robić zjedzeniem. Ale Christopher nie mógł się powstrzymać i wracał do tematu, jako że był to ich pierwszy wspólny grunt, i w pewnym momencie żartobliwie zasugerował Davidowi, żeby zastanowił się jeszcze raz nad nazwą i motywem przewodnim.

- Mógłbyś ją nazwać „Ryby! Ryby! RYBY!!!” - wrzasnęła, pisząc to na papierowym obrusie, żebym mogła w pełni docenić pomysł, choć i tak nie chwyciłam dowcipu.

Niespecjalnie się tym przejęłam, bo David załapał od razu, i ryknął śmiechem razem z Christopherem. Wyglądało na to, że mój najlepszy przyjaciel jest zakochany.

Patrzyłam na rozanielonego Davida i na Christophera i pomyślałam z żalem o Trevorze.

Ptaszki to robiły. Pszczołki to robiły. Nawet Izraelczycy o owłosionych kolanach to robili. Jeżeli oni mogli, dlaczego ja nie mogłam się zakochać?

- Chyba nie wybierasz się dzisiaj na siłownię? - spytała Dodo, wskazując moją nylonową torbę, którą wyjęłam spod biurka, szykując się do wcześniejszego wyjścia.

- Eee - odpowiedziałam przebiegle.

- Nie sądzisz, że powinnaś już przestać myśleć o ćwiczeniach siłowych i bieganiu? Raczej mało prawdopodobne, żeby to wyszło na zdrowie twojemu dziecku.

Bycie w ciąży w dwudziestym pierwszym wieku, szybko to odkryłam, przypominało stanie na środku pola minowego z dzieckiem w łonie i słowami na ustach: „Boże, mam nadzieję, że to się dobrze skończy”. Jakby nie dosyć było tego, że palenie zwiększa ryzyko niskiej wagi urodzeniowej - statystyka, którą miażdży sam tylko przypadek Franka Sinatry, bo nie sposób sobie wyobrazić, żeby matka Franka nie była palaczką, a każdy, kto wie cokolwiek o Franku, wie na pewno, że urodził się, ważąc prawie sześć kilo - to jeszcze picie robi z dziecka alkoholika.

Okej. Zgoda. Nawet ja musiałam przyznać, że jeśli ciało gospodarza waży jakieś sześćdziesiąt razy więcej niż gościa, to rozsądek nakazuje zrezygnować z substancji wystarczająco mocnych, żeby odurzyć większą z dwóch istot. Ale był jeszcze cały ten szum z kocimi kuwetami (to

akurat pracowało na moją korzyść), z gorącymi kąpielami i saunami, z elektrycznymi kocami i poduszkami, kofeina, prześwietleniami, z zagrożeniami domowymi, z czymś, co nazywano manewrem Valsalvy, a co właśnie uświadamiała mi Dodo.

- A co to, do cholery, jest?

- Wstrzymanie oddechu i parcie. Jeśli kobieta chce nadal uprawiać ćwiczenia siłowe w czasie ciąży, dozwolone jest podnoszenie tylko lekkich ciężarów - akcent na „lekkich” - ale musi pamiętać o wydechu w fazie obciążenia i zawsze, ale to zawsze unikać manewru Valsalvy.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy?

Wyjęła z szuflady swojego biurka egzemplarz książki „W oczekiwaniu na dziecko” i pomachała mi nim przed nosem.

- Przecież nie mogłam pozwolić, żebyś przebrnęła przez to wszystko sama. Powiedziałaś mi kiedyś, że nie możesz liczyć na swoją matkę ani na Sophie, a jeśli chodzi o inne przyjaciółki... - Zawiesiła znacząco głos, będąc zbyt delikatną osobą, żeby wytknąć mi wprost, że nie mam żadnych. - W każdym razie - ciągnęła promiennie - pomyślałam sobie, że skoro my dwie tak bardzo się zaprzyjaźniłyśmy, przyzwoitość nakazuje, żebym uzbroidła się w stosowną wiedzę po to, bym mogła cię jak najlepiej wspierać.

Nieźle. Dlatego wybrałam Dodo, bo ona nie miała żadnej siostry, żadnych przyjaciółek, miała trzydzieści pięć lat i nie chciała rodzić dzieci, a ta mi nagle oświadcza, że zostanie alfą i omegą w sprawach ciąży, i wszystko to dla mojego dobra.

Coraz lepiej, myślałam dalej, gdy obdarzyła mnie mocnym kobiecym uściskiem. Teraz, poza wszystkim innym, będę musiała zawracać sobie głowę manewrem Valsalvy.

Czy to nie zadziwiające, że współczesna ciężarna kobieta - przynajmniej w pierwszej ciąży - wydaje się

przemykać przez otaczający ją świat niczym ofiara nerwicy frontowej?

Jest tyle *rzeczy*, którymi musi się martwić, tyle *rzeczy*, za które może potem czuć się odpowiedzialna, że wygląda to tak, jakby żyła w stanie permanentnego lęku, walczącego o lepsze z euforią, która, jak ciągle wmawiają jej ludzie, powinna być jej naturalnym stanem. Zwykle ci sami ludzie opowiadają, jakim zagrożeniem jest zjedzenie kawałka ryby bez konsultacji z jakąś agencją ochrony środowiska, która sprawdzi, czy owa ryba nie została skażona dwufenylami polichlorowanymi, które mogą obniżyć dziecku IQ. Nic dziwnego, że współczesna przyszła matka wymaga nadzwyczajnej troski, żeby tylko przebrnąć przez to wszystko bez kompletnego załamania nerwowego. Jak to było z kobietami w dawniejszych czasach?

Powiem wam jedną rzecz. W starych dobrych czasach ludzie w ogóle nie przejmowali się takimi rzeczami. Żyli w błogiej nieświadomości. Fakt, że śmiertelność niemowląt była wtedy o wiele wyższa, ale z pewnością składały się na to i inne czynniki.

Typowa żona farmera zachodziła w ciążę wielokrotnie. Do głowy jej nie przychodziło, że kontakt z kocim gównem może stanowić jakiś problem, choćby dlatego, że narażona była na kontakt z tyloma innymi rodzajami gówna. Piła wodę, korzystała z ciepła na tyle, na ile mogła sobie pozwolić, żeby nie marznąć, od czasu do czasu piła whisky swojego męża w celach leczniczych, zaciągała się ręcznie skręconymi papierosami, jeśli miała na to ochotę. Dźwigała różne ciężary, nie zastanawiając, jaką metodę oddychania stosuje, traciła część dzieci, część dzieci udało jej się wychować, i umierała, ani razu nie pomyślawszy, że jest osobiście odpowiedzialna za współczynnik strat w swoim przychówku.

Wiedziałam jednak, że gdyby dzisiaj ciężarna kobieta zachowywała się tak beztrosko, aresztowaliby ją prawdopodobnie pod zarzutem zaniedbania.

Ja na razie miałam inne zmartwienia. Bo, zdaniem Dodo, powinnam wybrać położnika.

- Jak to? Naprawdę nie wybrałaś jeszcze położnika?!
- Dodo wrzasnęła mi niemal prosto do ucha, co oznaczało, że każdy w biurze, kto był w zasięgu jej głosu, poczuł się zrugany, tylko mniej boleśnie.

Oczywiście, że powinnam była znaleźć nazwisko jakiegoś położnika. Nie wiem, jak mogło mi to wypaść z głowy. Ilekroć Trevor pytał mnie, jak rozwija się ciąża, zmyślałam coś o ostatniej wizycie u lekarza i mówiłam, że wszystko przebiega, jak należy. Czego więcej ludzie się spodziewali? Szczegółów?

- Eee... - zaczęłam inteligentnie. - Rzeczywiście powiedziałam, że jeszcze go nie wybrałam?

- Rzeczywiście - powiedziała Constance, nasza recepcjonistka o wyglądzie nadzianej małolaty, która dzięki temu, że był wtorek, a nie piątek, siedziała przy swoim biurku.

- Eee... - Znów to samo. Za kogo ja się, do diabła, miałam, za cholernego Hugh Granta? - Może tak powiedziałam, ale niekoniecznie to miałam na myśli.

- Więc powiedz - odezwała się Louise, która była młodszą redaktorką asystującą redaktorowi, który był najbardziej zazdrosny o sukcesy Dodo. Grzebała coś przy kserokopiarce, jak zawsze, kiedy chciała podsłuchać czyjąś rozmowę. - Powiedz nam wszystkim, Jane, co koniecznie miałaś na myśli.

Tak, to była ta sama Louise, która skakała ze mną z radości miesiąc wcześniej, gdy powiedziałam jej o planowanym ślubie. Od tego jednak czasu entuzjazm koleżanek z wydawnictwa wobec mojego prokreacyjnego i matrymonialnego podwójnego zagrania jakby osłabł i nie bardzo mogłam wyczuć dlaczego.

Czy była to zazdrość o nadmiar łask, które ofiarowało mi życie? Czy one też marzyły o porannych mdłościach

lub, jeszcze bardziej, o nadzwyczajnych przywilejach, które się z nimi wiązały? Czy one też chciały być zaręczone, z nadzieją godną Pollyanny, że, jak bohaterki komedii Szekspira, będą mogły zamknąć swoje historie u progu dozgonnego szczęścia - nie przechodząc do aktu szóstego, gdzie nieuniknioną kolejną rzeczą rozpoczynają się małżeńskie kłótnie o prawo do trzymania pilota, o to, kto ma wynieść śmieci lub czy naprawdę muszą odwiedzać teściów w każdy weekend.

Zadziwiające, doprawdy, jak szybko kobiety potrafią zmieniać front. Sama będąc kobietą, nigdy nie mogłam przewidzieć choćby ze statystycznym prawdopodobieństwem, z której strony nadejdzie atak.

- No powiedz, Jane. - Constance stanęła obok Louise.

- Możecie mi wybaczyć na moment? - Uśmiechnęłam się krzywo. - Obiecałam jednej z moich neurotycznych autorek, że oddzwonie do niej o... - pospiesznie zerknęłam na zegarek - ...teraz. Boję się, że nawrzuca kamieni do zgrzebnego worka, przewiąże się nim w pasie i pójdzie rzucić się do Tamizy, jeśli nie zadzwonię punktualnie. Znacie ten typ. - Posłałam im jeszcze jeden uśmiech. - Obiecuję, że to będzie chwilka.

Bezpieczna w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, chwyciłam komórkę i wcisnęłam numer komórki Davida.

- *Shalom?*

- Zawsze tak odpowiadasz, czy rezerwujesz to dla mnie?

- Robię to specjalnie dla ciebie, Jane. Wiem, jak bardzo lubisz być traktowana z wszelkimi etnicznymi szykanami.

- Wielkie dzięki, że zawsze o mnie myślisz, ale nie mam w tej chwili czasu na pogaduchy. Jesteś zajęty?

- Nie wierzę własnym uszom.

- O co ci chodzi?

- Nigdy mnie nie pytałaś, czy jestem zajęty.

- Aha. To odchylenie od normy. Ale poważnie, jesteś... zajęty?

- Cóż, pracuję nad zrealizowaniem swojego życiowego marzenia.

- To może poczekać... - zniżyłam głos do szeptu - ...bo potrzebuję twojej pomocy.

- W czym?

- Dodo i reszta dziewczyn chcą ze mnie wycisnąć nazwisko położnika.

- Więc? - On też zaczął szeptać. - Jesteś pomysłowa. Po prostu wymyśl jakieś nazwisko.

- Nie mogę go po prostu wymyślić.

- Dlaczego nie? Wymyśliłaś całą tę ciążę. Co to za problem wyciągnąć z kapelusza jakieś lekarsko brzmiące nazwisko?

- A jeśli one to sprawdzą? Te kobiety są strasznie wścibskie. - Urwałam. - A dlaczego ty też mówisz szeptem?

- Staram się być koleżeński - wyszeptał. - A tak na serio, Jane, naprawdę muszę już wyjść. Są pewne decyzje dotyczące restauracji, które tylko ja mogę podjąć.

- Och, w porządku - powiedziałam z irytacją. - Jeśli naprawdę musisz się zająć swoim cholernym życiowym marzeniem...

- Tak, naprawdę muszę, Jane. Ale jestem przekonany, że wymyślisz jakieś rozwiązanie - choćby nie wiem jak szalone - całkiem samodzielnie.

Klik.

Co za chamstwo! Nienawidzę, kiedy ktoś się rozłącza bez pożegnania.

No nic. Obciągnęłam spódnice i przygotowałam się do powrotu na plac bitwy.

- Już jestem - ogłosiłam.

- Tak - zauważyła Louise. - Widzimy. Autorka ciągle żyje?

- Tak.

- Nie utopiła się w Tamizie?
- Nie.
- Świetnie. To możemy wrócić do tematu?
- Tak. Więc nie chodziło mi o to, że nie wybrałam jeszcze położnika. Chciałam powiedzieć, że doktor... doktor...

- Tak, Jane? Który doktor?

Nagle mnie olśniło i, zanim pomyślałam o konsekwencjach, wyrzuciłam z siebie:

- Doktor Shelton... ma być moim położnikiem.

Doktor Shelton był bardzo sławnym położnikiem, jedynym, którego nazwisko znałam. Problem polegał na tym, że ponieważ to on prowadził patologiczną ciążę jednej z pomniejszych członkiń rodziny królewskiej, czemu dużo uwagi poświęcały media (tytuł z „Globe”: „Czy dziecko księżniczki Weroniki urodzi się z dwiema głowami?”), jego nazwisko znał każdy. I wszyscy z firmy, którzy je znali, nagle zaczęli kłębić się wokół mnie jak muchy.

- Boże, Jane! - Louise rozanieliła się, jakbym właśnie została namaszczona przez Boga lub odznaczona medalem Imperium Brytyjskiego.

- Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? - spytała Constance z uwielbieniem w oczach, które mówiło, że jestem jej bohaterką dnia, przynajmniej do chwili, gdy zaczniesz mnie nienawidzić za całkowicie niezasłużone szczęście w życiu.

- Czy ja wiem...? - Spuściłam skromnie wzrok.
- W każdym razie - odzyskałam szybko mowę, żeby nie przedobrzyć - zaczęłam wam mówić, że to nie jest tak, że nie zgłosiłam się jeszcze do położnika. Chodzi o to, że doktor Shelton i ja nie ustaliliśmy jeszcze do końca planu działania na wypadek, gdyby ciąża okazała się równie problematyczna jak... no wiecie, jak było z księżniczką Weroniką.

- Może powinnaś usiąść - zasugerowała Louise.

- Przyniosę ci podnózek spod twojego biurka - powiedziała Constance.

Dodo zaczęła bębnić palcem w dolną wargę, jak tylko usadziły mnie na tronie.

- Wiesz... - powiedziała. Odsunęła palec od wargi i wycelowała go we mnie. - Miałam przyjaciółkę w Random House, która знаła osobę, która miała kiedyś dziecko, i ona też korzystała z pomocy doktora Sheltona. Więc ona powiedziała mojej przyjaciółce, że ten Shelton, którego wszyscy traktują jak wielkie objawienie położnictwa, był wobec niej strasznie wredny. Opowiadała, że na dzień dobry, od pierwszego funta, którego na niego wydała, objeżdżał ją za to, że się utuczyła, i to są podobno jego słowa, „na tłustą krowę”. Powiedział jej, że tabele optymalnego przyrostu wagi nie zostały wymyślone na darmo i że jeśli nie potrafi przestrzegać zasad, powinno jej się zabronić prokreacji. Wyobrażasz to sobie?

Pomyślałam o swoim wytrenowanym na kamień brzuchu. Jeśli chodzi o ten element ciąży, byłam bezkonkurencyjna. Mogłam liczyć na medal dla Najmniej Ciężarnej z Wyglądu, jaką ktokolwiek widział, zostawiając w tyle całą resztę, owitą korniszonowo-ciasteczkowym zapachem.

- No nie - odparłam - naprawdę nie chce mi się w to wierzyć. Doktor Shelton jest dla mnie bardzo miły. Bardziej jak dziadek niż lekarz, poza tym, oczywiście, że za każdym razem każe mi wkładać nogi w strzemiona. Nie, Dodo, przykro mi to mówić, ale podejrzewam, że przyjaciółka twojej przyjaciółki cierpiała na bulimię ciążową, o której teraz tak często się słyszy.

- W ogóle o czymś takim nie słyszałam - zdziwiła się Dodo.

- W każdym razie... - i tu nie mogłam się powstrzymać przed poklepaniem swojego twardego brzucha - doktor Shelton mówi, że w całej swojej praktyce nie

widział przyszłej matki, która by tak skutecznie dbała, żeby nie przybrać za dużo na wadze. On uważa, że niektóre kobiety traktują ciążę jak licencję na żarcie i zaczynają puchnąć od chwili, gdy zobaczą różową kreskę na pasku testowym. Powiedział, że powinni mnie wysłać do jakiegoś talk-show jako inspirację dla innych.

Widziałam, że to ostatnie zdanie naprawdę dotknęło Louise i Constance. Zdawałam sobie sprawę, że w normalnych czasach nigdy nie darowałyby mi czegoś, co na pewno uważały za pompatyczność. Ale to już nie były normalne czasy. To były brzemiennie czasy, i w końcu jeśli sam doktor Shelton coś powiedział...

Tamtego dnia znalazłam się w centrum uwagi całego wydawnictwa i przyjąłam to za dobrą monetę, ale zaczęłam trzeźwo myśleć o przyszłości, zwłaszcza jeśli chodziło o doktora Sheltona. Nie bardzo mogłam utrzymać go w roli swojego położnika prowadzącego, zważywszy na to, że obracałam się wśród ludzi, którzy go znali, ludzi, którzy mogliby, używając powszechnie stosowanej techniki poczty pantoflowej, stworzyć sytuację, kiedy prawda wy szłaby na jaw.

Postanowiłam trzymać się bajki z doktorem Sheltonem jeszcze kilka tygodni, żeby nie wzbudzić podejrzeń zbyt raptowną zmianą, a kiedy nadejdzie właściwy moment, dokonać zmiany, tłumacząc, że to sprawa prywatnej filozofii. Wprawdzie nie przeczytałam uważnie rozdziałów w moim podręczniku, dotyczących wyboru osoby odbierającej poród, bo nie widziałam jeszcze takiej potrzeby. Pamiętałam jednak mglście, że istnieją inne możliwości niż „mężczyzna specjalizujący się w układaniu kobiety płasko na stole, z nogami w strzemionach, i mówieniu jej, żeby parła”. Wiedziałam, że ciężarne korzystają z pomocy lekarzy rodzinnych, i że są też takie, które wzywają położne. Być może to ostatnie było odpowiedzią na mój dylemat.

Na razie moim nogom nie mogło być wygodniej.

- Jane, zdajesz sobie sprawę, że nawet gdybyś miała zajść w ciążę jeszcze dzisiaj, i naprawdę urodziła dziecko, wyglądałoby na to, że twoja ciąża trwała jedenaście miesięcy? Trudno byłoby to wytłumaczyć, chyba że w mówiłabyś światu, że Trevor jest półkrwi słoniem lub nosorożcem.

Rozmówcą był oczywiście David. Miejsce akcji: Serpentyna w Hyde Parku, gdzie David pilnował, żeby nasza łódka unosiła się lekko na wodzie, a ja leżałam na plecach z zamkniętymi oczami. Czas akcji: sam środek niewypowiedzianie pięknego krystalicznego błękitu niedzielnego popołudnia.

Ale wszystko to stało się nieistotne, bo mój najlepszy przyjaciel, bezduszny drań, właśnie zepsuł mi nastrój.

- Co ty gadasz? - Poderwałam się gwałtownie, łapiąc w powietrzu swój słomkowy kapelusz.

- Policz na palcach. Nawet ze swoim upośledzeniem powinnaś sobie poradzić z prostym dodawaniem i odejmowaniem.

Policzyłam, na wszelki wypadek dwa razy.

- Mylisz się. Gdybym teraz zaskoczyła i urodziła w terminie, ludzie by uznali, że byłam w ciąży dwanaście do trzynastu miesięcy.

- Widocznie umiejętności matematyczne izraelskiego żołnierza nie są już tym, czym były kiedyś. - David wzruszył ramionami i dalej spokojnie wiosłował.

- Mógłbyś przestać wiosłować? Mam kryzys!

- Masz kryzys, odkąd cię poznałem. Jedyne różnica polega na tym, że teraz jest to rażąco widoczne.

- Ale co ja mam zrobić? Powiedziałam wszystkim, że jestem w ciąży. Trevorowi, swojej matce, Sophie, dziewczynom z pracy - wszyscy wiedzą, że urodzę dziecko pod koniec roku. Co zrobię, jeśli za sześć miesięcy nic z tego nie będzie? - Nagle przerażająca myśl wpadła mi do głowy. - Sześć miesięcy, dobre sobie. Co zrobię, kiedy przyjdzie czas, żeby było coś widać, a nic nie będzie widać?

Znów to wzruszenie ramionami.

- Powiesz wszystkim, że się pomyliłaś.

- Pomyliłam się?! - wrzasnęłam tak głośno, że podsłuchujący nas Amerykanin z płynącej blisko łodzi, taki w niemiłosiernie spłowiałym T-shircie z napisem „Arkansas za impeachmentem”, wypuścił z ręki wiosło.

- Dobrze ci tak, ty zarozumiała dupku - mruknęłam.

- Co to było, Jane?

- Nieważne. Chodzi o to... - I tu znów wrzasnęłam:

- Mam powiedzieć, że się pomyliłam?! Pomieszało ci się w tej pustej głowie izraelskiego żołnierza, który nie umie do trzech zliczyć?! Nie mogę powiedzieć wszystkim, że się pomyliłam! Jak mam to zrobić?! „Przepraszam, przez ostatnie trzy miesiące myślałam, że jestem w ciąży, ale, eee, chyba jednak nie jestem? Domyślasz się, ilu z nich próbowałoby mnie wziąć pod klucz, i pewnie by wzięło, gdybym coś takiego zrobiła?

- Jane, naprawdę nie musisz być taka sarkastyczna. Oczywiście, że nie zrobisz czegoś tak niedorzecznego. Jedyne, co możesz zrobić, to powiedzieć wszystkim prawdę. Nie masz innego wyjścia.

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć całej prawdy Trevorowi. Ale jego przecież nigdy nie ma w domu. Z każdym tygodniem wracał coraz później. Fakt, mieszkaliśmy razem. Fakt, że, przynajmniej teoretycznie, mieliśmy mieć dziecko. Jednak ostatnio niemal wcale ze sobą nie rozmawialiśmy. Trevor był tylko w miarę ciepłym ciałem w łóżku, a i to nie każdej nocy. Poza tym...

- Jesteś kompletnym świrem! Nie mogę powiedzieć wszystkim prawdy!

- A jakie masz inne wyjście?

Pytanie, które zadał mi David w swoim mieszkaniu kilka tygodni wcześniej, wciąż nie dawało mi spokoju: Czy gdybym mogła być w ciąży, nie będąc tak naprawdę w ciąży, poszłabym na to?

– Może i miałeś rację - powiedziałam teraz, uświadomiwszy sobie, że decyzja zapadła w mojej podświadomości dawno temu, choć on oczywiście nie mógł się domyślić, o czym mówię.

– Że twoje dziecko będzie uważane za jedenastomiesięczne, jeśli uda ci się w końcu je mieć?

- Nie, oczywiście, że nie. W rachunkach jesteś beznadziejny. - Zbyłam go machnięciem ręki, myśląc sobie leniwie, że bez T-shirtu naprawdę wygląda jak Dawid Michała Anioła, tyle że nie był z marmuru i twarz pokrywał mu świeży zarost. - Nie, chodziło mi o to, że może miałeś rację kilka tygodni temu, kiedy powiedziałeś mi, że chcę być w ciąży, nie chcąc tego tak naprawdę...

- Jane. - Nareszcie przestał wioślować. - Co się roi w twojej małej główce?

- Pomyśl tylko - powiedziałam, nagle radośnie podniecona widokami na przyszłość.

I wtedy właśnie to, co trzy miesiące wcześniej wykiełkowało w moim umyśle jako „jakiś plan”, co potem stało się „planem”, w końcu wykrystalizowało się jako „PLAN”.

- Wszyscy się spodziewają, że będę w ciąży przez kilka następnych miesięcy. Chciałam być w ciąży bardziej po to, żeby doświadczyć czegoś, czego wszyscy inni wydają się doświadczać, niż żeby urodzić i wychowywać prawdziwe dziecko. Nie ma we mnie ani odrobiny ciepła, żadnej słodyczy, niczego matczynego - może Dodo sprawdziłaby się w macierzyństwie, ale na pewno nie ja - więc nie ma powodu przypuszczać, że gdybym miała prawdziwe dziecko, byłabym dobrą matką...

- Tego nie wiemy.

- ...ani że Trevor byłby dobrym ojcem.

- To wiemy na pewno.

- Więc może i dobrze, że Trevor i ja nie spodziewamy się wspólnego dziecka, bo jego to w ogóle niespecjalnie

pociąga. Ale Trevor poprosił mnie o rękę, więc teraz nas czekają przygotowania do ślubu.

- To zawsze możesz odwołać.

- Ale ja nie chcę przestać być w ciąży! Czy nie byłoby fantastycznie, gdybym mogła pociągnąć to dalej, nawet gdyby nie było żadnego dziecka na finiszu? Zaliczyłam już trzy miesiące. Czy nie byłoby fantastycznie, gdybym wytrzymała do rozwiązania i mogła udawać ciężarną przez całe dziewięć miesięcy?

- Teraz to ty gonisz w piętę! - Jego idiomatyczny angielski rozwijał się w naprawdę imponującym tempie.

- Tego nie możesz zrobić, Jane. To za duże szaleństwo nawet jak na ciebie.

- Nieprawda. Poza tym zawsze mówiłeś, że jesteś moim najlepszym przyjacielem. Zostawisz mnie w potrzebie?

Znów zaczął wiosłować.

- Tego już naprawdę za wiele. - Ale uśmiechnął się.
- Więc co powiesz ludziom, kiedy minie dziewięć miesięcy?

- Cierpisz na zaparcia? - spytała Constance, kładąc na moim biurku dwie przesyłki o podejrzanym wyglądzie niezamówionych rękopisów. Przeklęta Dodo ciągle podrzucała mi rzeczy zaadresowane do niej.

- Słucham?

- Zauważyłam to bolesne skrzywienie na twojej twarzy, kiedy patrzyłaś w przestrzeń, i zaczęłam się zastanawiać, czy próbujesz rozwiązać zagadkę Sfinksa, czy może cierpisz na zaparcia.

Miałam ochotę wyrzucić za drzwi tę karlicę z fiołkowo-czerwonymi soczewkami w oczach, ale zmieniłam zdanie; doświadczenie mi mówiło, że może z tego wyniknąć jakaś korzyść.

- Dlaczego tak mówisz, Constance? - W rzeczywistości zastanawiałam się, co zamówić na lunch.

- Bo widziałam ten shaw na BBC 4... Ale może powinienam zacząć od Cindy Crawford.

- Cindy Crawford?

- Tak. To ta amerykańska modelka.

- Wiem, kim jest Cindy Crawford. Nie wiem tylko, co ona ma wspólnego z zaparciami.

- No więc wiesz, że ona ma dwoje dzieci i tak dalej? Według mnie, swoją pierwszą ciążą naprawdę nie przyniosła chluby naszej płci.

- Ooo! A cóż takiego zrobiła Cindy tym razem?

Spojrzała na mnie jak na osobę psychicznie upośledzoną.

- No tak, ciągle zapominam. Ty w ogóle nie czytasz kolorowych magazynów. Więc na początku swojej pierwszej ciąży ona mówiła, że wycofa się całkowicie z życia publicznego, że nie chce, żeby ją fotografowali, kiedy przestanie być atrakcyjna, czy coś w tym stylu. Otóż powiem ci, że to cofa kobiety do epoki, kiedy nie było jeszcze papierosów słomek, żadnych virginia slim-sów. Za kogo ona się miała, dając do zrozumienia, że ciąża nie jest czymś pięknym i naturalnym? To przez takie jak ona mamy dzisiaj ciężarne anorektyczki. Oczywiście, jak tylko się oswoiła z myślą, że jest uważana za najatrakcyjniejszą maszynę do rodzenia dzieci, zaczęła zbijać na tym kapitał. Koniec z ukrywaniem się. W mgnieniu oka przyjęła taktykę Demi Moore, czyli „wszystko na pokaz”. Co za ekshibicjonistki! Gdyby robiły to na okładkę „Playboya”, wzbudziłyby zażenowanie, ale w „Vanity Fair” to samo staje się sztuką. Żeby się chociaż zastanowiły przez ułamek sekundy, jak się poczują ich dzieci, gdy kiedyś on lub ona...

- Constance, Constance!

- Tak?

- Co to ma wspólnego z zaparciem czy z BBC?

- Do tego właśnie zmierzałam - prawda? - gdybyś mi

pozwoiliła. Tyle pisali o Cindy i jej ciąży we wszystkich magazynach, których ty nie czytasz, że BBC postanowiło wykorzystać koniunkturę. Na cześć publicznej ciąży Cindy zrobili czteroodcinkowy program o dziewięciu miesiącach oczekiwania na dziecko, z prowadzącą Heleną Bonham Carter. Poza pełnym repertuarem dowcipów omawiali wszelkie dolegliwości, na które cierpią przyszłe matki. Podobno jedną z poważniejszych są zaparcia. Zdaje się, że podwyższony poziom hormonów - chyba progesteronu - spowalnia przemianę materii. Poza tym rosnący płód uciska jelita, zaburzając ich normalne funkcjonowanie. W każdym razie... - Constance zaczęła wyglądać na lekko zakłopotaną - ...w ten sposób przeszłam od Cindy Crawford do zaparc.

- Ciekawe - powiedziałam, z ołówkiem przy ustach. I wierzcie lub nie, naprawdę tak myślałam.

- Więc? Masz czy nie?

- Czy co mam?

- Zaparcia. No wiesz, ta twoja skrzywiona mina...

- Nie! Zastanawiałam się, co zamówić na lunch.

Spławiłam ją, zapewniając, że uważam jej informację za bardzo przydatną.

I tak było. Kto mógł wiedzieć, kiedy będę potrzebowała wolnego dnia na zajęcie się sobą.

- Słyszałaś już bicie serca dziecka? - zapytała Dodo.

- Co takiego?

- Bicie serca dziecka. Czytałam gdzieś, że za pomocą jakiegoś specjalnego instrumentu, który nazywa się doppler, można je usłyszeć już w dziesiątym tygodniu.

- Nie. Nie słyszałam. Ale jestem na etapie fantastycznego seksu.

- Coś takiego! Ta przyjaciółka mojej przyjaciółki miała takie mdłości przez całą ciążę, że mowy nie było o seksie od chwili, kiedy zaszła w ciążę aż do odstawienia dziecka od piersi. Słyszałam oczywiście, że

niektóre ciężarne kobiety mają niesamowity apetyt seksualny, ale nigdy takiej nie poznałam.

Więc było jeszcze coś, czym mogłam się popisać.

- No to wyobraź sobie, że zdarza mi się tyle wielokrotnych orgazmów, że czasem to jest tak, jakby moje wielokrotne orgazmy miały swoje własne wielokrotne orgazmy.

- Nie!

- Tak! Oczywiście nie liczę na to, że tak będzie zawsze.

- Dlaczego nie?

- Och, wiesz, cała ta huśtawka hormonalna... - Nie chciałam być aż tak szczęśliwie podatna na orgazmy, żeby znienawidziły mnie inne kobiety. - Podejrzewam, że jak zacznie się drugi trymestr, będę miała tylko ochotę na masaż stóp.

Tego samego dnia po południu, męcząc dalej poradnik „W oczekiwaniu na dziecko”, trafiłam na rozdział zatytułowany „Bliźnięta i więcej”. Rozważałam przez moment świeży pomysł, aż w końcu wsłuchałam się w „bicie serca dziecka”, zakładając, że jest ich więcej niż jedno. Wzmocnione symptomy towarzyszące ciąży mnogiej mogłyby się wiązać z konkretnymi korzyściami, uprawniając mnie w razie potrzeby do dłuższych zwolnień z pracy. Byłoby też zdecydowanie więcej szumu wokół dwójki czy Bóg-wie-ilu więcej dzieci zamiast jednego. Z kolei kłopot polegałby na tym, że gdy w końcu powinno po mnie być coś widać, musiałabym przybrać wystarczająco dużo na wadze, żeby zapewnić zdrowie każdemu dziecku, a perspektywa nadmiernego utycia naprawdę mnie nie cieszyła.

Spokojnie. Miałam jeszcze czas do namysłu. Zawsze mogłam powiedzieć, że niewykluczone, że słyhać dwa serca, i po prostu zobaczyć, jak ludzie zareagują.

Nietrudno było zauważyć, że Trevor natknął się na coś, na co nie powinien był się natknąć.

- Co to jest, do cholery? - spytał, machając mi przed nosem różowym Magicznym Markerem, a przeklął po raz pierwszy, odkąd go poznałam, wierzcie lub nie. - A to? - Pokazał plastikowy test, na którym wciąż widniała cudaczna różowa kreska.

- Uwierzysz, że...

- Nie chcę słuchać twoich kłamstw, Jane! Masz mnie za idiotę?

- Nie, dlaczego. Jak to znalazłeś?

Wiedziałam, co będzie dalej; oczyma wyobraźni zobaczyłam siebie samą tamtego wieczoru, kiedy „odkryłam”, że jestem w ciąży: radośnie chowającą obciążające dowody - różowy marker, nieudany test - w głębi szafki, z oczywistym zamiarem pozbycia się ich, kiedy droga będzie wolna. Ale nie zrobiłam tego, prawda? Kim ja jestem? Najbardziej autodestrukcyjną kobietą pod słońcem? Pieprzony Freud miałby ze mną używanie jak diabli. Ale nie mogłam się teraz przejmować Freudem. Trevor miał mi dostarczyć większych problemów niż moja wątpliwa poczytalność.

- Zepsuła się moja elektryczna golarka i szukałem pod umywalką jednorazowego nożyka. - Był wyraźnie zły na siebie, że w ogóle mi odpowiada. - Ale nie w tym rzecz.

- Nie. Przypuszczam, że nie. - Usiadłam na brzegu kanapy, próbując zebrać siły.

- Rzecz w tym, że powinnaś mi wyjaśnić, co dokładnie chciałaś osiągnąć tą obłądną intrygą. Co ty sobie wyobrażałaś, że nie zauważę, że coś tu nie gra?

Jakoś nie zauważał, pomyślałam, dopóki prawda nie sieknęła go prosto w twarz. Nie zauważał, że ciągle mam okres; nie zauważał, że moje ciało w ogóle się nie zmienia. Ale to nie był właściwy moment na wytykanie mu kiepskiego zmysłu obserwacji.

- Boże, Jane. Myślałem, że niedługo zostanę ojcem, a tu się okazuje, że moje dziecko jest niczym więcej niż wyblakłą różową kreską!

- No wiesz... - powiedziałam dość ostrożnie - nigdy dotąd nie wydawałeś się tak bardzo podniecony perspektywą, że zostaniesz tatusiem. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy wykazujesz tyle zapału...

- Och, zamknij się, Jane! Nie rozumiesz? Nie o to chodzi, czy wykazałem dość entuzjazmu rodzicielskiego, czy nie. Chodzi o to, co ty zrobiłaś. I dlaczego. - Opadł na kanapę obok mnie, ale w bezpiecznej odległości, żebyśmy się nie dotknęli. Oparł jeden łokieć na kolanie i palcami zaczął masować czoło i zamknięte powieki. - Powiedz mi, Jane: co się działo w tej twojej głowie?

Więc powiedziałam.

Dziwne, ale kiedy obmyślałam swój PLAN, wcale nie wydawał się aż tak, muszę użyć tego słowa, diaboliczny jak wtedy, gdy próbowałam wyłożyć go Trevorowi. Czy to takie okropne, że chciałam sobie zaskarbić tego rodzaju uwagę, jaką każda kobieta zdaje się przyjmować niczym swoje święte prawo? Cóż, widocznie w przekonaniu Trevora...

Skoczył na równe nogi, już bez oznak wyczerpania.

- Jesteś kompletnie stuknięta! I nie ujdzie ci to na sucho!

- Jeśli ty się wygadasz! - wrzasnęłam rozpaczliwie, również zrywając się z kanapy.

Nim się zorientowałam, on był w sypialni, którą dzieliliśmy od lat, i upychał swoje rzeczy do skórzanych walizek, nawet nie próbując ich pedantycznie składać, jak to zwykle robił.

- Dokąd się wybierasz?

- Nie zostanę tu z tobą ani chwili dłużej, to jasne, prawda?

- Dlaczego nie? Przecież dalej możemy mieszkać razem. Za sześć miesięcy mamy się pobrać, nie zapominaj o tym.

Okej, więc może to był mój mechanizm obronny.

Okrzyknął łóżko i chwycił mnie za ramiona.

- Pomyśl, Jane. Nawet ty nie możesz sobie chyba wyobrazić, że pobierzemy się po tym wszystkim! Rusz głową i rozejrzyj się wokół. Zostawiam cię!

Myślałam o latach, które spędziliśmy razem, o moich nadziejach na wspólną przyszłość, o tym, jak będzie mi brakowało nawet jego obsesyjnego zwyczaju składania ubrań.

Być może obsesyjne zwyczaje nie są cechą, na której łatwo budować miłość do partnera, ale przypuszczam, że jakaś częśćka mnie żywiła skrytą nadzieję, że jednak spędzimy resztę życia razem, a pomocne w tym będzie złudzenie, że cechy denerwujące bywają na swój sposób sympatyczne.

Czy to naprawdę mógł być koniec?

Kłapnęłam na łóżko przy jego otwartych walizkach.

- Ale dokąd pójdiesz?

- Czy to ważne? Byle jak najdalej stąd. Zatrzymam się nawet u ludzi z pracy, których nie znoszę - jeśli będę musiał.

- Co im powiesz?

- O tym szaleństwie? Nic. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Poza tym nie możesz ciągnąć tej maskarady w nieskończoność, chyba że planujesz utrzymać najdłuższą trwającą ciążę w historii Anglii. Ani się obejrzysz, jak wpadniesz we własne sidła. Tacy jak ty zawsze źle kończą.

Nagle poczułam, że wcale tak bardzo nie żałuję, że odchodzi.

- W każdym razie - gadał dalej - mnie tu nie będzie, żebym nie musiał na to patrzeć.

- O!

- Właśnie. Firma już od jakiegoś czasu namawia mnie na roczny pobyt w Tokio. Chcieli, żebym pomógł ratować sytuację w tamtejszej filii, ale dotąd ich zbywałem. Myślałem, że skoro jesteś w ciąży i tak dalej, byłoby nie fair proponować ci taki wyjazd, ale teraz...

Skończył pakowanie. Chwilę wcześniej myślałam, że już nie żałuję, że odchodzi, a teraz, w decydującym momencie, znów poczułam się niepewnie. Omiatając wzrokiem mieszkanie, szukałam sposobu, żeby go tu zatrzymać, choćby na trochę.

- Nie chcesz wziąć czegoś więcej? Może jakieś płyty lub obrazy? Kanapę, którą kupiliśmy wspólnie?

Trevor miał minę, jakby się zastanawiał. Może myślał o kanapie, przypominając sobie zimną styczniową sobotę sprzed dwóch lat, kiedy targaliśmy ją razem po schodach.

Potem gwałtownie potrząsnął głową, jak pies wychodzący z wody.

- I mieć pamiątkę tego? Nie, dziękuję. Poza tym fracht lotniczy do Tokio kosztowałby pewnie więcej, niż wydaliśmy na wszystkie te rupiecie.

Trevor zatrzasnął zamki walizek i ściągnął je z łóżka.

- Żegnaj, Jane - powiedział. - Nie mogę powiedzieć, że to nie było interesujące. - Przez moment jakby się wahał, czy pocałować mnie po raz ostatni, ale nie pocałował. - I pozwolę sobie życzyć ci szczęścia. Bo tak czy inaczej, w końcu będziesz go potrzebowała.

I wyszedł.

Minęło kilka chwil, zanim uświadomiłam sobie ostateczność tego faktu, ale widok czającego się w kącie Kota Puncha podsunął mi doskonały epilog. Chwyciwszy tę obmierzłą pomarańczową purchawkę, pognałam do drzwi, otworzyłam je i cisnęłam kotkę w kierunku oddalających się pleców Trevora.

- W porządku! - krzyknęłam. - Rzuć mnie, jeśli musisz. Ale zabieraj stąd swojego wstrętnego kota! Zawsze go nienawidziłam. I nie obchodzi mnie, czy w czasie całego twojego pobytu w Tokio będzie miał przymusową kwarantannę!

Potem zamknęłam drzwi od środka.

Zostałam w domu całkiem sama. Nie było to takie złe, prawda? Teraz mogłam przemałować ściany, żeby

skończyć z tym wszechobecnym łososiowym różem, bo nie miałam już kogo wystawiać na próby.

Ważną rzeczą, którą musiałam teraz zrobić, było zaparzenie sobie dobrej kojącej herbaty, nawet jeśli niezbyt lubiałam herbatę. Musiałam zebrać myśli, postarać się, żeby w moim planie nie było żadnych słabych punktów, kiedy powiem ludziom, że zostałam porzucona przez ojca dziecka.

Czy Trevor dotrzyma słowa? Czy rzeczywiście nie powie nikomu prawdy o naszym zerwaniu? Im dłużej o tym myślałam, tym wyraźniej do mnie docierało, że to nie jest aż tak istotne. W ciągu dwóch lat obsesji na jego punkcie popełniłam kardynalny błąd, jaki popełniło przede mną wiele innych kobiet, gdy pojawiał się w ich życiu stały partner: wyłączyłam się towarzysko z kręgu ludzi, z którymi wcześniej spędzałam czas.

W moim jednak przypadku ta napędzana estrogenami głupota niechcący wyszła mi na dobre. Ponieważ dziewczyny z pracy nigdy nie poznały Trevora, nie mogły zauważyć, że ode mnie odszedł. Jeśli chodzi o naszych wspólnych znajomych, mógł im mówić, co chciał, bo oni tak naprawdę zawsze byli bardziej jego znajomymi niż moimi, a nikt z jego kręgu towarzyskiego szelkoców nie mieszał się z moim kręgiem moli książkowych. O rany, nawet gdybym dalej chciała utrzymywać, że za pół roku wychodzę za mąż, prawdopodobnie i to uszłoby mi na sucho.

Ale czy tego chciałam?

Bycie samotną mamusią mogłoby nie być takie złe, wzięwszy pod uwagę wszystkie dodatkowe pochwały za dzielność charakteru, radzenie sobie w ciężkiej sytuacji i tak dalej.

I, pomyślałam dziwnie zadowolona, nawet jeśli Trevor mnie porzucił, wciąż miałam dziecko, o którym mogłam marzyć.

Małeńka ludzka istota, która teoretycznie we mnie rosła, była teraz płodem. Miała około siedmiu i pół centymetra wzrostu i ważyła około czternastu gramów, a więc już więcej niż największa porcja marychy, jaką zdarzyło mi się wypalić w pojedynkę. Kształtowały się kolejne organy, inne doskonaliły swoją budowę. Funkcjonował system krążenia, wątroba produkowała żółć. Narządy rozrodcze były już ukształtowane, ale z zewnątrz trudno byłoby ustalić, czy mój płód jest dziewczynką, czy chłopcem.

Cóż, miałam jeszcze trochę czasu, żeby o tym zdecydować, prawda?

drugi trymestr

czwarty miesiąc

Podejmując pierwszy krok w kampanii otrząsania się z traumy spowodowanej odejściem Trevora, zrobiłam to, co zrobiłaby każda inna szanująca się dziewczyna. Wskoczyłam w swoje wcale nie najlepsze ciuchy, znalazłam najciemniejszy pub w okolicy i, jak mój nieboszczyk ojciec zwykł mawiać, zaparłam się, aby zobaczyć dno każdej szklanki w mieście, nim wszędzie słońce.

Okej, więc może nie była to dosłownie trauma. Miałam za sobą kilka godzin rozmyślania i pogodziłam się z bolesną prawdą, że podczas gdy od dawna byłam zakochana w pomysle na małżeństwo jako takie, nie byłam zakochana w Trevorze. I być może, gdybym miała być do końca uczciwa, musiałabym przyznać, że również on nigdy nie był zakochany we mnie.

Czy zakochany mężczyzna upierałby się, żeby czekać z poślubieniem matki swojego dziecka, aż to dziecko szczęśliwie się urodzi? Nie sądzę. Czy zakochany mężczyzna - bez względu na to, czy w grę wchodziłoby dziecko, czy nie - nie skorzystałby z pierwszej sposobności, żeby oświadczyć się swojej ukochanej, choćby po to, by zniechęcić do niej innych konkurentów? Chcę wierzyć, że tak by zrobił.

Spóźnione analizy? Być może. Ale dobrze mi to robi. Poza tym nie będąc Scarlet O'Hara, miałam w sobie dość realizmu, żeby wiedzieć, że Trevor nigdy do mnie nie wróci, nie po czymś takim.

Tak czy inaczej, przyznaję, miałam ochotę wyjść i się upić, bo znalezienie się w roli porzuconej jest zawsze traumatycznym przeżyciem, bez względu na prawdziwe uczucia do sprawcy porzucenia.

Pub „Dolina Trwogi”, kiedy się weszło do środka, niespecjalnie przypominał scenografię do „Sherlocka Holmesa”, na co wskazywałaby jego nazwa. Właściwie jedyną rzeczą, która kojarzyła się z historyjką Conan Doyle'a, był nastrój trwogi, którą w tym przypadku budziła w gościach sama myśl o wzięciu do ust którejs z paskudnie wyglądających zakąsek - ustawionych w słóikach na frontowym bufecie. Pełniły taką samą funkcję jak skinienie szefa w stronę wnętrza baru.

W pubie było wystarczająco ciemno, żeby człowiek mógł mieć złudzenie, że boazeria jest z autentycznego mahoni, a różne błyszczące gadzety z prawdziwego mosiądzu. Za to bez wątplenia autentyczna była barmanka, kobieta z obwisłym brzuchem wieloródki pozbawionej zacięcia do ćwiczeń fizycznych, o żółtych włosach, które nawet w przyćmionym świetle miały charakterystyczny kolor sików.

Autentyczni byli też wiszący nad barem goście, którzy wyglądali jak stały element wystroju wnętrza, oraz właściciel pubu, istny Uriah Heep, szkaradny typ z powieści „David Copperfield”, z dyskretną szczyptą wdzięku pana Darcy'ego.

Przetarł należny mi kawałek baru mokrą ścierką, która pamiętała lepsze czasy.

- Więc co mam podać?
- Uhm...
- Proszę pani, ja nie mam za dużo czasu.

Sądząc po nielicznej klienteli, która mogła się co najwyżej dorznąć jednym piwem, nie był zbyt zajęty.

- Eee... niech będzie duży guinness.
- Dobry wybór, proszę pani.
- I małą szkocką. Glenfiddich. Nie... może laphroaig.

To też mi dobrze zrobi.

- Bardzo proszę.
- Ale niech będzie podwójna. Po co ma pan biegać w tę i z powrotem częściej niż to konieczne. Cha, cha! - Boże, skąd mi się wziął ten chrapliwy śmiech?

- To wszystko, proszę pani? Czy postawić przed panią całą gorzelnię?

- Nie. Cha, cha, cha! Zawsze mogę zamówić następną kolejkę.

- To nie jest najuprzejmniejszy barman w Londynie, ale przynajmniej nie chrzci drinków.

- Słucham? - Odwróciłam się do mężczyzny, który zajął nagle stołek po mojej prawej stronie.

Gdybym miała go opisać na użytek policyjnej konfrontacji, powiedziałabym, że był średniego wzrostu, średniej budowy, o kilka lat starszy ode mnie. Miał brudnopłowe włosy z lekkimi zakolami nad czołem, i oczy z odcieniem brązu, jaki - wyobrażałam sobie to od zawsze - chciałabym oglądać przy porannej kawie przez resztę swego życia.

Nie twierdzę, że mam predyspozycje do tego, żeby zostać kiedyś idealnym świadkiem zbrodni, ale wiem, co lubię. Krótko mówiąc, nie był ładnym chłopcem jak Trevor, co mi odpowiadało, bo nie mam naturalnej skłonności do ładnych chłopców. Jediną rzeczą, która mogła mnie razić w tym facecie, były jego obwisłe wąsy, które jakoś dziwnie zwisały z jednej strony niżej niż z drugiej.

- Powiedziałem, że on nie jest najuprzejmniejszy...

- Tak, słyszałam. - Skrzywiłam się i obrysowałam palcem usta, jakbym przeciągała po własnych wąsach, gdybym je miała. - Wiesz, że twoje wąsy opadają z jednej strony niżej niż z drugiej?

- O cholera - zaklął niewinnie i, wprawiając mnie w szok, oderwał wąsy i schował je do kieszeni tweedowej marynarki. - Zapomniałem, że je mam.

- Te są dużo lepsze - skomentowałam, bo pod

groteskowymi wąsami miał drugie, znacznie ładniejsze.
- Wracasz z balu kostiumowego? - zapytałam sceptycznie, gdyż pomijając podwójne wąsy, jego tweedowa marynarka, jasnoniebieska oksfordzka koszula i dopasowane džinsy wyglądały całkiem zwyczajnie.

- Można by to tak nazwać - powiedział, nie wdając się w szczegóły. - A ty?

- Co ja?

Pokazał ręką, że chodzi o mój czarny kostium, który nie mógł wyglądać bardziej oficjalnie.

- Ty też wracasz z czegoś w rodzaju balu kostiumowego? „Dolina Trwogi” rzadko gości kobiety w innym stylu niż Sue - kiwnął w stronę barmanki - nie mówiąc o takich, które wyglądają na nie byle kogo.

- Och! Nie. Zostawiłam w domu kapelusze i miotłę, bo inaczej by mnie tu nie wpuścili.

- Rozumiem - powiedział, gdy barman przyniósł moje drinki i bez pytania postawił przed moim towarzyszem kufel piwa.

- Dobrze cię tu znają? - spytałam, wychyliwszy połowę podwójnej whisky i zdrowy łyk guinnessa.

- Można by powiedzieć, że to jest jedyne miejsce, w którym w ogóle mnie znają.

- To smutne.

- Nie bardzo, jeśli wziąć pod uwagę, jaka jest większość ludzi.

- Co za osobliwe spostrzeżenie.

- Ale prawdziwe.

- Co za prawdziwie osobliwe spostrzeżenie. - Łyknęłam resztę szkockiej, popiłam piwem i zaczęłam się zastanawiać. - Co za osobliwie prawdziwe spostrzeżenie.

- Odstawiłam z hukiem szklanekę i zamówiłam następną kolejkę. - I to samo dla mojego interesującego przyjaciela - dodałam.

- Nieczęsto się zdarza, żeby kobieta stawiała mi drinka, zwłaszcza tak atrakcyjna. Pomimo kapelusza i miotły.

- Jasne. Ale, mój Boże, jest mnóstwo rzeczy, które nieczęsto zdarzają się w twoim świecie, prawda? A większość z nich rzadziej niż rzadko.

- Tak, to mały świat, ale to mój świat, więc usiłuję sobie radzić. Pozwolisz, że zapytam o twoje imię, żebym mógł je ukryć w jakimś bezpiecznym zakątku tego małego świata?

Przyznaję, że chciałam dać się oczarować. I ochoczo podałam mu rękę.

- Jane Taylor. Młodszy redaktor w wydawnictwie Churchill & Stewart. Porzucona kochanka. Lat dwadzieścia dziewięć. - Pomyślałam, że może sobie z góry wybrać z tego najgorsze.

Jego dłoń w mojej dłoni była przyjemnie ciepła.

- Kimkolwiek on był, cieszę się, że odszedł, ale to musi być największy idiota na tej planecie.

- Ma się rozumieć.

- Tolkien Donald, do twoich usług.

Okej. Nie rozeźmiałam mu się prosto w twarz, ale niewiele brakowało.

- Tolkien Donald? Kpisz sobie ze mnie?

Musiał być przyzwyczajony do małostkowych ludzi, których nic bardziej nie bawiło niż śmianie się z cudzych nazwisk. Jego odpowiedź zabrzmiała, jakby udzielał jej z podobną regularnością, z jaką nietypowo wysocy ludzie odpowiadają na stare: „I co tam w górze słyhać?”, choć czułam, że dla mnie włożył w to nieco więcej energii.

- Prawdę mówiąc, to raczej moi rodzice zakpili sobie ze mnie. Oczywiście teraz, kiedy jestem dorosły, a ich obojga już nie ma, trochę głupio jest dalej żywić urazę.

Próbowałam wyglądać stosownie trzeźwo, choć chwilę wcześniej nie uchroniłam się przed napadem czkawki.

- Zmarli?

- Nie. Wyjechali do Barcelony.

A więc nie było tak źle.

- Rozwiniesz wątek imienia i nazwiska, czy pozo-
stanie to równie tajemniczą sprawą jak sztuczne wąsy?

- Och, nie. Chętnie opowiem o imieniu i nazwisku. Mam w tym dużą wprawę. Widzisz, moi rodzice z pewnym opóźnieniem złapali bakcyła lat sześćdziesiątych, więc miałem jakieś cztery lata, gdy nagle kompletnie zhipisieli, odkrywając pokój, opium i „Hobbita” i cały tamten odjazd. Początkowo nazywałem się Donald John, ale oni zapragnęli metamorfozy i, tak jak niektórzy ludzie w tamtych czasach zmieniali wyznanie, moi rodzice doszli do wniosku, że wszyscy powinniśmy zmienić imiona i nazwiska. Mój ojciec z Rona stał się Elrondem, co nie było jeszcze takie złe, ale moja matka zmieniła Claire na Galadrielę, co dla niektórych ludzi było potwornie trudne do wymówienia. Potem, nie ułatwiając życia poczcie, całkiem zrezygnowali z nazwiska. Mnie, jako że byłem ich jedynym dzieckiem, przechrzcili z Donalda na Tolkiena, po człowieku, od którego to wszystko się zaczęło.

- Ale mówiłeś, że masz na nazwisko Donald.

- Och, tak, dziadkowie już i tak byli wystarczająco skołowani, więc moi rodzice pozwolili mi je zatrzymać. Tylko ze względu na ludzi, którzy nie najlepiej znoszą zmiany.

- A twoi rodzice? W Barcelonie? Wciąż są Elrondem i Galadrielą, mając, no ile, pięćdziesiąt parę, sześćdziesiąt lat?

- Skądże! Wrócili do Rona i Claire Johnów jakieś dwadzieścia lat temu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przestali farbować bawełniane łachy i zaczęli inwestować w obligacje.

- A ty nigdy nie chciałeś wrócić do Donalda Johna?

- Nie. Po co? Przyzwyczaiałem się.

I, dość niesamowite, ale świadomość, że Tolkien Donald umiał oswoić się z takim dziwactwem, nauczył się traktować je jak coś zwyczajnego, sprawiła, że natychmiast się w nim zakochałam.

Dwie godziny później, wciąż w tym samym miejscu, wciąż czując się zakochana, tylko jeszcze bardziej, siedziałam na tym samym stołku barowym, kontemplując życie (moje), miłość (może kiedyś wzajemną?) i niezwykłego mężczyznę, którego właśnie poznałam (czy Tolkien mógłby być kiedyś mój?).

Zgoda, może ruszyłam się ze stołka przynajmniej dwa razy, żeby udać się z absolutnie konieczną wizytą do toalety, ale jednak...

Odprawiając wzrokiem Tolkienu opuszczającego „Dolinę Trwogi” po tym, jak przymocował z powrotem wasy i powiedział, że musi wracać do pracy, pławiłam się w różnym blasku nowej miłości.

Czy kiedykolwiek wcześniej spadło na mnie podobne uczucie tak szybko?

Nie, i jeszcze raz nie.

Wciąż z rozmarzeniem gapiłam się w przestrzeń, którą jeszcze chwilę temu zajmował on, gdy po raz drugi tego wieczoru wystraszył mnie głos dochodzący gdzieś z boku.

- Podobno jesteś w ciąży? A tu proszę, nie tylko nic po tobie nie widać, ale siedzisz sobie w najlepsze przy barze i pijesz!

Głos należał do Alice Simms, mojej znajomej, która była redaktorką w Quartet Books Limited.

Odwróciłam się raptownie i zobaczyłam, że Alice wciąż była...

O rany! Czy naprawdę musicie wiedzieć, jak ona wygląda? Ta kobieta była gotowa mnie zdemaskować! Dość powiedzieć, że nigdy nie pozowała na okładkę kolorowego magazynu, ale też żaden mężczyzna nie kazał jej zasłaniać twarzy gazetą. Alice była przeciętna; nie na swój sposób, lecz na wszelkie wyobrażalne sposoby.

Zanim jednak skazałam ją na dożywotnią przeciętność, przyszła mi do głowy pewna myśl: może dobrze byłoby

skończyć z tą maskaradą już teraz? Przecież nawet ja rozumiałam, że próba udawania ciężarnej kobiety przez dziewięć miesięcy to czyste szaleństwo. Owszem, życzliwe zainteresowanie ze strony społeczeństwa byłoby miłe. Ale zaczęło się od tego, że chciałam usidlić Trevora, a w końcu go straciłam.

Potem nadal chciałam się wczuwać w rolę ciężarnej, bez groźby urodzenia prawdziwego dziecka. Ale teraz, kiedy poznałam Tolkiena - okej, może już go nigdy nie spotkam - na co była mi ta udawana ciąża?

Zdecydowałam wtedy, że spowiedź ulży mojej duszy; będzie pierwszym dziecięcym kroczkiem w stronę wyznania prawdy każdemu, kogo nabrałam. I tak oto powiedziałam Alice wszystko. Cokolwiek by mówić, była zrównoważoną istotą ludzką - zgoda, przeciętną - i jeśli ktokolwiek mógł zrozumieć i wybaczyć mi moje postępowanie...

- Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, Jane, że jesteś psychiczna?

Wycofałyśmy się do małego stolika w kącie sali, jak gdyby w tej pustej dziurze ktokolwiek mógł nam przeszkadzać. Przyłożyłam palec do ust w geście głębokiego zamyślenia.

- Zastanawiam się... Dlaczego twój niefortunny dobór słownictwa każe mi przypuszczać, że ewentualnego „nie” w ogóle nie przyjmiesz za odpowiedź na to wybitnie niegrzeczne pytanie? - Postanowiłam grać urażoną. - Oczywiście, że mi mówili - odpowiedziałam z nutą goryczy - i mówią coraz częściej. - Teraz wojowniczo, ze skrzyżowanymi ramionami: - No i co z tego?

Ale wtedy zdarzyła się ciekawa rzecz: Alice się roześmiała.

- Jane, z tej twojej historii byłaby fantastyczna fabuła powieści!

Potem zdarzyła się rzecz jeszcze ciekawsza: w oczach Alice pojawił się szatański błysk, który przypominał mi do złudzenia coś... no tak, ze mnie.

- Och, Jane, mam cudowny pomysł!
Niemal bałam się zapytać.
- To znaczy...?
- Nie przerywaj tej maskarady - powiedziała konspiracyjnym szeptem.
- Ale tłumaczyłam ci...
- Zrób z tego książkę.
- Co...?
- Zastanów się przez moment. Sama wiesz, że my wszyscy w biznesie wydawniczym ciągle szukamy kolejnego strzału w dziesiątkę. Posłuchaj, trudno sobie wyobrazić coś bardziej cudacznego niż to, co mi opowiedziałas. Pomyśl o książce, która mogłaby z tego powstać - „Kobieta przez dziewięć miesięcy symuluje ciążę”.

Praktyczna strona mojej natury upomniała się o swoje.

- Wiesz, jeśli chodzi o tytuły...
- Mniejsza o tytuł. Szczegóły możemy dopracować później. Na razie o tym pomysł. Wiem, że mój wydawca zapłaciłby za taką historię duże pieniądze. Cholera, pewnie musielibyśmy stanąć do przetargu z kilkoma innymi wydawcami, żeby to dostać. Chociaż - dodała z przymilną nutą w głosie - miałabym oczywiście nadzieję, że skoro był to mój pomysł...

- O jakich pieniądzach mówimy? - Mój praktycyzm wziął górę nad całą resztą.

- Dużych. - Nie mogłaby wypowiedzieć tego słowa z większym naciskiem, nawet gdyby była osobą, dla której specjalnie wymyślono spację.

- Zaraz, chwileczkę. A co ja powiem swojej rodzinie i przyjacielom, kiedy tych dziewięć miesięcy dobiegnie końca?

- Daj spokój, będziesz wtedy miała wielki kontrakt na książkę, prawda? Zdziwiłabyś się... No, może ty byś się nie zdziwiła... ale to naprawdę niesamowite, jak szybko ludzie zapominają i wybaczą wszelkie grzechy, kiedy człowiek staje się publikowanym autorem.

Powiedziała szczerą prawdę.

- Tak, ale... - Wciąż byłam w polemicznym nastroju.
- Jeśli zrobię z tego literaturę faktu, sportretowani ludzie mogą podnieść krzyk. Nie chcę za to stanąć przed sądem.

- Więc zrób z tego fikcję, jeśli musisz. Naprawdę wszystko mi jedno. Tylko napisz to! Zrozum, Jane, fikcja, nie fikcja, mniejsza o to, powiedziałam ci, że nad detalami zastanowimy się później. Postawmy sprawę tak: jeśli ty tego nie napiszesz, ja to zrobię.

- Chcesz powiedzieć, że tobie też się marzy pisanie?
- Byłam lekko zszokowana.

- Nie, trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby próbować za wszelką cenę zostać pisarzem. Po prostu nie mogę pozwolić, żeby zmarnował się dobry temat. Napisz tę książkę, Jane.

Na pewno nie brakowało jej siły przekonywania.

W piersi każdego redaktora bije serce niedoszłego pisarza. Zgoda, może nie każdego. Przesadzam tu trochę, ale zaliczam się do większości.

Jak wielu redaktorów przede mną, najęłam się do pracy w wydawnictwie z nadzieją, że wykorzystam to jako trampolinę do własnej kariery pisarskiej. Chciałam pisać powieści; niekoniecznie wielkie powieści, ale chciałam zarabiać na życie opowiadaniem historii. Niestety, jak to często bywa w podobnych sytuacjach, poddając się kieratowi codziennej harówki, która miała mnie zbliżyć do wymarzonego celu, straciłam z oczu sam cel.

Zdarzały się oczywiście poranki, kiedy wygrzebywałam się z łóżka na tyle wcześnie, żeby spróbować napisać jakąś historyjkę. Ale w miarę upływu czasu takie poranki były coraz rzadsze. Ja, która nigdy nie chciałam się ustatkować - przynajmniej nie w życiu zawodowym - nauczyłam się zadowalać statecznym życiem: pracą, która w jakimś ograniczonym sensie mnie satysfakcjonowała, przynależnością do świata, w którym chcieli obracać się inni niedoszli pisarze.

Dałam sobie chwilę na zastanowienie, na rozważenie potencjalnych korzyści wynikających z jej idiotycznej propozycji. Gdybym na to poszła, nie musiałabym na razie wyjawiać wszystkim prawdy - zdecydowany plus. Na dodatek zostałabym w końcu tym, kim tak bardzo chciałam zostać, zanim stałam się Kobiętą Ustatkowaną: byłabym Publikowaną Pisarką. Wybiegając dalej w przyszłość, gdybym nie uciekła się do fikcji, ludzie mogliby mnie ciągać po sądach. Ale nawet gdybym ubrała swoją historię w fikcję literacką, nadal istniała szansa - całkiem duża szansa - że ludzie będą na mnie wściekli za to, że tak długo ich okłamywałam.

Doszłam do wniosku, że plan Alice nie zmieniłby mojej sytuacji na dużo gorszą niż dotąd. W gruncie rzeczy, zważywszy na kontrakt i tak dalej, sytuacja by się znacznie poprawiła. Oczywiście, z końcem dziewięciu miesięcy, chyba że jakimś cudem sprokurowałabym jakieś dziecko, reakcja ludzi mogłaby mnie zmusić do wyprowadzenia się z Londynu na zawsze. Ale wtedy zamiast być starą emigrantką, byłabym starą emigrantką z sukcesem na koncie. Swoją drogą, od początku nie wiedziałam, co zrobię, gdy wybije godzina prawdy, a jednak w to brnęłam. Dlaczego więc nie brnąć dalej, z o wiele silniejszą motywacją?

Chcąc jednak podroczyć się jeszcze trochę, bez przekonania powtórzyłam Alice obawę, że wszyscy mnie w rezultacie znienawidzą.

- Przecież zawsze mówiłaś, że chciałaś żyć z pisania - wytoczyła główny argument.

Nie mogłam zaprzeczyć.

Wtedy kazała mi się uciszyć - koniec głędzenia - i przedstawiła w ogólnym zarysie plan na kilka najbliższych miesięcy: miałam prowadzić dziennik wydarzeń związanych z udawaną ciążą, potem wydobywać z tego najzabawniejsze fragmenty i przysyłać jej e-mailem do akceptacji.

Kiedy skończyła, miałam jedno ostatnie pytanie:

- Ile, powiedziałaś, zapłacą mi za tę historyjkę?
- Dużo.
- Bardziej konkretna suma byłaby mile widziana

Wytrzymując moje spojrzenie, zupełnie jakbyśmy były zawodowymi pokerzystkami, pogrzebała w swojej torebce, wyjęła długopis, nagryzmoliła liczbę na papierowej serwetce i przesunęła ją przez stół do mnie. Ani na moment nie przerwała kontaktu wzrokowego, a mimo to zdołała czytelnie napisać sumę. Boże, dobra była!

- To jakaś pomyłka. - Wpatrywałam się w rząd cyfr z zapartym tchem. - Jestem prawie pewna, że niechcący dodałaś jedno albo dwa zera.

Alice uśmiechnęła się konfidencjonalnie i pokręciła głową.

- Jesteś upoważniona do składania tak poważnych ofert?

- Owszem - przyznała - jest kilka formalności, których muszę dopełnić. Ale, zasadniczo, tak.

- Boże, masz o tyle większą władzę ode mnie...

Ledwie wzruszyła ramionami.

- Dobrze, zrobię to. Ale pod warunkiem, że dostanę ten kontrakt teraz.

- Teraz?

- Tak, teraz. Nie mam zamiaru ciągnąć tej maskarady - i pewnie przy okazji spieprzyć całe swoje życie - dla samej nadziei, że skończy się to jakimś kontraktem. Potrzebuję gwarancji.

- A co my z tego będziemy mieli?

- Zwiążesz mnie teraz kontraktem, unikając ryzyka, że będzie ostra licytacja, do której staną inni wydawcy, i że ty tę licytację przegrasz. W końcu, jeśli wymachujesz mi przed nosem tego rodzaju sumami, mając w ręku zaledwie pomysł... - Urwałam na moment, pomyślawszy, jak zawiedziona poczułaby się Dodo tym, że sprzedałam swoją książkę komuś innemu. Ale

nie mogłam jej powiedzieć o symulowanej ciąży, jeszcze nie teraz. Och, trudno, westchnęłam w duchu. Może zadedykowałabym książkę Dodo? Czy nie jest tak, że ludzie wybaczą wszelkie grzechy, dowiadując się, że książka jest dedykowana właśnie im?

- Tak, Jane. Rozumiem twój punkt widzenia. Ale powiedz mi...

- Tak?

- Skąd mam wiedzieć, czy potrafisz pisać?

- Jestem redaktorką, na miłość boską. Oczywiście, że umiem pisać.

Wpatrywała się we mnie, aż trochę zmiękłam.

- Zresztą ty też jesteś redaktorką, więc jeśli się okaże, że nie umiem pisać, zawsze możesz to podrasować.

- Słusznie.

- Kiedy dostanę kontrakt?

- Za kilka tygodni? - Wzruszyła ramionami. - Jak tylko ustalimy szczegóły i sporządzimy formalną umowę.

- I wtedy dostanę...

- To, co każdy autor - jedna trzecia po podpisaniu umowy, jedna trzecia po złożeniu satysfakcjonującego konspektu, jedna trzecia po złożeniu satysfakcjonującego rękopisu.

- Więc jeśli podpiszę ten kontrakt za kilka tygodni, od razu dostanę jedną trzecią...?

- Tak, Jane. Dostaniesz jedną trzecią.

I co? Nie mogłam się wypiąć na coś takiego, prawda?

Więc teraz moje szaleństwo miało przynajmniej motywy finansowe.

Nie mogłam doczekać się chwili, w której podzielę się dobrą nowiną z Davidem!

Mając do przejścia kilka przecznic od baru do domu, wyjęłam komórkę i wcisnęłam jego numer. Właściwie mogłam zaczekać, aż dotrę do domu i zajrzę na górę, ale

byłam pewna, że Christopher nie byłby zachwycony, gdybym naszła ich o tak późnej porze.

Więc, oczywiście, to Christopher, a nie David, odebrał telefon.

- Och, Jane. - Głos miał wyjątkowo szorstki i przymulony. - David jest przy mnie.

- Jane? Co się stało? Wszystko w porządku? Widziałem, jak Trevor wychodził z walizkami, ale nie mogłem wtedy zejść na dół i zobaczyć, co z tobą. A kiedy w końcu zszedłem, ciebie już nie było i nie miałem pojęcia, dokąd poszłaś. Jak tam, wszystko dobrze?

- Tak! - Szłam ulicą, podskakując. - Wszystko dobrze! Niemal słyszałam, jak odsuwa telefon od ucha.

- Ty jesteś... - odezwał się po chwili.

- Tak, naprawdę, naprawdę jestem!

- Mogę zapytać... dlaczego?

- Dlaczego? Bo przydarzyły mi się dzisiaj dwie cudowne rzeczy! Zakochałam się...

- Ty się zakochałaś?

- Wydajesz się taki zdziwiony. - Przez moment zastanawiałam się nad tym poważnie. - Tak - powiedziałam, myśląc o Tolkienie. - Myślę, że tak.

- To niesamowite, Jane. Jeśli to prawda, gratuluję ci i strasznie się cieszę.

- Dzięki.

- A ta druga cudowna rzecz...?

Zawahałam się. Z jakiegoś powodu nie rwałam się, żeby mu powiedzieć o umowie na książkę. Z jakiegoś powodu, kiedy już powiedziałam mu o Tolkienie, kontrakt na książkę przestał wydawać się wielką sprawą.

- Nic takiego - odpowiedziałam łagodnie, wchodząc na chodnik i przechylając do tyłu głowę w nadziei, że policzę gwiazdy ponad światłami miasta. - Nie wystarczy jedna cudowna rzecz na jeden wieczór?

- Tak. - Słyszałam, jak uśmiecha się przez telefon. - Jedna cudowna rzecz zupełnie wystarczy.

- Tak. - Odwzajemniłam uśmiech.
- I chyba niedługo wejdiesz do środka. Widzę cię z okna. Cieszę się, że jesteś bezpieczna.
- Dzięki.
- Usłyszałam stłumiony głos w tle.
- David? Wrócisz kiedyś do łóżka?
- Muszę iść - powiedział David.
- Wiem.
- Zobaczymy się jutro? - spytał, machając do mnie przez okno.
- Tak. - Uniosłam rękę i pomachałam mu na dobranoc.
- Do zobaczenia jutro.

Z tego, co piszą w książkach o ciąży, różnorodność rzeczy, które mogłam „odczuwać” w pierwszym miesiącu drugiego trymestru, wprost nie mieściła się w głowie. Z wachlarza objawów fizjologicznych: zmęczenie; zaparcia; zgaga; niestrawność; wzdęcia; dalsze powiększanie się piersi, choć temu zwykle towarzyszyło ustępowanie przeczulicy i obrzęku; okazjonalne bóle głowy; okazjonalne mdłości i zawroty głowy, zwłaszcza przy nagłej zmianie pozycji; niedrożność nosa; okazjonalne krwawienia z nosa; uczucie zatkania uszu; „różowa szczoteczka”, czyli krwawienia dziąseł; wzrost apetytu; lekki obrzęk stóp i wokół kostek, okazjonalnie występujący także na twarzy i dłoniach; żyłki podudzi i/lub hemoroidy; lekkie białe upławy; wyczuwalne ruchy płodu pod koniec miesiąca, ale tylko u bardzo szczupłych kobiet lub tych, które są w kolejnej ciąży.

O rany! Ja byłam bardzo szczupła. Czy to znaczyło, że ludzie będą chcieli dotykać mojego ruszającego się dziecka?

Jakby tego wszystkiego było mało, pojawiały się syndromy emocjonalne: niestabilność porównywalna z syndromem przedmiesiączkowym, powiązana nierzadko

z poirytowaniem, huśtawką nastrojów, irracjonalnością i płaczą; radość i/lub trwożliwość, o ile kobieta zaczęła wreszcie czuć się jak w ciąży (och, myślę, że zaparcia i upławy na razie by mnie z tego wykluczyły, pozostawiając w stanie maniakalnej depresji); frustracja, jeśli kobieta nie czuje się jak w ciąży, ale nie mieści się w normalne ubrania, a na ciążowe jest wciąż za szczupła (to akurat nie mój problem); uczucie roztrzęsania, z towarzyszącą skłonnością do zapominania, upuszczania rzeczy i kłopotami z koncentracją...

Dokładnie w tym momencie zamknęłam książkę i cisnęłam ją z kanapy, na której leżałam, w drugi koniec pokoju, gdzie z satysfakcjonującym łomotem odbiła się od ściany, co odniosło mniej satysfakcjonujący skutek, wywołując w Marcusach z piętra niżej odruch walenia w sufit. No cóż. Zrozumiałam, że jak przystało na roztrzępańca, jakim teraz byłam, zapomniałam, co robię, i upuściłam tę nieszczęsną książkę. Gdzie to ja teraz byłam?

Ach tak.

Nalałam sobie resztę wina z butelki, którą opróżniałam, ryjąc się z ciąży i jej objawów, i wychyliłam toast za wszystkie ofiary losu, które naprawdę były w ciąży. Boże, pomyślałam, z tym wszystkim, co dzieje się z kobiecym ciałem - a wymienione symptomy to tylko wierzchołek góry lodowej; jesteśmy dopiero w czwartym miesiącu - wydaje się absolutnym cudem, że kobiety wciąż zwracają sobie głowę rodzeniem dzieci.

Gdy w końcu powiedziałam dziewczynom z pracy, że ślub jest nieaktualny, ich reakcja spowodowała, że natychmiast tego pożałowałam.

- Ale to nie najlepsza pora na to, żebyś była sama - powiedziała Dodo.

- Myślę, że to ryzykowne z twojej strony być samotną

mamą - zawtórowała jej Louise - nawet jeśli tyle innych kobiet decyduje się na taki los.

- Wiesz, że ciężko ci będzie znaleźć faceta, który wzięłby cię na tych warunkach - wtrącił się Stan z księgo-wości, który przypadkiem koło nas przechodził. - Większość mężczyzn boi się zaczynać cokolwiek z kobietą, która zbliża się do trzydziestki, nie mówiąc o perspektywie brudnych pieluch. - Otoczył mnie troskliwie ramieniem. - Wujek Stan może zacząć ci się wydawać całkiem atrakcyjny...

- Zamknij się, Stan! - wrzasnęły chórem dziewczyny.

Jak tylko Stan został posłany do stu diabłów, odezwała się najmłodsza. Tego dnia miała szkła kontaktowe w odcieniu bardziej złotym niż brązowym, nadającym jej oczom pozaziemski wyraz, co w połączeniu ze słowami, które wypowiedziała, miało mi dostarczyć koszmarów nocnych na cały tydzień.

- Wiesz, Jane... - Constance położyła rękę na moim ciepłym jeszcze ramieniu, które przed chwilą obejmował Stan. - Od jakiegoś czasu myślę o wyprowadzeniu się od rodziców, tylko że do tej pory nie udało mi się trafić na właściwą sytuację. Gdybyś chciała, mogłabym...

- Boże, nie! - Niemal wzdrygnęłam się pod dotykiem jej ręki. - To znaczy, myślę, że to tak niesamowicie miłe z twojej strony, że nawet nie wiesz, z jakim trudem przychodzi mi powiedzieć „nie”, ale muszę. Widzisz, elementem nowej duchowości, którą odkryłam, gdy to wszystko się zaczęło, jest potrzeba ponoszenia pełnej odpowiedzialności za własne życie - uczucie, które wyraźnie jest obce Trevorowi, ale to tak na marginesie. Ja jestem absolutnie przekonana, że sama powinnam dźwigać swój krzyż albo pod nim zginąć. - Może to była moja wyobraźnia, ale mogłabym przysiąc, że słyszałam „Panuj, Brytania”, pieśń rozbrzmiewającą gdzieś w tle, gdy piloci RAF-u dosiadali myśliwców. Sądząc po twarzach koleżanek, one też musiały ją słyszeć.

- Co za odwaga - odpowiedziały mi na wpół słyszalne pomruki małych ludzi.

- Ale czy to nie będzie dla ciebie straszne finansowe obciążenie: utrzymywać mieszkanie, kiedy masz przed sobą tyle innych wydatków? - Głos rozsądku należał do Dodo.

Nie miałam przed sobą wielu innych wydatków, wbrew temu, co sądziły. Fakt, że normalnie byłoby mi ciężko opłacać cały czynsz za mieszkanie, ale teraz nie musiałam się martwić: czek na pierwszą zaliczkę miał rozwiązać problem.

Aby odciągnąć ludzi od wątku Trevora-opuszczającego-mnie-w-potrzebie, pomyślałam, że to równie dobry moment jak każdy inny na zmianę położnika. Nauczysz się kilku trików z obserwacji innych kobiet, sięgnęłam do repertuaru Louise i wolnym krokiem oddaliłam się do kopiarki, żeby skopiować coś, co kopiowania nie wymagało.

Porę na odbycie swojej przechadzki wybrałam precyzyjnie, żeby trafić na moment, kiedy i Dodo znajdzie się na wspólnym terytorium, zakładając, że wystarczy tylko raz wypuścić fałszywkę, a poczta pantoflowa zrobi za mnie resztę.

Dla dobra sprawy zagwizdałam, żeby ludzie nie mogli mnie nie zauważyć, ale że nigdy nie byłam w tym dobra, zamiast dźwięcznego trelu, wyszło mi głuche dmuchnięcie.

- O, Jane. - Constance spojrzała na mnie nowymi oczami w kolorze akwamaryny, jakby nigdy dotąd mnie nie widziała, jakbym była jakimś nowym zjawiskiem, i wróciła do swoich fingowanych wprawek na klawiaturze komputera. - Co nowego słyszać? - spytała, nie podnosząc wzroku, podczas gdy jej ruchliwe palce wystukiwały coś, co, jestem pewna, wyglądało jak „fhygoy;yhgdjky”, gdyby komukolwiek przyszło do głowy

to sprawdzić. Kiedy na horyzoncie pojawiała się Dodo, zdobywała się na dodatkowy wysiłek, udając, że naprawdę robi coś dla firmy.

- Och, nic specjalnego. - Odwróciłam się plecami do kserokopiarki, na modłę Louise, choć kiedy spróbowałam zmałpować ją jeszcze wierniej nonszalanckim odrzuceniem do tyłu włosów, mój gest nie wypadł równie efektownie, bo ona miała długie włosy, a ja nie. - Tak, właściwie nic specjalnego, jeśli uznać zwolnienie wielkiego doktora Sheltona za nic specjalnego.

- Mówisz, że co zrobiłaś?! - wykrzyknęła Louise. - Ludzie czekają w kolejce, żeby się do niego dostać. Podobno są kobiety, które nie chcą rzucić pigułek, dopóki on nie podpisze zobowiązania, że będzie prowadził ich ciążę.

- To prawda - dorzuciła Constance, która była zapaloną czytelniczką „Globe”, gdy tylko nie czuła się w obowiązku udawać, że coś pisze. - Czytałam, że księżniczka Niquie tak zaplanowała poczęcie, żeby mieć pewność, że on będzie w stanie się nią zająć.

- Tak naprawdę - powiedziałam chłodno, zawsze skłonna porównywać swój los z życiem członków rodziny królewskiej, choćby tych pomniejszych - wstrząsające doświadczenia księżniczki Niquie są jednym z powodów, dla którego wykopałam starego Sheltona.

- Nie mów... - westchnęła Constance, wstając z krzesła.

- Właśnie że mówię.

- Myślałam, że jej doświadczenia były wstrząsające, zanim wkroczył na ratunek doktor Shelton.

- Niezupełnie. To tylko wersja na użytek opinii publicznej.

- Chcesz powiedzieć, że jest inna wersja? - Louise przysunęła się bliżej, w ślad za Constance.

Spojrzałam na Dodo.

- Pamiętasz, co mówiłaś o tej przyjaciółce swojej

przyjaciółki? Wiesz, tej, której Shelton powiedział, że używa ciąży jako wymówki, żeby zamienić się w wielką tłustą krowę?

- Nie sądzę, żeby to były dokładnie moje słowa...

- Słyszałam, że ona nie jest jedyną, z którą pozwalał sobie na takie numery.

- Tak? - Dodo ruszyła w moją stronę, co dowodziło, że i ona połknęła w końcu haczyk.

- Właśnie tak to wygląda.

- Więc powiedz nam - powiedziała Constance z błyskiem w akwamarynowych oczach. - Z kim jeszcze pozwalał sobie na takie numery?

- Gdybym wam powiedziała, że z księżniczką Niquie?

- Nie!

- Tak! Właśnie to było takie wstrząsające w całej historii jej ciąży i porodu. Poza faktem, że rodziła kilka dni i tak dalej, wiadomo. Ale to, co powiedziała, że było dla niej najgorsze, to sposób, w jaki Shelton objeżdżał ją za każdy kilogram, który śmiała przybrać na wadze. Mówił jej, że to, że jakaś kobieta ma dziedziczne prawo do zakładania od czasu do czasu korony na głowę, nie rozgrzesza jej z tycia o jeden gram więcej niż przewiduje norma.

- Niemożliwe!

- Możliwe!

- Zaraz, zaraz. - Constance założyła ręce na biodra.

- Tego na pewno nie pisali w „Globe”.

- Jasne, że nie. Nie sądzisz chyba, że dwór albo doktor Shelton pozwoliliby na przeciek takiej historii? Żadnej ze stron nie przynosi to chluby. On wychodzi na męską szowinistyczną świnię, a księżniczka Niquie wydaje się mieć kłopoty z samokontrolą.

- Bo ma.

- To prawda.

- Ale jeśli żadne z nich nie dopuściłoby do przecieku takiej historii - napierała Constance - w jaki sposób ty weszłaś w posiadanie tej nieznanej wiedzy?

Chciałam jej wytknąć, że ostatnie dwa słowa tworzyły jedną z dziwniejszych konstrukcji słownych, jakie zdarzyło mi się słyszeć, ale obawiałam się, że tylko zamieszam jej w głowie.

- Jestem jedną z jego pacjentek, prawda? W każdym razie byłam, dopóki nie podziękowałam mu za współpracę w geście solidarności z innymi kobietami dźwigającymi brzemię - gra słów zamierzona - systemu patriarchalnego, który uciska je od tak dawna.

- Nie rozumiałam z tego ani słowa - przyznała Constance. - Chcę tylko wiedzieć, od kogo to usłyszałaś.

- Od jego pielęgniarek, oczywiście. One wszystkie strasznie plotkują, nie wiecie?

- Naprawdę? - zdziwiła się Louise. - A ja zawsze myślałam, że do ich obowiązków należy zachowanie jak największej dyskrecji.

- Tak właśnie chcą, żebyś myślała. W rzeczywistości są najgorszymi paplami pod słońcem.

- Nieprawda!

- Prawda! Któregoś dnia, kiedy mierzyły mi ciśnienie, tuż koło mnie siedziała nastolatka, mniej więcej w piątym miesiącu, która przyszła ze starszą kobietą, wyglądającą mi na jej matkę, bo obie miały podobne nosy. W każdym razie, pielęgniarka czyta kartę pacjenta i z zimnym spokojem zwraca się do tej małej: „Tu jest napisane, że to twoja druga ciąża”. Wierzcie mi, ta biedna matka omal nie padła trupem, i na pewno nie chciałabym być w skórze jej córki, kiedy wróciły do domu na Soho.

- Ale to jeszcze nie plotka - zaprotestowała Louise.
- Zaledwie niedyskrecja.

- Niewielka różnica. - Wzruszyłam ramionami.

- Wracając do doktora Sheltona... - Dodo postanowiła się odwołać do mojego zdrowego rozsądku. - Nie mówisz poważnie, że zrezygnowałaś z usług najbardziej wziętego położnika w Anglii?

- Ależ tak, całkiem poważnie. - Prawdę mówiąc, długo się nad tą sprawą zastanawiałam. Wiedząc, że nie mogę pozostać pod opieką tak sławnej osobistości, od dwóch miesięcy głowiłam się nad alternatywnym rozwiązaniem i doszłam do wniosku, że skoro można zamówić pizzę z dostawą do domu, nie ma przeszkód, żeby zafundować sobie poród w domu. - Zdecydowałam się na położną - oświadczyłam stanowczo.

Dodo otaksowała wzrokiem moją wciąż niezmienioną, niewątpliwie szczupłą sylwetkę.

- Nie rozumiem. Ciebie Shelton na pewno nie objeżdża za nadmierne przybieranie na wadze.

- Jasne, że nie. On objeżdża mnie głównie za to, że utrzymuję się w za dobrej formie fizycznej. Widocznie facet ma jakąś dziwną obsesję na punkcie kobiecej wagi. Ale nie o to chodzi. Jestem wystarczająco silna, żeby sobie z tym poradzić. Dużo silniejsza od biednej księżniczki Niquie, zapewniam was. Rzecz w tym, że, jak już zaczęłam wam mówić, o geście siostrzanej solidarności...

Ale Constance nie dała mi skończyć zdania.

- O rany, myślę, że to cudowne! - Klasnęła w dłonie.
- Położna! To po prostu... genialne!

- Może nie będzie aż tak straszne - powiedziała Dodo.
- Pamiętam, że czytałam w jakiejś publikacji, niepocho-
dzącej z epoki kamienia łupanego, że niektórzy prywatnie praktykujący lekarze zatrudniają na stałe położne. A że, oczywiście, dziecko urodzi się w przyzwoitym szpitalu...

- Nie! - prawie krzyknęłam. - Nie, nie, nie. Przecież między innymi dlatego wybrałam położną. Niezależnie od całej tej kobiecej solidarności, chcę urodzić swoje dziecko w domu. Rozumiecie - naturalne światło, cicha muzyka imitująca szum fal, siedzenie w kucki, jeśli tylko mam na to ochotę. Nie chcę żadnej szpitalnej oprawy. Właśnie dlatego wynajęłam Madame Zorę.

- Madame Zorę? - Dodo miała sceptyczną minę.
- Pasuje do wróżki stawiającej tarota, a nie do położnej.

- Zabawne, że zwróciłaś na to uwagę. Madame Zora jest jednym i drugim.

- Jest położną i wróżą z tarota?

- Właśnie. Nie macie pojęcia, jakie to dla mnie wygodne. Nie wiem, czy o tym wspominałam, ale odkąd jestem... powiedzmy, brzemienna, mam wrażenie, że to na nowo odnalezione poczucie duchowości zawładnęło moim życiem. - Wykonałam w powietrzu kilka gestykulacyjnych ozdobników. - To jest tak, że rosnące we mnie nowe istnienie...

- Och tak, czytałam o tym. - Przejęta Constance weszła mi w słowo. - Podobno jeśli nie było się przedtem zbyt religijnym, naprawdę spada na człowieka potrzeba wiary.

Usiłowałam nie zgromić jej zbyt surowym wzrokiem za przerywanie.

- Więc gdy tylko się rozpoczął ów niewiarygodny proces, zrozumiałam, że cała tajudeochrześcijańska rzecz przestaje wystarczać. Mam wrażenie, jakby coś niezemskiego działało się w moim życiu i tylko formy duchowości alternatywnej trafiają mi do przekonania. - W końcu przestałam gestykulować. Niczym Will Szekspir zbliżający się do finału, ruszyłam ku niemu pędem, gadając jak nakręcona. - I tak właśnie pojawia się Madame Zora. Widzicie, absolutnie cudowne jest w niej to, że będąc jednocześnie położną i wróżką stawiającą tarota, przynosi swoje karty do porodu i w każdej chwili, podczas całego tego sapania i parcia, kiedy tylko poproszę, wyciąga je błyskawicznie i czyta z nich to, co chcę wiedzieć. Jak długo jeszcze potrwa albo jak ciężki będzie poród? Załatwione. Czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka? Załatwione. Wyrośnie na kryminalistę czy na ministra? Nierządnicę czy gospodynię talk-show? - Skrzyżowałam ręce na piersi i dwukrotnie kiwnęłam głową dla wzmocnienia efektu. - Załatwione.

Constance jeszcze raz zaklaskała.

- To jest... tak genialne, że brakuje mi słów!

Louise nie była aż tak zachwycona jak Constance, ale wyglądała na zadowoloną, że będzie można o czymś rozmawiać, podczas gdy Dodo była zdecydowanie przeciwna.

- A czy ta... cała Zora ma jakieś formalne kwalifikacje medyczne?

- Oczywiście, że nie. Gdyby miała, o czym by tu mówić?

- No dobrze, a co się stanie, jeśli nie wszystko pójdzie gładko. Jeśli okaże się, że nie wystarczy potrząsanie ziołami wudu nad łóżkiem położniczym i śpiewanie dziecku „Wyjdź, wyjdź, gdziekolwiek jesteś”? Co zrobisz, jeśli coś pójdzie źle, z czym Xena, Waleczna Księżniczka nie będzie sobie w stanie poradzić?

- Och, od tego są lotne brygady.

- Lotne brygady?

- Tak - powiedziałam, okazując rozczarowanie jej brakiem wiedzy. - W pełni wyposażone ambulanse gotowe, w razie potrzeby, zabrać matkę i dziecko do szpitala. Co w moim przypadku na pewno nie nastąpi.

Dodo przyłożyła rękę do piersi.

- Uff, z prawdziwą ulgą to słyszę. Świadomość, że fachowa pomoc medyczna będzie pod ręką, zapewni mi komfort psychiczny.

- Cieszę się, że tak łatwo przyszło mi zdjąć wam kamień z serca. Ale naprawdę, dziewczyny, myślę, że jestem w stanie zagwarantować, że akurat ten poród przebiegnie bez żadnych komplikacji.

Wiązałam z tym lunchem duże nadzieje, że może po blisko trzydziestu latach moja matka i ja w końcu się porozumiemy.

Moja matka i ja właśnie zostałyśmy usadowione przy

stoliku w „Mięso! Mięso! MIĘSO!!!”, nowej restauracji, którą ona uparła się sprawdzić.

Co za dziwną nazwę ktoś wymyślił dla placówki gastronomicznej, pomyślałam.

- Czy to nie jest trochę - powiedzmy sobie - pretensjonalne? A może bardziej by pasowało słowo „prostaciek”? - zastanawiałam się głośno, kręcąc szyją, żeby przyjrzeć się przystojnym kelnerom w rzeźniczych fartuchach z podejrzenie naturalistycznymi plamami, które, miałam nadzieję, były z ketchupu. - A te poście wołowiny wiszące przy menu w oknie wystawowym - czy to nie jest leciuchne przegięcie?

- Otóż wiedz, Jane, że ta restauracja została uznana we wszystkich najlepszych przewodnikach za bardzo trendową. - Matka poprawiła sobie na kolanach serwetkę, w tym samym czasie poprawiając się na krześle, czyli robiąc to swoje: jeden-półdupek-w-górze-potem-drugi, czym zawsze doprowadzała mnie do szału. Wyglądało, jakby miała gazy i demonstrowała to w rażąco jasny sposób.

- Jakie przewodniki czytałaś? „Miesięcznik rzeźniczy”?

- Nie gadaj głupstw. Nie ma takiego czasopisma. - Nie dało się jej okpić. - Mówię o prawdziwych przewodnikach. A więc recenzenci uważają, że „Mięso! Mięso! MIĘSO!!!” jest wyrazem gwałtownej reakcji kulturowej, jaką przewidywali już od pewnego czasu. Kotlety z soi, akurat! To nie jest naturalna dieta. - Pochyliła się i szepnęła: - Przepowiadają, że picie też powróci do łask i że wkrótce ludzie będą nosić plakietki z napisem „Jestem palaczem i jestem z tego dumny”. - Znów wykonała ten manewr z pośladkami. - W każdym razie, wiem, że zawsze stosujesz jakieś szalone diety i martwię się, że teraz, kiedy jesteś w ciąży, będziesz miała niedobór białka.

- Tak, przypuszczam, że unikanie nadmiernych ilości

zwierzęcego tłuszczu może wydawać się innym szaloną dietą.

- Nie musisz się od razu dąsać. Nie tak dawno temu odżywiałaś się samymi koktajlami mlecznymi.

- Fakt.

- A w czasie studiów byłaś w fazie melon-do-każdego-posiłku.

- Tak jest, wysoki sędzie.

- A pierwszą swoją dietę ćwiczyłaś w wieku lat dziesięciu. Tę, która gwarantowała długie życie i wieczystą szczupłość, jeśli tylko zjesz wszystko, co masz do zjedzenia, przed południem. Tę, która pozwalała jeść z czystym sumieniem pięć tysięcy kalorii dziennie, nawet w postaci trzech kostek masła, pod warunkiem, że zrobisz to, zanim zegar wybije dwunastą.

- W porządku. Wystarczy. Twoje na wierzchu.

- O ile dobrze pamiętam, przybrałaś wtedy sporo na wadze.

Fuknęłam pod nosem.

- Tylko dlatego, że robiłam się potwornie głodna pod koniec dnia. Nic dziwnego - przez jedenaście godzin, między południem a położeniem się do łóżka, nie wolno było ani jeść, ani pić. Taki ramadan na odwrtkę. Doszłam do tego, że kładłam się spać o czwartej po południu, kiedy wszyscy inni rozkoszowali się herbatą, a ja nie mogłam. Potem wstawałam o północy, uznawałam, że to początek nowego dnia, i żarłam, ile wlezie, do południa.

- Nic dziwnego, że zamieniłaś się tamtego lata w małego tłuścioszka.

- Mamo, masz taki uroczy sposób nazywania rzeczy po imieniu.

W tym momencie podszedł kelner i patrzyłam na nią, jak zamawiała stek z polędwicy - niezbyt oryginalnie - którego wielkość, jak zauważyłam, określiła na wagę.

Ten matczyzny krzyż, który dźwigałam od blisko trzydziestu lat, był wciąż całkiem ładny i dobrze zakonser-

wowany. Farbowała włosy na blond w odcieniu szampa, wystarczająco często, żeby nikt nie zgadł, że pod spodem są nadal atrakcyjnie czarne. Jej niebieskie oczy zdradzały pewność siebie, jaka cechuje tylko te kobiety, które żyją od dawna bez mężczyzny, uznając, że najzupełniej im ten stan rzeczy odpowiada. A jej ciało było w tej optymalnie dobrej formie, jaką przypisuje się raczej dobrym genom niż spędzaniu długich godzin w siłowni z rozpaczliwym zamiarem oszukania czasu.

Na dobrą sprawę, gdyby nie fakt, że doprowadzała mnie do furii za każdym razem, gdy musiałam się z nią spotkać na dłużej niż pięć sekund, mogłabym ją podziwiać.

- Dla mnie to samo - zwróciłam się do kelnera, Rzeźnika Brada, jak głosił wyszyty na fartuchu napis - tylko połowę.

Teraz fuknęła moja matka, dowodząc, po kim odziedziczyłam ten paskudny nawyk.

- Wiedziałam, że będziesz się krzywiła na czerwone mięso. Prawdopodobnie powiesz, że w nadmiarze może szkodzić dziecku, ale miałam nadzieję, że jeśli cię tu przyprowadzę, może dasz się przekonać do zjedzenia na jedno posiedzenie wystarczająco dużej porcji, żeby przetrwać kilka następnych miesięcy. Wyglądasz - tu obrzuciła surowym spojrzeniem moją postać - niezwykle szczupło jak na kobietę w ciąży.

I to pada z ust kobiety, która chwilę wcześniej nie była w stanie darować sobie tego obrzydliwego słowa „tłuszciozek”.

- Mamo, czy możemy rozmawiać o czymkolwiek innym poza jedzeniem?

- Zgoda.

Byłam skazana na wodę mineralną, gdy ona pociągnęła łyk wina, które postawił przed nią Rzeźnik Brad. Po raz pierwszy zauważyłam, że jest w tym kelnerze coś bardzo znajomego, ale tylko zerknęłam na jego twarz,

zmienioną zresztą wielką czapką kucharską, zanim następne słowa matki odwróciły od niego moją uwagę.

- Zastanawiałaś się może, jakie zechcesz wybrać imię dla dziecka? Bo ja sobie pomyślałam, że danie mu imion po twoim zmarłym ojcu mogłoby być miłym gestem.

Obryzgałam wodą cały obrus, a w istocie płachtę papieru do pakowania mięsa.

- Naprawdę myślisz, że świat potrzebuje jeszcze jednego Hugh * Pugh Taylora, który przez całą szkołę będzie dostawał w dupę od kolegów?

- Jane, licz się ze słowami i mów ciszej. Nazwisko rodowe twojej babki ze strony ojca nie jest takie złe.

- W parze z czymś innym niż Hugh, Pugh nie jest takie złe, co nie znaczy, że jest dobre. Ale Hugh... Nie zastanawiało cię nigdy, dlaczego tata, przedstawiając się ludziom, mówił: „Proszę, mów mi Taylor. Po prostu Taylor”?

Rzeźnik Brad postawił przed nami gorące talerze. Kawał mięsa z dania mojej matki wystawał poza brzeg, podczas gdy mój zajmował prawie cały talerz. Kilka pieczonych ziemniaków i coś w rodzaju bukietu jarzyn było jakby wymuszonym ustępstwem na rzecz co wrażliwszych gości potrzebujących iluzji, że jedzą w pełni zbilansowany posiłek. Chwyciłam swój ząbkowany nóż i widelec i z lubością wbiłam go w stek. Zdumiewające, jak po kanibalsku kusząco może wyglądać soczysty kawałek mięsa, kiedy po przeciwnej stronie stołu siedzi matka.

- Cóż... - powiedziała, gdy i jej sztucce były w robocie - jeśli nie chcesz nazwać dziecka, o ile to będzie chłopiec, po swoim ojcu, a jestem pewna, że nie dasz mu imienia po Trevorze - nie po tym, jak cię rzucił - czy masz w takim razie inny pomysł?

Nie cierpiałam, kiedy tak stawiała sprawę.

* Hugh (ang.) - „fuj!” (przyp. tłum.).

Od chwili, gdy powiedziałam jej o odwołanym ślubie, dokładnie dwie godziny po tym, jak powiedziałam jej o dziecku i planowanym małżeństwie, stała się nieznosna. A była jeszcze Sophie, ostatnio równie nieznosna. Po pierwszym wybuchu siostrzanych uczuć na tle naszych prawie równoległych ciąży, fakt, że wyprzedza mnie o cztery miesiące, tak jej uderzył do głowy, że wydzwaniała do mnie dzień w dzień, żeby sprawdzić, czy nie robię czegoś głupiego.

Doszłam do tego, że nawet nie zadawałam sobie trudu, żeby zaczynać rozmowę od „halo”, tylko od razu przechodziłam do sedna sprawy: „Nie, Sophie, nie używam mikrofalówki ani żadnych takich” i „Nie, nie wdycham żadnych substancji w aerozolu”.

- Przecież Hugh Pugh i Trevor nie są jedynymi męskimi imionami na świecie - powiedziałam. - Więc owszem, dokonałam już ostrej selekcji.

- Ach tak?

- Tak. Myślałam o Baltazarze albo Attyli.

Rzeźnik Brad oderwał się od swoich obowiązków, żeby klepnąć moją krztuszącą się matkę w plecy. Klepnąwszy ją, nawiązał kontakt wzrokowy ze mną i w końcu wylazło szydło z worka. Boże, to był Christopher! Co on, do diabła, tu robił? Ale zanim zdołałam zapytać rzekomego architekta, co robi w stroju kelnera w „Mięso! Mięso! MIĘSO!!!”, on uśmiechnął się do mnie, zmrużył konspiracyjnie oko i ruchem głowy dał mi do zrozumienia, że powinnam kontynuować swoją rozmowę.

- Widzisz, jeśli dam mu na imię Attyla - zaczęłam wyjaśniać, na początku lekko zbity z tropu odkryciem Christophera w skórze Brada - prawdopodobieństwo, że będzie bity w szkole, znacznie się zmniejszy. Ludzie nie rwą się do bicia ludzi o imieniu Attyla. Właściwie jedyny problem widzę w tym, że jeśli natura obdarzy go zniewieściałą urodą, jakiś półgłówek mógłby wpaść na dowcip, żeby przezwąć go Tilly.

Niebezpieczeństwo zakrztuszenia się zostało zażegnane i gdy moja matka napiła się wody, Christopher wrócił do swoich zajęć.

- A Baltazar? Nie widzisz tu żadnego argumentu przeciw, który powstrzymałby cię przed zrobieniem czegoś takiego?

- Nie. Co jest złego w Baltazarze?

- Raczej wszystko.

- Przecież Baltazar był jednym z trzech mędrców. No wiesz, tych facetów, którzy przywieźli wszystkie te rzeczy Jezusowi. To ty mi zawsze mówiłaś, że chciałabyś, żebym była bardziej religijna.

- Nie łatwiej byłoby odwiedzać od czasu do czasu kościół?

- Nie wiem, co cię tak drażni w Baltazarze. Przecież nie chcę nazwać go Melchior - tak miał na imię drugi z trzech mędrców, jeśli zapomniałaś. - Z łokciem na stole, machałam w powietrzu widelcem, udając głębokie zamyślenie. - No właśnie, a ten ostatni... za nic nie mogę sobie przypomnieć jego imienia...

- Ja też nie.

- Zresztą nieważne. Jestem prawie pewna, że to będzie dziewczynka.

- Tak?

- Tak. I jeśli tak się stanie, będzie miała na imię Angharad, jak bohaterka jednej z książek Lloyda Alexandra. Kochałam je, kiedy byłam dzieckiem.

- Mówiłam twojemu ojcu, że mądrzej by zrobił, gdyby nie nauczył cię czytać.

- Ale jeśli jednak okaże się, że to chłopiec, mam pomysł na jeszcze jedno imię. - Pochyliłam się, śmiejąc, rozbawiona fikcją, którą tworzyłam nawet w trakcie mówienia. - Wiesz, poznałam pewną kobietę, której lekarz przysięgał, że będzie miała chłopca, i że jest pewien, bo ten chłopiec, jak wynikało ze zdjęć, miał mieć wyjątkowo dużego... - Rozejrzałam się dookoła i zniży-

łam głos do szeptu - ...wyjątkowo dużego, no wiesz. Na końcu się okazało, że to, co według lekarza było chłopcem z dużym... no wiesz, jest dziewczynką i dużym cieniem.

- Imię, Jane. Mówiłaś o jeszcze jednym imieniu.

- Dobrze. Zgoda. Napiszę ci je. - Grzebałam długo w torbie, aż znalazłam długopis i kawałek papieru.

- Nie rozumiem, dlaczego musisz być taka tajemnicza.

- Nie chcę, żeby ktoś mi ukradł pomysł. - Napisałam, a potem z miną zawziętego biznesmena złożyłam świstek i przesunęłam go po stole w jej stronę.

Rozłożyła go ostrożnie, jakby otwierała list-pułapkę.

- Żartujesz, Jane! Nawet ty nie nazwałabyś własnego dziecka... Satan?

- Och, mamó - jęknęłam bezsilnie. - To się tylko tak pisze. Wymawia się nie jak „satan”, od szatana i satanizmu, tylko z akcentem na drugie „a”, jak nazwisko tego starego guru od diet: Katahn. Tyle że moje imię dla dziecka wymawia się „Satahn”, a pisze „Satan”. Czy teraz rozumiesz?

Okej, może ten numer był zbyt okrutny. Ale ona nazwała mnie „tłuscioszkiem”, tak czy nie? I to nie po raz pierwszy. Więc pytam was: która dziewczyna chce być nazywana „tłuscioszkiem” przez własną matkę?

Wet za wet, Satan za tłuscioszka. Moim zdaniem, bilans wyszedł na zero.

Moja matka dalej popijała wino, a ja się zastanawiałam, co u diabła robi tu Christopher.

- Jane, wszystko ci mogę wyjaśnić.

Było to absolutną nowością w moim życiu, że ktoś do mnie kierował takie słowa. Zwykle bywało odwrotnie.

- Tak, David. Jestem pewna, że możesz. Na przykład dlaczego, po latach opowiadania mi, że jedynym mięsem, na które może skusić się gej, jest befsztyczek filet mignon, postanowiłeś otworzyć centrum rzeźnicze.

- Nie musisz być na niego taka cięta. - W roli obrońcy pokrzywdzonego wystąpił Christopher, który zjawił się u mnie z Davidem późno w nocy, po zamknięciu restauracji. - To wszystko moja wina. - Przeszedł do pokoju i rozgościł się, nie czekając na zachętę z mojej strony. - Chciał otworzyć wegetariańską knajpę, pewnie z silnymi wpływami bliskowschodnimi, ale powiedziałem mu: „Nie, nie, nie i jeszcze raz nie”. W Covent Garden to zbożowe badziewie zdecydowanie się przejadło. Naprawdę, ruch retro-nowo-hipisowski - czy jak byście go nazwali - lada moment powinien wyjść z mody i...

- Wtedy ja spytałem: „A może ryby?” - wtrącił David.

- Co wyjaśnia, dlaczego dostaliśmy małego rozumu, kiedy powiedziałem: „Ryby! Ryby! RYBY!”, gdy spotkaliśmy się w tamtej obskurnej indyjskiej budzie, bo oczywiście przekonałem Davida, że byłoby zupełnie bez sensu otwierać knajpę rybną w środku Anglii, jakby ludzie przyjeżdżali tu na chrupki krabowe albo sushi...

- Ale jeszcze tego samego wieczoru Christopher powiedział: „Wiesz, taka wyspecjalizowana restauracja to może nie byłby zły pomysł, a naprawdę wygląda na to, że do łask wraca mięso. Właściwie, zgodnie z logiką kalendarza, lada moment styl będą nadawały japiszony w wydaniu retro, a oni zawsze byli entuzjastami steków wielkości talerza...

- I tak narodziło się „Mięso! Mięso! MIĘSO!!!”.

- To nadal nie wyjaśnia, dlaczego ni stąd, ni zowąd interesuje was mięso inne niż filet mignon, ani dlaczego nie zaprosiliście mnie na otwarcie...!

- David nie musi go jeść. - Christopher odpowiedział pierwszy. - Musi je tylko przyrządzać.

- Bałem się. - David wzruszył ramionami, odpowiadając na drugie pytanie.

- Ale dlaczego?

- Bo jest szefem kuchni - powiedział Christopher.

- Nie pytam ciebie!

- Choćby ze względu na to, co się z tobą ostatnio dzieje - odpowiedział David. - Od kiedy odszedł Trevor, jesteś bardzo humorzystą dziewczynką.

Co było prawdą. Pomimo euforii, jaką wywołało we mnie poznanie Tolkiena, tak przywykłam do roli CIĘŻARNEJ KOBIETY, KTÓRĄ OPUŚCIŁ FACET, że ta rola zdominowała resztę mojego życia.

Poza tym byłam zakochana, a bycie zakochanym rodzi równie dużo chwiejnych emocji, jak bycie porzuconym. Nie mówiąc o tym, że choć naprawdę byłam zakochana, Tolkien jeszcze ani razu do mnie nie zadzwonił.

- Nie chciałem wyprowadzać cię z równowagi - ciągnął David - w sytuacji, w której dookoła było mnóstwo noży do steków.

Zignorowałam jego bezsensowny wywód i jeszcze raz natarłam na Christophera.

- A ty? Co ci się porobiło, że zostałeś Rzeźnikiem Bradem?

- No wiesz, rzuciłem swoją dzienną posadę architekta. Wiadomo, że trudno jest znaleźć dobrego pomocnika, a David takiego potrzebował, a ja kocham Davida.

To był naprawdę szczyt wszystkiego. Opadłam na kanapę, kompletnie przybita.

- Rany, dlaczego ja nie mogę być gejem? - spytałam sufit, myśląc o tym, jak bardzo ci dwaj się kochali i jak nieskomplikowana zdawała się ich miłość.

Dobrze, że byłam jedyną osobą w towarzystwie, która wiedziała, że bardziej ja powinnam czuć się nie w porządku, bo nie powiedziałam swojemu najlepszemu przyjacielowi o rozmowie z Alice i o książce, którą pisałam codziennie wczesnym rankiem.

Dlaczego? - macie prawo zapytać.

Dlatego, że podczas gdy z łatwością mogę sobie pozwolić, żeby mój najlepszy przyjaciel myślał, że popełniam tak szaloną rzecz, bo po prostu jestem szalona, zupełnie czym innym jest przyznać, że w grę wchodzi zysk finansowy.

Co mogę powiedzieć na swą obronę? Mam zwichrowaną moralność i nie chciałam, żeby David, który zawsze mnie kochał pomimo mojego gorszego ja, źle o mnie myślał.

Zdecydowana do upadłego działać irracjonalnie, zakładając, że nie urazi mnie to, czego oni nie wiedzą o moich przemilczeniach, przekręciłam się na brzuch i z ponurą miną spozrzałam na Davida.

- I kiedy zamierzałeś mi o tym wszystkim powiedzieć?

- Kiedy odniosę sukces? - spytał raczej, niż odpowiedział.

- No cóż - wtrącił usłużnie Christopher - ale przez jeden radosny moment miałaś dzisiaj przewagę nad swoją matką.

O mój Boże. OmójBoże, OmójBoże!

To był Tolkien, w końcu do mnie zadzwonił!!!

Och, myślałam gorączkowo, gdybym tak mogła przytrzymać go przez moment na linii i wykonać alarmowy telefon do Davida. On by na pewno znalazł właściwe słowa.

Ale nie mogłam tego zrobić. To znaczy, wiedziałam, że nie mogę. To byłoby wariactwo. Jedyne, co musiałam zrobić, to uspokoić łomot własnego serca na tyle, żeby usłyszeć, jak mówi:

- ...W takim razie przyjeżdżam po ciebie o ósmej w sobotę, tak?

- Tak - wykrztusiłam z trudem.

- Miło słyszeć, że umiesz mówić. - Byłam pewna, że słyszę, jak uśmiecha się przez telefon. - To twoje pierwsze słowo, nie licząc: „halo”.

Zamknęłam z radości oczy, przyciskając do ucha słuchawkę.

- Tak.

- Okej, w takim razie wszystko w porządku. Umiesz mówić i jesteśmy umówieni.

- Tak.

- Tak.

Od podniecającego tryumfu nad moją matką do straszliwego bólu klęski w wojnie siostrzanej: wobec bliskiego terminu porodu Sophie, tak, drodzy czytelnicy, znów nadeszła pora na upojną imprezę z prezentami.

Podczas tych wszystkich przyjęć z okazji zbliżającego się ślubu/narodzin dziecka - moich przyjaciół, znajomych i prawie obcych ludzi - które zaliczyłam w ciągu ostatnich kilku lat, bywały chwile, gdy czułam się jak etatowa winszująca, zobowiązana do celebrowania szczęśliwych wydarzeń wszystkich kobiet z Unii Europejskiej.

Przypuszczam, że jako jej jedyna siostra powinnam była być bardziej aktywna w urzędzeniu przyjęcia na cześć pierwszego dziecka Sophie. Ale ostatnio byłam bardzo zajęta, prawda? W każdym razie zupełnie nie miałam do tego głowy i oficjalne listowne zaproszenie spadło na mnie jak grom z jasnego nieba. Oczywiście musiała mi kiedyś o tym mówić, pewnie mówiła wielokrotnie, ale kto by słuchał Sophie, jeśli mógł się bez tego obejść?

Doskonale wiedziałam, że, w przeciwieństwie do imprez przedślubnych, te z prezentami dla dzieci rzadko bywają niespodzianką. To rozumiałe, bo przyszła matka z nadmiaru emocji mogłaby przedwcześnie urodzić i kogośkolwiek wydałby takie zbyt pomysłowe przyjęcie, naraziłoby dziecko na spędzenie kilku pierwszych miesięcy życia w inkubatorze, a siebie na dozgonne wyrzuty sumienia.

Byłam więc zadowolona, że to nie ja będę gospodynią przyjęcia dla Sophie. Problemem była osoba, która się tego podjęła.

- Nie, mam, nie zmieniałam zdania. Bardzo żałuję, że nie mogę ci pomóc w przerobieniu salonu na niby-pokój dziecienny, ale jak już powiedziałam z tysiąc razy, jestem teraz zawałona pracą w wydawnictwie.

- Ona jest twoją siostrą, Jane.

- Tak. Wspominałaś o tym wielokrotnie. Mimo to, niestety, przykro mi. Tym razem będę tylko gościem. Swoją drogą, myślę, że Sophie poznała mnóstwo nowych przyjaciółek w tej szkole rodzenia, o której ciągle mówią z Tonym. Może byś się skontaktowała z jedną z nich i poprosiła, żeby pomogła ci udekorować pokój butelkami ze smoczkiem?

- No wiesz, przypuszczam...

Dzień fety w końcu zaświtał, jeden z tych dusznych dni, które po prostu się zdarzają. Nim położyłam rękę na kłamece, pomyślałam, że moja osobista prognoza pogody brzmi: „Powinnaś być gdziekolwiek indziej, tylko nie tu”.

Salon został przerobiony na koszmar cukierkowego niemowlęctwa, zbyt straszny, żebym miała przeżyć to jeszcze raz, używając własnych umiejętności opisowych. Dość powiedzieć, że ponieważ Sophie i Tony za nic nie chcieli się dowiedzieć przed czasem, jaką dziecko ma płeć, wśród dekoracji znalazły się żółte, niebieskie i różowe wersje tych samych rekwizytów związanych tematycznie z niemowlęciem, nie mówiąc o chorągiewkach i balonikach.

Kiedy próbowałam wejść do kuchni, przylegającej do salonu, żeby zobaczyć, co będzie do jedzenia i picia - może jakieś wino? - wpadłam twarzą na zwisającą z sufitu dekorację: żółtą tetrową pieluchę z napisem „Witaj, Kochane Dziecko” złożonym z na przemian różowych i niebieskich liter w miejscu, które miała wkrótce zajmować pupa. Zaczęłam mieć wrażenie, że trafiłam do jakiegoś obrazu Hieronima Boscha, w którym sam H.B. zupełnie nie utrafił z paletą barw.

- Jesteś przekonana, że powinnaś pić wino, Jane?

Myślałam, że w dzisiejszych czasach ciężarne kobiety tego nie robią.

- Eee... Chodzi ci o to? - Zaśmiałam się nerwowo na słowa matki, wskazując kieliszek na bufecie, jak gdyby mógł go tam postawić ktoś inny. W rzeczywistości, nie zobaczywszy ani jednej wystawionej butelki wina, a tylko obowiązkowy poncz i dietetyczną colę, pomyszkowałam w lodówce, aż znalazłam to, co spodziewałam się znaleźć: dzbanek taniego czerwonego wina. - Och, wyjęłam to na wypadek, gdyby ktoś miał ochotę na kieliszek wina, ale nie miałam odwagi zapytać. Wiesz, wydaje mi się niemożliwe, żeby wszystkie zaproszone kobiety były w ciąży.

- Prawdę mówiąc...

Ale uratował mnie dzwonek do drzwi. Poprosiłam matkę, żeby otworzyła, bo przecież ja miałam „kompletnie zajęte ręce”, próbując znaleźć w lodówce miejsce na ten wielki dzban. Podczas gdy ona witała gości, skorzystałam z okazji i wlałam w siebie cały ogromny kieliszek wina. Czekało mnie długie popołudnie i gdybym się solidnie nie wzmocniła, padłabym trupem.

Obserwacja uczestnicząca - udzieliłam sobie upomnienia.

Wysączając ostatnie krople, zastanawiałam się, jak mogłabym najlepiej wykorzystać to, co zapowiadało się na koszmarny dzień. Odwaliłam pierwszą z trzech części książki, bez wysiłku, poświęconą pierwszemu trymestrowi ciąży. Cały ten cyrk z prezentami postanowiłam umieścić w ostatniej. A środkowa? Tę zostawiałam sobie na koniec. Środek książki, jak każdemu wiadomo, jest zawsze najbardziej nużący. To początki i zakończenia dostarczają najwięcej zabawy. A więc, w pewnym sensie, byłam tu służbowo. Jasna cholera, gdybym miała już na koncie jakąś publikację, pewnie mogłabym odliczyć prezent Sophie jako koszt uzyskania przychodu.

- Jane, to jest Peg, jedna z nowych przyjaciółek Sophie.

Poznały się w szkole rodzenia. Peg zaofiarowała mi pomoc jako współgospodyni dzisiejszej uroczystości.

Stojąca przede mną kobieta byłaby przerażająca, nawet gdyby nie była w ciąży, ale z brzuchem sterczącym pod ciężową bluzką - z kokardką pod szyją! - który wyglądał, jakby miał lada moment wybuchnąć, przypominała okręt wojenny z własnym, niepowtarzalnej konstrukcji, pociskiem raketowym.

- Na pewno jesteś siostrą - powiedziała Peg, opierając na biodrze ogromny i ślicznie zapakowany prezent i podając mi rękę. - Słyszałam o tobie.

Sądząc po sceptycznym wyrazie jej twarzy, raczej nic dobrego.

- Miło mi - odpowiedziałam.

- Och! - Moja matka przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni. - Powinnam była od razu uwolnić cię od tej wielkiej paczki. Proszę, pozwól, że ci pokażę, gdzie jest stół, który przeznaczyłam na prezenty. Jane, ty też chodź z nami. Zauważyłam, że poszłaś prosto do kuchni, więc nie miałaś jeszcze okazji położyć swojego prezentu dla Sophie.

Kiedy podeszłyśmy do tego stołu - jeszcze więcej różu, więcej żółci, więcej niebieskości - Peg położyła swój prezent i obie kobiety spojrzały na mnie: nie ulegało wątpliwości, że nie mam przy sobie nic większego, i w ogóle niczego poza modną torebką niewiele większą od papierośnicy.

Otworzyłam ją i wyjęłam złożony na pół kawałek papieru. Patrzyły na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

- To jest talon na prezent - wyjaśniłam.

- Dla twojej siostry? - spytały unisono.

- To nie jest byle jaki talon. To talon do jednego z tych super-hiper sklepów dla przyszłych matek. Znacie te miejsca? „Matczyny Zawrót Głowy”, „Pieluszkowy sen”... Zerknęłam na talon, żeby sprawdzić nazwę. - Cha,

cha! - Zaśmiałam się sztucznie. - Nazywa się „Matka i Dziecko”. Jak mogłam zapomnieć coś tak prostego?

- Wiesz, że masz czerwoną plamę na bluzce? - spytała

Peg. - Dziwnie przypomina tanie włoskie wino.

Od tej pory wszystko nieubłaganie zmierzało ku najgorszemu.

Upiłam się na tyle, na ile pozwoliły powtarzane wyprawy do kuchni, kiedy nikogo innego tam nie było. Gwoli ścisłości, dałam upust swoim alkoholicznym zapędom w czasie, gdy moja matka czuła się w obowiązku dopilnować, czy wszyscy mają pełne talerze, a potem usiadła na dziesięć minut, żeby sama zjeść, oraz w czasie, gdy oczy wszystkich zwrócone były na Sophie odpakowującą swoje prezenty, jak gdyby zapas jednorazowych pieluch i nawilżanych chusteczek do pupy był najbardziej fascynującą rzeczą na świecie.

Krótko mówiąc, ponieważ wypiłam jednym haustem po dwa kieliszki wina podczas dwóch pobytów w kuchni, przyjęcie upłynęło mi w na przemian błogim i upiornym zamroczeniu. Poruszające się w zbitej grupie przyjaciółki Sophie jawiły mi się jako wielka amebopodobna ciężowa magma, prezenty przemykały obok mojej świadomości, i pewnie musiały wyglądać trochę głupio, kiedy wrzasnęłam z powodu gigantycznego pluszowego zwierzaka - ludzie mówili, że nazywa się Barney czy jakoś tam - który znalazł się zbyt blisko. Poza tym nic mnie specjalnie nie niepokoiło, dopóki moja matka nie nasyczała na mnie w kuchni, że jestem pijana.

- Nie jestem - czknęłam.

- Owszem jesteś, i jesteś w ciąży.

- Nie jestem - upierałam się.

- Ach tak? To co robi ta czerwona plama na twojej bluzce?

- Mówiłam ci już wcześniej - napełniłam kilka szklanek na wypadek, gdyby znaleźli się jacyś niecieężami goście, którzy mieliby ochotę na wino.

- Wcześniej ta plama była wielkości kropki. Teraz wygląda jak Australia.

- Nie zamierzałam zrobić z niej całego kontynentu. Próbowałam ją tylko sprać.

- To niezbyt ci się udało.

I dalej w tym stylu.

Wkrótce po tym, jak zostało mi wytknięte, że jestem pijaną ciężarną kobietą, wytłumaczyłam swoją niedyspozycję zmęczeniem hormonalnym, pogratulowałam Sophie, że pomogła światu stać się jeszcze bardziej przeludnionym miejscem, i wezwałam taksówkę, bojąc się, że jestem zbyt ubzdrygolona, żeby jechać metrem i ryzykować, że wpakuję się w jakieś kłopoty.

Byłam, oczywiście, w swojej zwykłej doskonałej formie tego dnia, i mogłam była pomyśleć o wytknięciu drogiej mamusi, że wedle rodzinnych przekazów ona przez całe swoje obie ciąży była solidnie wstawiona. Albo mogłam jej wypomnieć, że ona sama nie była wcieleniem matczynych cnót, bo wielokrotnie słyszałam, jak wspominała swoją decyzję o urodzeniu drugiego dziecka tak szybko po pierwszym: „Jane? Ach, tak. Uważaliśmy, że nie byłoby z korzyścią dla Sophie, gdyby pozostała jedynaczką. Wiesz, jak często ludzie sprawiają sobie drugiego kota, żeby pierwszy nie był samotny? No właśnie, dlatego na świat przyszła Jane. Jane była naszym drugim kotem”. Było, nie było, nie skorzystałam z okazji.

Ostatnią rzeczą, jakiej bym kiedykolwiek chciała, myślałam sobie, rozparta na tylnym siedzeniu błyszczącej czarnej taksówki, to stać się podobną do jakiegokolwiek z tych kobiet, z którymi się właśnie rozstałam.

Których tak naprawdę wcale nie zapamiętałam.

Na naszą pierwszą prawdziwą randkę Tolkien zabrał mnie do prywatnego klubu, gdzie odbywał się konkurs zespołów retro i scenę okupowali czterej

kudłaci chłopcy zrobieni na Beatlesów. Nudziarstwo. Który Anglik może czuć potrzebę usłyszenia „Hey Jude” jeszcze ten jeden raz?

Plusem było to, że ponieważ do prywatnego klubu można wejść tylko z osobą posiadającą kartę członkowską, i że nikt, kogo znałam, nie postawiłby tam stopy, szansa natknięcia się na kogoś, kto znał mnie jako Jane - kobietę w piątym miesiącu ciąży - była zerowa. Minusem - że czekało mnie wysłuchanie prawdopodobnie jednej z najgorszych interpretacji „Yesterday”.

Tak, wszyscy wiemy, że to ulubiony światowy przebój wszech czasów, ale jeśli słyszało się tę samą piosenkę z osiem milionów razy, jakoś trudno jest odczuwać ten sam ładunek wrażeń (chyba że ktoś nie przestaje z wiekiem jarać jak smok). Myślę, że to jak z wielokrotnym orgazmem, kiedy jest go o jedną serię za dużo; w pewnej chwili ma się ochotę powiedzieć „Kochanie? Może byśmy teraz wyszli na frytki?”

Wracając do plusów tamtej sytuacji, kiedy kapela wykonała całkiem przyzwoitą wersję „I Want To Hold Your Hand” i Tolkien zapytał nieśmiało, czy może wziąć mnie za rękę, coś we mnie, co zwykle było odrobinę za harde, zaczęło topnieć i nagle rozpląnąłam się w uśmiechu.

Zważywszy, rzecz jasna, na moje wyjątkowe położenie - nie chciałam, żeby on myślał, że jestem w ciąży, i zdecydowanie nie chciałam, żeby ktokolwiek inny podejrzewał, że nie jestem - musiałam być we wszystkim niezwykle ostrożna. Wolałam, na przykład, żeby po mnie nie przyjeżdżał.

Tolkien, jak przystało na dżentelmena, nalegał, że po mnie wpadnie, choć tłumaczyłam mu, że to zupełnie niepotrzebne, bo mogę o własnych siłach dotrzeć w każde miejsce o każdej odpowiadającej mu porze.

- Poza tym - powiedział - nie można myśleć o związku opartym na zaufaniu, jeśli zaczynasz od spotkań

w wyłącznie neutralnych miejscach. Ja muszę zobaczyć, gdzie mieszkasz, i ty musisz zobaczyć, gdzie ja mieszkam. Inaczej skąd mielibyśmy wiedzieć, że to drugie nie prowadzi czegoś w rodzaju podwójnego życia?

- Ach tak? Wybacz, ale nie sądzisz, że to postawienie sprawy na głowie? Jak możemy budować związek oparty na zaufaniu, zaczynając od braku zaufania?

- Myślę, że powinienem ci od razu coś wyznać. Jestem tajniakiem ze Scotland Yardu. Pamiętasz te przyklejane wąsy? Byłem w trakcie pewnego dochodzenia.

Boże święty! Scotland Yard, policja kryminalna! Gdybym miała choć odrobinę rozumu, wycofałabym się natychmiast, nie ryzykując, że zdemaskuje mnie prawdziwy zawodowiec.

Ale nie miałam ani trochę rozumu. Zgodziłam się na następne spotkanie i nawet na to, że po mnie przyjedzie, a to samo w sobie wymagało szczególnych machinacji.

Odkąd przeprowadziłam się do Knightsbridge, moim przekleństwem byli wścibscy sąsiedzi, ludzie z gatunku, jaki przypisywałam dotąd wyłącznie rzeczywistości telewizyjnej. Marcusowie zawsze sprawiali wrażenie, jakby podsłuchiwali mnie i Trevora przez ścianę, choć mieszkali piętro niżej. Wiedzieli oczywiście o naszym rozstaniu i myśleli, że jestem w ciąży, nie miałam więc innego wyjścia niż utrzymywać tę fikcję, zwłaszcza na wypadek, gdyby moja matka albo Sophie wpadły do mnie niespodziewanie i wdały się z nimi w rozmowę. To zaś oznaczało, że musieli mnie oglądać w tych samych luźnych, nijakich ciuchach, w których chodziłam do pracy, żeby podtrzymywać iluzję.

Oznaczało to również, że kiedy przyjechał po mnie Tolkien, w lipcu, swoją efektowną opiętą kieckę (wybrałam styl seksowny, ale nie wyzywający, i jestem pewna, że z dobrym skutkiem) musiałam ukryć pod długim workowatym płaszczem z jedwabnej tkaniny zwanej szantungiem; znalazłam go w sklepie z używaną

odzieżą i wiem, że takie płaszcze nosiły w latach pięćdziesiątych żony polityków, które nie chciały wzbudzać zainteresowania swoim brzemennym stanem.

- Nie będzie ci w tym za gorąco? - spytał troskliwie Tolkien, kiedy zamknęłam za sobą drzwi.

- Nie, skąd - odpowiedziałam, mijając otwarte drzwi Marcusów.

Uraczyłam pana i panią Marcus przyjacielskim uśmiechem, wypowiadając bezgłośnie: „zwykły przyjaciel”, a myśląc: „Wy głupie stare osły! Gdyby nie wy, nie musiałabym paradować w tym ochydztwie”.

- Naprawdę, Tolkien - zapewniłam go - na pewno się nie zgrzeję. Chodzi o to, że latem w niektórych miejscach tak przesadzają z klimatyzacją, że muszę mieć na sobie coś ciepłego, dopóki nie przystosuję się do temperatury otoczenia. Jak tylko dotrzemy tam, dokąd idziemy, wystarczy chwilka i będę mogła się tego pozbyć.

Oczywiście również z powodu Marcusów, kilka godzin później tego samego wieczoru, zdecydowawszy przedtem, że chętnie posłucham jeszcze raz Beatlesów, jeśli dostarczą mi pretekstu do potrzymania Tolkiena za rękę czy cokolwiek innego, kiedy zapytał mnie, czy chcę wracać do domu, byłam zmuszona odpowiedzieć radośnie: „Och, a nie możemy pojechać do ciebie?”

Tolkien, po raz pierwszy odkąd go poznałam, wyglądał na zmieszanego.

- Ale twoje mieszkanie, Jane, jest takie przytulne, a moje, no wiesz, jak to zwykłe kawalerskie mieszkanie...

- No, no... - Pogroziłam mu palcem. - Czy to nie ty powiedziałeś, że pokażesz mi swoje, jeśli ja ci pokażę moje?

Dotrzymał więc słowa.

Okazało się, że „kawalerskie” znaczy nijakie, bez charakteru. Jasne, że były tam stoły i krzesła i różne inne meble, jak również nieodzowna, po męsku perfekcyjna aparatura nagłaśniająca, z niepoliczalną ko-

lekcją kaset i płyt CD. Nie było natomiast nic charakterystycznego na ścianach i, poza świątynią muzyki spod znaku testosteronu, wszystko sprawiało wrażenie tymczasowości, jakby mogło pójść z dymem w każdej chwili, a właściciel nawet nie mrugnąłby okiem.

- No wiesz - powiedziała, nalewając mi kieliszek wina, gdy możliwie najuprzejmiej skomentowałam nijakość wnętrza - człowiek nigdy nie wie, kiedy będzie musiał zwinąć manatki.

- Rozumiem. - To wyjaśniało wszystko. - Twoja praca zmusza cię do częstych przeprowadzek.

- Niezupełnie. Dopóki się skutecznie maskuję, nie mam potrzeby przenosić się z jednego bezpiecznego domu do innego bezpiecznego domu.

- A tu wprowadziłeś się niedawno?

- Nie. Jakieś dwa lata temu.

- Aha.

- Widzisz, czasami człowiek przechodzi w swoim życiu okres, kiedy wie, że jest w stanie przejściowym, jak gaśienica w drodze do czegoś lepszego. - Spojrzał na mnie znacząco. - Mam wrażenie, że kilka ostatnich lat mojego życia upłynęło w strefie oczekiwania.

Ostatecznie nie miało żadnego znaczenia, że wszystkie jego meble, nawet te w sypialni, były niczym więcej niż sprzętami użytkowymi. Ostatecznie liczyło się tylko to, że Tolkien doprowadził mnie do orgazmu, który sprawił, że zdrętwiały mi palce stóp, oczy znieruchomiały z niedowierzaniem i wiarą zarazem, i że mogłam tam być i widzieć, że to samo dzieje się z nim.

Wiedziałam, że nie będzie łatwo utrzymać sytuacji, w której moje dwa byty, ciężarnej i nieciężarnej, toczyłyby się pomyślnie i równolegle, ale byłam jeszcze bardziej zdecydowana spróbować.

- Hej, twoje dziecko jest trochę mało ruchliwe, co? Jesteś pewna, że wszystko z nim w porządku?

- Co ty, do diabła, wyrabiasz?

Stan z księgowości podkradł się do mnie bezszelestnie, kiedy przeglądałam kwartalne wyniki sprzedaży ostatniego dzieła Colina Smythe'a. Objął mnie od tyłu, bezczelnie gładząc po brzuchu.

- Próbuję wyczuć wczesne ruchy płodu.

Co my, ciężarne kobiety, musimy znosić!

- Moje dziecko jest spokojne i subtelne.

- Ale myślałem, że u wszystkich chudych lasek daje się wyczuć ruchy dziecka bardzo wcześnie.

- A skąd ty możesz wiedzieć takie rzeczy?

- Moja siostra jest chuda i jej dziecko zaczęło się ruszać pod koniec czwartego miesiąca, jak w zegarku.

- Aż trudno uwierzyć, że członkom twojej rodziny pozwala się płodzić dzieci. Powinien być na to jakiś paragraf. - Kurczę! Kiedy czytałam o pierwszych ruchach płodu, wiedziałam, że to będzie jeden z najtwardszych orzechów do zgryzienia. Nie wyobrażałam sobie tylko, że może mnie to dotknąć, dosłownie, w tak wstrętny sposób.

- I trzymaj te łapy przy sobie! - powiedziałam, odpychając jego obleśne ręce.

Stan z księgowości potwornie mnie zdenerwował, ale też dał mi do myślenia. Z braku bardziej typowych dowodów na istnienie płodu, jak choćby kopanie, które mogliby poczuć inni, dobrze by było, gdybym jednak miała do zaoferowania coś namacalnego. Mając nadzieję, że wpadnę na jakiś genialny pomysł, zadzwoniłam z samego rana do Dodo i powiedziałam, że nie przyjdę do pracy z powodu krwawienia z nosa, którego po prostu nie jestem w stanie zatamować, dla zobrazowania dodając całkiem zmarnowaną białą jedwabną bluzkę. Potem pognąłam do przychodni prenatalnej, którą kiedyś przypadkiem zauważyłam. Pomyślałam, że to równie dobre miejsce jak każde inne na poszukanie pomysłów.

Prawdę mówiąc, nie byłam nawet pewna, co spodzie-

wam się lub mam nadzieję znaleźć. Wiedziałam jedynie, że pewnego dnia Stan z księgowości może zażądać dowodu na istnienie mojego dziecka, a przychodnia prenatalna zdawała się właściwym miejscem na wybadanie, czego - poza wielkimi tłustymi brzuchami - używają inne kobiety jako dowodu na to, że rośnie w nich autentyczne życie.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytała pielęgniarka z recepcji, gdy weszłam do zatłoczonej poczekalni.

- Och... nie. - Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu wolnego krzesła.

- Nie przyszła pani na wizytę u lekarza?

- Boże, nie.

O! Wypatrzyłam jedno miejsce!

- Więc przyszła pani w sprawie...? - Nie doczekawszy się odpowiedzi na zawieszony w próżni pytanie, musiała uznać, że do niej należy podtrzymanie rozmowy. - Może po kogoś innego?

- Właśnie. - Dźgnęłam wskazującym palcem powietrze.

Zaczęłam grzebać w kolorowych magazynach wyłożonych na tandetnym drewnianym stoliku. Boże! Dlaczego Reese Witherspoon jest w każdym tytule z tego miesiąca? Przypomniałam sobie, że miałam tu zbierać informacje, a nie czytać za darmo czasopisma.

- Dzień dobry - zwróciłam się promiennie do bardzo ciężarnej pani, która siedziała obok mnie. - Długo tu już pani przychodzi, prawda?

Próbowała na mnie nie patrzeć, jak gdybym była jakimś skończonym dziwadłem.

- Eee, tak, przychodzę tu tak długo, jak długo jestem w ciąży.

- Aha. Rozumiem. - Niezbyt zachęcające, prawda? Czułam, że nad tą będnę musiała ciężko popracować. - Nie ma pani wrażeń - będąc na tak zaawansowanym etapie - że ludzie ciągle od pani oczekują jakiegoś żelaznego

dowodu na to, że naprawdę nosi pani tam dziecko i że nie jest to żadna mistyfikacja?

Nie zadawszy sobie trudu, żeby mi odpowiedzieć, podźwignęła się z krzesła i podreptała do stanowiska pielęgniarek, żądając, żeby natychmiast przyjął ją lekarz.

Trudno, pomyślałam, widząc, jak zdumiona pielęgniarka pozwala jej przejść do gabinetu, mam tu do przepytania jeszcze mnóstwo innych ciężarnych.

- A pani? Kiedy inni ludzie nie czują, jak pani dziecko kopie, czy zarzucają pani, że ta ciąża to jakiś zmyślny numer?

Jeszcze jedna niezdolna odpowiedź na proste pytanie. Zamiast oddać się przyjemności rozmowy ze mną, ona też podeszła do pielęgniarki, mówiąc, że gotowa jest teraz nasikać do pojemniczka, a jak tylko to zrobi, chętnie odmrozi sobie tyłek w jakimkolwiek zimnym gabinecie, który jest wolny.

Kiedy i ona weszła do środka, pielęgniarka zwróciła się do mnie z podejrzliwym wyrazem twarzy.

- Przepraszam, czy może pani powtórzyć, po kogo pani przyjechała?

- Eee... Julie?

Pokręciła głową.

- Sharon?

Znowu pudło.

- Mariannę? Siobhan? Lily?

Zaczęła podnosić się z krzesła, cała sztywna i władcza.

- A kogo pani tu ma na liście pacjentek? - zapytałam w lekkiej desperacji. - Jestem pewna, że to musi być jedna z nich.

- Będzie pani musiała wyjść - powiedziała, biorąc rennie siłą pod rękę i prowadząc do drzwi. - Nie ma pani tu żadnej sprawy do załatwienia i niepokoi pani pacjentki.

- Ale to jest wolny kraj.

- Ściśle biorąc, jest to monarchia konstytucyjna, a to niezupełnie to samo. - I zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Usiadłam na krawężniku, próbując nie wsadzić nóg pod któryś z przejeżdżających samochodów. No więc nic nie wskórałam. Straciłam ranek i wciąż nie wiedziałam, jaki dowód muszę przedstawić podejrzliwym umysłom z gatunku Stana z księgowości.

Zaczęłam myśleć o znalezieniu jakiegoś greckiego baru, kiedy z kliniki wyszła ta bardzo ciężarna, pierwsza z dwóch, które zagadnęłam. Trzymała w ręku jakieś papiery i patrzyła na nie z wyraźną ekscytacją.

Skoczywszy na równe nogi, otrzepałam szorty i dogoniłam ją.

- Przepraszam bardzo...

- O Boże, to znowu pani. - Przycisnęła swoje papiery do piersi.

- Proszę nie uciekać - powiedziałam błagalnie. - Wyglądała pani na taką szczęśliwą, kiedy wyszła pani stamtąd. - Wskazałam drzwi przychodni. - Nie chciałybym zrobić nic, co mogłoby to zmienić. I zapewniam panią, że jestem absolutnie nieszkodliwa. Chciałam tylko kogoś zapytać, kogoś, kto na pewno zna odpowiedź na kilka niewinnych pytań dotyczących ciąży.

Wciąż miała sceptyczną minę.

- Proszę spojrzeć, tu na rogu stoi gliniarz. Jeśli będę panią za bardzo niepokoić, zawsze może pani kazać mnie aresztować.

- Co chce pani wiedzieć? - Skrzyżowała ręce na piersiach.

- No więc, przede wszystkim, co pani przedstawia ludziom jako dowód, że jest pani naprawdę w ciąży? To znaczy, mnie wystarczy pani słowo, ale jeśli jacyś ludzie nie poczuli, jak pani dziecko kopie, chociaż mówiła im pani, że to robi, czy ma pani coś, co można im pokazać - co spowoduje, że się odczepią?

Kiedy zadałam pytanie, bałam się, że może zawołać policjanta, ale, o dziwo, jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Przecież dzisiaj dostałam to. - Pokazała mi nieostre czarno-białe zdjęcia, na których były jakieś niewyraźne skłębione kształty.

- Co to jest?

- Jak to co? To jest moje dziecko. Robili mi dzisiaj USG. To są zdjęcia sonograficzne. Tu jest główka mojego dziecka - pokazała palcem - a tu jego pośladki.

Nie powiedziałam tego na głos, bo nie chciałam być niegrzeczna, ale główka i pośladki jej dziecka wyglądały identycznie. Ona musiała wyczytać coś z mojej twarzy, bo wzruszyła ramionami, zupełnie nieurazona.

- W każdym razie tak mi powiedział fachowiec.

- Trzeba być w dość zaawansowanej ciąży, żeby mieć takie zdjęcie, prawda?

- Niekoniecznie. Robią je od piątego tygodnia.

- Wszystko jest w porządku, mam nadzieję.

- Och, tak. - Wyglądała na lekko zakłopotaną. - To głupie, naprawdę. Ale kiedy robili mi pierwszą ultrasonografię, organy płciowe były jeszcze nie do rozpoznania, a ja, no wie pani, tak bardzo chciałam urządzić pokój dziecka, zanim przyjdzie na świat. To chłopiec, swoją drogą, świadczy o tym ta rzecz, tutaj. W każdym razie dowiedziałam się tego dzisiaj, z drugiego USG, dopiero w siódmym miesiącu...

Myślałam, że ona już szykuje się do porodu! Dobrze, że nic takiego nie palnęłam.

- To naprawdę wspaniałe zdjęcia - skłamałam. - Ale przypuśćmy, że kobieta jest dopiero w czwartym miesiącu ciąży. Czy jej sonogram wyglądałby podobnie?

- Po pierwsze, na pewno nie ma dwóch identycznych. Poza tym, nie jestem ekspertem, ale myślę, że ktoś, kto miał doświadczenie w tych sprawach, mógłby zauważyć różnicę.

Jasna cholera! Stan z księgowości miał chyba krewnych, którzy mnożyli się jak króliki. Gdyby to on interpretował sonogram zamiast jakiegoś idioty, którego

zatrudniali w tej przychodni, prawdopodobnie biedaczka mogłaby udekorować pokój dziecienny małymi stateczkami i całym mnóstwem niebieskości już kilka miesięcy temu. Innymi słowy, Stan z księgowości zorientowałby się pewnie, że te zdjęcia sonograficzne pokazują ciążę daleko bardziej zaawansowaną niż powinna być teraz moja.

Dosłownie opadły mi ręce.

- Przypuszczam, że to nie ma znaczenia, jaką sumę bym pani zaproponowała za sprzedanie tych zdjęć. I tak by mi się do niczego nie przydały.

- Chciała mi pani zaproponować pieniądze za zdjęcia mojego dziecka?

Kiwnęłam smętnie głową.

- Jest pani chorą, bardzo chorą kobietą - syknęła, wyrwijąc mi z ręki plik kartek, i pognała przed siebie tak szybko, jak pozwalały jej na to pobrużdżone żyłakami nogi.

Świetnie! I co ja miałam teraz robić?

Przez resztę dnia nagabywałam - nie ma na to innego słowa - kobiety, które wychodziły z przychodni. Na cel brałam tylko te, których ciążę wyglądały na podobnie zaawansowane jak powinna być moja.

Niestety, bez względu na to, jaką proponowałam cenę - a gotowa byłam zapłacić dużo - żadna z nich nie była skłonna rozstać się z tymi swoimi bezcennymi zdjęciami. Boże! Co one miały pod sufitem? Można by pomyśleć, że próbowałam kupić ich dzieci lub Bóg wie co, a nie kilka głupich zdjęć. Dzieci mogły sobie zatrzymać; ze zdjęciami jest dużo mniej zamieszania.

Tak-tak-tak, wiem, jak to brzmi. I wiercie mi, nie jestem aż tak niewrażliwa, żeby nie być w stanie pojąć, dlaczego te kobiety chciały zatrzymać sobie pierwszy ślad rosnącego w nich życia. Ale akurat wtedy nie chciałam o tym myśleć. Przecież one spodziewały się prawdziwych dzieci, które miały zastąpić im zdjęcia, podczas gdy ja naprawdę potrzebowałam ich zdjęć.

A jednak pod koniec dnia czułam się jakoś marnie. Wiedziałam, że i tak miałam dużo szczęścia, że żadna z nich nie nasłała na mnie policji, zwłaszcza że miałam to samo niepokojące uczucie jak w czasach studenckich, kiedy kupowałam nielegalny towar.

Wyobraziłam sobie, jak kradnę te zdjęcia; mogłabym je na przykład wyrwać z rąk jakiejś ciężarnej, a potem dać nogę, mając nadzieję, że żaden gliniarz nie zdąży mnie złapać, zanim ja złapię taksówkę. Ale wiedziałam, że to nierealne.

Więc stałam tam jak sierota, w środku Londynu, zgrzana, zmęczona, i nie udało mi się nawet pójść na grecki lunch. Dalej nie wiedziałam, jak zdobyć namacalny dowód swojej ciąży, miałam natomiast na sumieniu całą armię ciężarnych, które doprowadziłam do wściekłości. Życie pisarza na etapie gromadzenia materiałów wydawało się całkiem do dupy.

Pod koniec miesiąca Dodo zaprosiła mnie na wspólny długi weekend za miastem. Ciekawostką było, w jaki sposób udało jej się wypożyczyć na tę okazję posiadłość, która przypadkiem nazywała się „Kacze Zacisze” i była własnością Colina Smythe'a. Otóż użyczył on jej swojego królestwa w dowód wdzięczności za pomysłowe uratowanie amerykańskiej wersji „Surfuj z wiatrem.” Jakimś cudem Dodo namówiła innego autora bestsellerów do napisania zgryźliwego listu do „New York Timesa” w odpowiedzi na ich zgryźliwe recenzje książki Colina, i „Times”, w istic demokratycznym stylu, przykładowie go wydrukował.

Na czas naszego pobytu w domu Colina, on wybierał się na południe Francji, ale przed udaniem się na lotnisko był tak uprzejmy, żeby pokazać nam co znakomitsze atrakcje swojej posiadłości.

Jako posiadłość wiejska, spełniała wszelkie oczekiwania, jakie można mieć wobec tego rodzaju miejsca.

Elewacja z najrozmaitszych gatunków kamienia i ceglastoczerwona dachówka stwarzały wrażenie, że ten dom powinien raczej stać na jakimś wzgórzu na obrzeżach Florencji niż pięćdziesiąt kilometrów od Londynu. Wewnątrz korytarze wyłożone były orientalnymi chodnikami, w sali głównej kominek wznosił się do połowy wysokości ogromnej ściany, i była nawet autentyczna zbroja, wyjątkowo mała, o której, jak wyznał Colin, chodziły słuchy, jakoby należała do Rizzia, małego Włocha, który przestawał z Marią królową Szkotów, i który to związek przypłacił przedwczesną śmiercią z rąk ludzi jej zazdrosnego męża.

Oczywiście kiedy ja, zafascynowana od zawsze losami Marii, wyraziłam nadmierne zaciekawienie tym szczegółem, Colin natychmiast przyznał, że równie dobrze mogła należeć do pewnego karzełkowatego kuzyna dalekiego kuzyna Henryka VIII. Po czym dodał pospiesznie, że on sam nabył tę posiadłość za bezcen od pewnego członka parlamentu, który musiał zrezygnować z mandatu, a potem szybko sprzedał swoją rezydencję, pogrążony w niesławie i bałaganie finansowym po tym, jak wyszło na jaw, że nie tylko został przyłapany na pederastii i /lub zdradzie małżeńskiej, ale dopełnił swych przestępstw przeciwko Koronie aktami sprzeniewierzenia funduszy publicznych, oszustwami przy rozliczaniu wydatków, przyjmowaniu pieniędzy na kampanię od znanych kryminalistów i po prostu zwykłą nieumiejętnością oceny sytuacji na każdym polu.

- Boli mnie świadomość, że zbudowałem swoją fortunę na czyimś niepowodzeniu - Colin wzruszył ramionami - ale bywają okoliczności, na które nic nie można poradzić, a swoją drogą, on potrzebował pilnie gotówki, żeby uciec w porę z kraju i uniknąć koszmarnego dochodzenia.

Poprowadził nas na tarasowe tylne patio, gdzie ku mojej radości, był basen o wymiarach olimpijskich z wodą

w kolorze szafiru. Oczywiście musiałam zapomnieć o pływaniu w obecności Dodo, żeby nie zobaczyła mojego płaskiego brzucha, ale miałam nadzieję, że uda mi się wymknąć ukradkiem, kiedy ona będzie brała prysznic albo czytała rękopisy, które w swojej obsesyjnej gorliwości przywlokła ze sobą, albo nawet kiedy położy się wcześniej spać. Och, gdybym zdołała wykraść dla siebie moment luksusu, jak cudnie byłoby się zanurzyć w tej krystalicznej wodzie otoczonej chłodną kafelkową posadzką, którą z kolei otaczały bajecznie kolorowe kwitnące krzewy. Jak cudnie by było, gdyby nie nadprogramowa obecność roznegliżowanego do bikini duetu wylegującego się na służących do tego celu leżakach nad brzegiem basenu.

- Och, przepraszam, Dodo, Jane, zapomniałem wspomnieć, że zaprosiłem też Dariusza Lyncha i jego żonę Pamelę - powiedział Colin.

Roznegliżowany duet miał po trzydziestce z lekkim haczykiem, i nawet z drugiej strony basenu, kiedy pomachali nam swoimi kieliszkami do koktajlu, widać było, że są bardzo opaleni, nieprawdopodobnie zblazowani - dowodem złote łańcuchy mieniające się na obojgu - i nieprawdopodobnie japiszonowaci.

- Przepraszam - dodał półgłosem Colin - ale sytuacja był przymusowa. Darius jest moim doradcą inwestycyjnym i gdybym mu w jakiś sposób nie podziękował za tyle pieniędzy, ile uratował mi w zeszłym roku, wyglądałoby to po prostu na nietakt. Rozumiem jednak, że nie nastawiałyście się na spędzenie weekendu na wsi z całkiem obcymi ludźmi.

Nie, ja na pewno nie, ale ponieważ Colin szykował się do wyjazdu na lotnisko, byłoby nietaktem z naszej strony składać zażalenie w takiej chwili. Poza tym, co tak naprawdę mogłyśmy zrobić? Wracać do miasta w dziki upał? Wykopać stąd pozłacane bliźnięta?

Postanowiłyśmy wybrać mniejsze zło.

Dodo podeszła do brązowoskórej pary z wyciągniętą do powitania ręką, zdecydowana zrobić pierwszy krok.

- Cześć, jestem Lana Lane, redaktorka Colina, ale ludzie uparli się, żeby nazywać mnie Dodo. A to jest moja asystentka, Jane, która jest w czwartym miesiącu ciąży.

I to wystarczyło, żeby zepsuć cały weekend.

Okazało się, że mając wszystko inne, co można kupić za pieniądze, Pamela Lynch nie była dotąd w stanie kupić sobie ciąży, a tego właśnie najbardziej, do granic rozpaczki, pragnęła. Nawet zabiegi, które kobietom w Stanach przywracały płodność, na nic się nie zdały w przypadku Pam, jak nalegała, żeby się do niej zwracać, w zamian prosząc, żeby mogła mi mówić J.T., do czego mimo usilnych prób nie byłam jej w stanie zniechęcić.

Wyszło więc na to, że cały weekend upłynął mi na zabawie w Mary, która miała jagniątko *. Wybrałam się na poranny spacer do ogrodu - już tam była, racząc mnie szczegółami swoich seksualnych przygód z udziałem termometru. Gdy w środku nocy zakradłam się do gigantycznej kuchni, żeby sprawdzić, czy zostało trochę puddingu z obiadu, omal nie zrobiłam w majtki ze strachu, kiedy Pam podeszła do mnie od tyłu i opowiedziała jakąś sprośną historyjkę, po której nie mogłam zasnąć.

Oczywiście chodziło w tym wszystkim o to, że chciała się dowiedzieć, w którym dokładnie punkcie, mnie, J.T., udało się to, co nie udawało się jej. Było dla niej rzeczą kompletnie niezrozumiałą, że jakaś tam J.T. - „nawet nie redaktorka, tylko młodsza redaktorka”, jak skarżyła się swojemu mężowi przy kolejnym koktajlu, co, chcąc nie chcąc, podsłuchiłam - mogła być w czymkolwiek lepsza od niej, zwłaszcza że ja nie byłam nawet mężatką.

Doprowadziła mnie do tego, że naprawdę miałam nadzieję, że świat nigdy się nie dowie, jaką byłaby matką.

* Z dziecięcego wierszyka: „Jagniątko miała Mary o runie białym jak śnieg. Gdziekolwiek poszła Mary, to malec za nią biegł” (przyp. tłum.)-

A Dodo, czy okazała mi odrobinę współczucia?
Skądże.

- Och, Jane - powiedziała, nie podnosząc nawet głowy znad swoich papierów - nie sądzisz, że to należy do twoich obowiązków? Mam na myśli to, że ciężarne kobiety powinny dzielić się wiedzą, również z tymi nieszczęściami, które bardzo chciałyby być na ich miejscu.

- Okej! - Wrzasnęłam w końcu tego samego wieczoru. Znow nągabnięta w kuchni, miałam nadzieję, że kontrolowanym wybuchem złości stworzę sobie trochę przestrzeni do oddychania. - Powiem ci, jak to zrobiłam: uprawiałam seks, rozumiesz? Miałam stosunek, jeden raz, po bożemu, żadnych fikuśnych gadżetów ani ceregiegli, i zaszłam w ciążę!

Ale nawet tego jej było mało. Pam chciała wiedzieć różne rzeczy, na przykład, jak długo mężczyzna został w środku, co przedtem jadłam i ile czasu przed stosunkiem.

Boże! Ta kobieta pytała, pytała i pytała, i ciągle nie miała dosyć. Można by pomyśleć, że zbierała materiały do własnej książki!

Przypuszczam jednak, że nawet mnie byłoby jej żal, gdybym nie słyszała wcześniejszej rozmowy między nią a Dodo. Dodo, która raczej nie miała współczucia dla mnie, wprost roztkliwiała się nad Pam. Kiedy przykryła jej opaloną i upierścienioną rękę swoją piękną dłońią, kojącym głosem ni to zapytała, ni zasugerowała:

- Czy ty i Darius rozważyliście możliwość adopcji? Na pewno jest do wzięcia mnóstwo cudownych dzieci, które potrzebują...

- Boże, nie! - wykrzyknęła Pam, cofając gwałtownie rękę. - Naprawdę myślisz, że dałabym się zrobić w chowanie czyjegoś wyjącego bachora? Jeśli dziecko nie jest z twojego własnego brzucha, jeśli nie jest krwią z twojej krwi, po jakiego diabła się z nim męczyć?

Oczywiście najgorsze w całym tym cyrku z Pam było to, że nie miałam nawet szansy skorzystać z jedynej rzeczy, która naprawdę mnie pociągała w posiadłości Colina: basenu.

W końcu byłam w czwartym miesiącu ciąży i gdybym wystąpiła w kostiumie, wszystko jedno jakim, ludzie natychmiast by zauważyli, że jestem dalej chuda jak szczapa. Spędziłam więc weekend nad basenem kompletnie ubrana: workowate spodnie, ogromna męska koszula w artystycznym stylu, okulary przeciwsłoneczne, kapelusz. Istna Katharine Hepburn, tylko że nie była to wymuskana Katharine z „Opowieści filadelfiskiej”, lecz raczej Kate w stroju pszczelarki z „Nad złotym stawem”.

- Nie ugotujesz się w tym? - spytała Dodo, stając nad basenem w skąpym bikini, tak obcisłym, że mogłabym policzyć małe gruzelki wokół jej brodawek, gdybym nie była zbyt zażenowana, żeby się dalej gapić.

- Jasne, że nie. - Dałam z siebie wszystko, żeby zabrzmiało to przekonująco. Nie pamiętałam ostatniego tak upalnego lipcowego dnia, ale byłam pewna, że ten zapamiętam do końca życia. Gdybym nie obiecała Alice, że napiszę tę cholerną książkę...

- Nie masz zamiaru włożyć kostiumu i popływać?

- A skąd! Wiesz, jakie to szkodliwe dla dziecka?!

- Zwariowałaś? Ciężarne kobiety mogą pływać do woli. To jest najlepsza nienadwerężająca gimnastyka...

- Urwała, szukając wyższego autorytetu, do którego mogłaby się odwołać. - Spójrz tylko na te wszystkie kobiety od Jane Fondy. Jestem przekonana, że...

- Wiesz co, może zostawmy w spokoju Jane Fondę...

- O co ci chodzi?

- O nic. - Westchnęłam, oglądając swoje paznokcie.

- Po prostu jej książki wychodziły na początku lat osiemdziesiątych. Na miłość boską, Dodo, przecież pracujesz w tym biznesie - nie możesz o tym nie wiedzieć.

- Ale co to ma do rzeczy? Nie widzę żadnego...

- Nie, oczywiście, że nie widzisz, moja droga... - Mogłam sobie tu pozwolić na protekcyjny ton. - Ale to dlatego, że nigdy nie byłaś w ciąży.

- I co z tego?

- To z tego, że jak wiadomo każdej ciężarnej kobiecie, wiedza na ten temat bez przerwy się zmienia, i to szybciej niż Internet. Teraz mówią, że palenie może być szkodliwe, a za kilka lat? Jakiś lekarz w Singapurze udowodni, że przyczyną niskiej wagi urodzeniowej jest jedzenie marchwi. To tylko sprawa czasu. Tak samo jest z pływaniem. Kiedyś ludzie myśleli, że pływanie jest idealną rzeczą dla kobiet w ciąży. Ale to było w latach osiemdziesiątych, kiedy zaczynało się słuchać U2. Od tamtych czasów minęło dwadzieścia lat i teraz każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o ciąży, wie, że baseny są terenem zakaznym dla przyszłych matek.

Nie powiedziałam niczego w rodzaju: „Aż dziw, że tego nie wiesz”, a Dodo, żeby oddać jej sprawiedliwość, nie powiedziała: „Wiesz, Jane, myślę, że ci się całkiem w głowie pomieszało”. Z mojego punktu widzenia byłbyśmy kwita.

Oczywiście, nic nie trwa zbyt długo, przynajmniej nie w układach między ludźmi. Kiedy późnym popołudniem w niedzielę załadowałyśmy bagażnik samochodu, zbierając się do powrotu do Londynu, Dodo spojrzała na mnie krytycznie znad swoich ciemnych okularów.

- Zamierzasz wpaść w najbliższym czasie do jakiegoś sklepu z ciuchami dla przyszłych matek? Obawiam się, że styl Hepburn zupełnie do ciebie nie pasuje, poza tym wątpię, żeby to dobrze wpływało na samopoczucie naszych autorów. Komuś mogłoby się nasunąć luźne skojarzenie z „Lwem w zimie” i kto wie, co mogłoby się wtedy wydarzyć.

Płód mierzył około dziesięciu centymetrów, odżywiał się za pośrednictwem łożyska. Ćwiczył odruchy związane

z ważnymi funkcjami życiowymi, takimi jak ssanie i oddychanie. Jego ciało rosło teraz w szybszym tempie niż główka, zaczynał więc wyglądać bardziej proporcjonalnie. Miał zawiązki zębów, palce stóp i rąk były dobrze ukształtowane. Na sonogramie wyglądałby jak mały człowiek, ale nadal nie byłby w stanie przeżyć poza moim organizmem.

piąty miesiąc

Cóż, Dodo, jakkolwiek by była zgryźliwa, miała swoją rację. Nadeszła pora, żebym zaczęła szukać ciężowych ubrań. Bóg jeden wie, czym miałabym je wypchać. Dotąd byłam tak skoncentrowana na tym, żeby udowodnić każdemu, na kim chciałam zrobić wrażenie - czytaj: każdemu - że jak nikt inny na świecie potrafię nie dopuścić do tego, żeby ciąża zniszczyła moją doskonałą figurę, że faktycznie zapomniałam, iż zawsze przychodzi taki moment, kiedy trzeba zacząć robić zamiast gadać. W końcu nie mogłam przechodzić całych dziewięciu miesięcy ciąży, nie przybierając ani jednego widocznego grama.

Żeby odłożyć problem wypełnienia czymś - czym? - ciężowych ubrań, postanowiłam zacząć od końca i najpierw wybrać się na zakupy. Do Harrod'sa. Pomyślałam sobie, że skoro jestem dość przygnębiona swoją sytuacją, sprawdzenie, czy Vera Wang projektuje rozmiary ciężowe sukieneczek w kropki z kołnierzykami a la Piotruś Pan - chociaż nigdy nie mogłabym sobie na nie pozwolić - poprawiłoby mi trochę nastrój.

W dzieciństwie i wczesnej młodości Harrod's nigdy nie był częścią mojej egzystencji, najwyżej nazwą na torbach z zakupami, które nosili inni, i miejscem, gdzie zdarzało mi się kierować pytających o drogę turystów.

To moja matka była nastawiona anty-Harrod'sowo, bo pamiętam jak przez mgłę, że ojciec, na rauszu, zabrał mnie tam kiedyś w sezonie przedgwiazdkowych

zakupów poprzedzającym jego wczesny zgon. Pamiętam też obłok alkoholu spowijający jego, a więc i mnie, ostrożnie dyskretne, a jednak zdumione spojrzenia młodych sprzedawczyń, i fantastyczną kolejkę elektryczną, na którą, kiedy wróciliśmy do domu, wyrzekła moja matka, choć konduktor wyglądał jak Will Szekspir. Kiedy odgwizdywał odjazd, rozległa się melodia przyśpiewki Błazna z „Króla Leara”. Jeśli chodzi o moją matkę, mówiła o Harrod'sie: „Gdybym potrzebowała domu towarowego, w którym mogłabym kupić srebrny atłasowy parasol z lamówką wyszywaną cekinami za dwieście funtów, poszłabym tam, ale skoro nie potrzebuję...”

Oczywiście miała swoją rację. Ale, jak nauczyłam się od Dodo pierwszego dnia mojej pracy w wydawnictwie Churchill & Stewart, kiedy zabrała mnie w porze lunchu do Harrod'sa, nikt nie musi kupować za dwieście funtów srebrnego atłasowego parasola z cekinami, żeby mieć przyjemność cieszenia nim oka.

Od tamtej pory byłam zagorzałą Harrod's-fanką, ale zawsze przestrzegałam czegoś, co odbierałam jako niepisana zasadę dotyczącą stroju, w którym można się tam pokazać. Sprowadza się ona do niezaprzeczalnego faktu, że:

Istnieją dwa odmienne typy bywalczyń Harrod'sa, rozpoznawalne po tym, w co ubierają się na zakupy.

Typ numer jeden to nowoczesna zamożna kobieta, która nie musi przywiązywać wagi do tego, jak wygląda, kiedy wychodzi po to, żeby wydać fortunę na drobiazgi, ponieważ litery wytłoczone na jej platynowej karcie kredytowej robią podobne wrażenie jak „Jej Królewska Wysokość Księżna Walii”, albo coś w tym rodzaju. Jeśli zamierza nabyć suknię balową, spokojnie może mieć na sobie dżinsy, sportowe buty i granatową bluzę, pod warunkiem, że będą to odpowiednie dżinsy, buty i bluza. Typ numer jeden to również etykieta zbiorcza tych wszystkich, które myślą, że Harrod's jest Disneylandem z ubraniami, niekoniecznie noszących nieodpowiednie

dżinsy, buty i bluzy, lecz raczej cokolwiek, co ich powalające McDonald'sem ręce złapią na chybił trafił za progiem hotelu.

Typ numer dwa obejmował właściwie wszystkie inne klientki. Typy numer dwa stroją się na zakupy, często mając w szafach całe kreacje, których nie używają na żadne inne okazje. Typy te są błękitnowłosymi damami, dla których Harrod's zawsze będzie Anglią ich ojców; są młodymi dziewczynami, które życzyłyby sobie mieć karty kredytowe z „JKW Księżna Walii”. Są cudzoziemkami, które mają dość wycucia, żeby wiedzieć, że wchodzi do najbardziej ekskluzywnego domu towarowego na świecie; są damami, które dobierają do kostiumu odpowiednie torebki i pantofle, nierzadko różowe, pantofle zawsze na obcasach. Znane są z noszenia kapeluszy, gdy w Royal Ascot odbywa się mityng jeździecki z udziałem rodziny królewskiej. W skrócie, typy numer dwa wyglądają jak armia kobiet ubranych jak nieboszczka JKW Księżna Walii, pomijając fakt, że nikt im nie powiedział, że jeśli jest się prawdziwą księżną, na zakupach nosi się dżinsy.

Mimo że znałam oba te typy - można by powiedzieć, że odegrałam rolę antropologa, który jako pierwszy wyodrębnił je w środowisku naturalnym - wciąż byłam zdeklarowanym typem numer dwa, choć miałam pełną świadomość ryzyka związanego z zaklasyfikowaniem się na własne życzenie do tej grupy.

Tak więc w dniu, o którym mowa, miałam na sobie różowy kostiumik składający się ze spódnicy mini, ale nie nazbyt mini, i krótkiego żakietu z trzema obciążonymi materiałem guzikami. Do tego potwornie wysokie i niewygodne szpilki i choć już dawno było po Royal Ascot, głowę ozdobiłam toczkiem w stylu retro z dopiętą półwoalką, choćby tylko po to, żeby zakryć swoje kompromitujące odrosły. Pasująca do całości wdzięczna torebeczka w kształcie pudełka miała budzić skojarzenie z Paryżem.

Jako kobieta z misją powstrzymałam się od przymierzania kilku par kolorowych rzemiennych sandałów, które wypatrzyłam po drodze, kierując się prosto do działu dla przyszłych matek.

Amerykanka pochodzenia azjatyckiego, która próbowała mnie obsłużyć, była tak piękna, że nawet się cieszyłam, że przyszłam tylko pooglądać i że nie dam jej szansy na sprzedanie czegokolwiek.

- Mogę pani w czymś pomóc? - spytała chłodno.

- Dzisiaj tylko oglądam. - Ominęłam ją łukiem, mając na końcu języka, żeby zawiązała ładniej swój krawacik w paski.

Wygładziła klapy granatowego zakietu i wróciła do układania na ladzie apaszek, podczas gdy ja zaczęłam krążyć między wieszakami.

Kurczę! Część tego towaru wcale nie była najgorsza! Gdyby ktoś w tych czasach i w tym wieku musiał być w ciąży, miał mnóstwo możliwości, żeby nie wyglądać szkaradnie. To już nie były same kropki, namioty i kokardki. Widziałam małe śliczne sweterki - no, może nie tak bardzo małe - i świetne dżinsowe ogrodniczki na weekendowe wyjazdy. Był elegancki strój biurowy i nawet suknie balowe, na wypadek gdyby któraś miała na tyle szczęścia, żeby dostać zaproszenie na bal do pałacu Buckingham przed terminem porodu.

- Hej! - powiedziałam głośno. - Niektóre z tych rzeczy są super. Mogę kilka sztuk przymierzyć?

Dziewczyna uniosła głowę.

- Myślałam, że dzisiaj pani tylko ogląda.

Trzymałam w rękach parę ogrodniczek i ciemnoróżową suknię balową przetykaną złotą nicią.

- Owszem, tylko oglądałam. Do tej pory - dodałam z cierpkim uśmiechem. - Teraz będę tylko przymierzać.

- Bardzo proszę, madame. - Odebrała ode mnie rzeczy i powiesiła w wolnej przymierzalni. - Jeśli będę jeszcze mogła pani w czymś pomóc - może podać inny

rozmiar tych samych ubrań? - proszę mnie bez wahania zawołać.

„Proszę mnie bez wahania zawołać”, wymruczałam śpiewnie pod nosem, zamykając drzwi kabiny.

Najpierw przymierzyłam ogrodniczki. Boże! Kompletna klęska, pomyślałam, oglądając się ze wszystkich stron. Oczywiście, wyglądałam w nich jak nie ja, ale na pewno nie jak ciężarna. Raczej jak jedna z tych skąpych bab, które straciły całe mnóstwo kilogramów, ale nie zdobyły się na wymianę garderoby w rozmiarze słoniowym. Nie lepiej było z suknią, chociaż dalej podobał mi się jej kolor.

Beznadziejna sprawa. Mogłam kupić sobie całą szafę nowych ubrań i nie wyglądałabym ani trochę bardziej na kobietę w ciąży niż dotąd. Wyglądałabym po prostu głupio.

Nagle zatrzymałam wzrok na czymś, co wisiało na innym haczyku. Kiedy weszłam do kabiny, pomyślałam, że to saszetka do paska, której zapomniała zabrać jakaś śpiesząca się do autobusu turystka, ale teraz widziałam, że to coś zupełnie innego. Granatowo-niebieski przedmiot miał co prawda regulowane paski do zapięcia w talii, ale zamiast sakiewki na pieniądze albo paszport, albo klucze hotelowe, do pasków przytroczony był regularnie zaokrąglony półksiężyc z jakiegoś sztywnego, ale miękko wyściełanego materiału. Co to jest? - zastanawiałam się. Olśniło mnie, kiedy zdjęłam to coś z haczyka i obejrzałam z bliska.

Boże! To było dziecko na niby! Zakładały to chude kobiety we wczesnej ciąży, które chciały przymierzyć coś w dziale dla przyszłych matek, zanim ich ciała dogonią je w potrzebie kupowania. Ale numer!

Nie tracąc czasu, rozpięłam suwak sukni balowej na tyle, żeby wcisnąć do środka sztuczny brzuch, regulując pasek w talii. Potem zasunęłam z powrotem suwak. Hej! To niesamowite, myślałam, jeszcze raz oglądając się ze wszystkich stron. Wyglądałam teraz jak Józefina Napoleona, tylko że mój sterczący brzuch zamiast być przykładem talii w stylu empire, wyglądał tak, jakby jego

właścicielka ociągała się z wejściem w okres połogu. Mój Boże! Naprawdę wyglądałam jak ciężarna i, o dziwo, był to mniej odpychający widok, niż sobie wyobrażałam. Właściwie całkiem mi się podobał.

Gapiąc się na swoje odbicie, zastanawiałam się, jak bym się czuła, gdyby to było prawdziwe dziecko. Czy nagle inaczej zaczęłabym widzieć przyszłość? Czy byłabym kiedykolwiek w stanie spełnić jej albo jego oczekiwania wobec mnie jako matki?

Wciąż urzeczona widokiem samej siebie, uświadomiłam sobie w końcu, że spędziłam w tej kabinie mnóstwo czasu. Otrząsając się z chwilowego przypływu sentymentalizmu, zdałam sobie również sprawę, że lada moment sprzedawczyni może się zacząć zastanawiać, czy nie próbuję ukraść sukni, wpychając ją do kapelusza. Zaczęłam się rozbierać, cały czas intensywnie myśląc.

Suknia balowa nie była mi tak naprawdę do niczego potrzebna, i na pewno nie włożyłabym ogrodniczek, choćby nie wiem jak modnych, ale to szmaciane dziecko... Tak, to było coś, co mogło mi się przydać. Gdybym to miała, mogłabym się zacząć pokazywać w pracy. Nie musiałabym dłużej znosić docinków Staną z księgowości i mogłabym zacząć kupować ciężowe ciuchy ku uciesze swego serca. Tylko na pewno nie tutaj, pomyślałam, zerkając na cenę sukni. Chyba żebym zechciała się zatrudnić na drugi etat.

Ale gdzie można by kupić takie wygodne szmaciane dziecko, zastanawiałam się, wkładając z powrotem własne ubranie. Oglądałam granatowy przedmiot, którego tak rozpaczliwie pragnęłam, szukając nazwy i adresu producenta, ale niczego nie znalazłam. Jasna cholera!

I nagle wpadła mi do głowy myśl: absolutnie cudowna, cudownie straszna myśl. A gdybym zabrała to małe dziecko ze sobą do domu? Czy Harrod's by się tropnęła, gdybym włożyła je pod żakiet i zapięła na dalszy guzik - u! jak ciasno! - właśnie tak? W końcu ta dziewczyna

wiedziała, że wzięłam do mierzenia tylko dwie rzeczy, więc nawet jeśli zauważy, że teraz jestem trochę grubsza niż przed wejściem do kabiny, przypisze to przemęczeniu własnego wzroku - to rozumiałe, gdy dzień w dzień ma się do czynienia z nieprzerwanym pochodem kobiet w różnym stadium ciąży.

Wręczyłam jej ubrania, trzymając toczek i torebkę nad swoim wypchany brzuchem. Uśmiechnęłam się, chcąc podziękować za poświęcony mi czas i zapewnić, że wrócę, jak tylko będę w bardziej zaawansowanej ciąży po coś więcej niż oglądanie i przymierzanie, i...

Wpadka!

- Przepraszam, madame - powiedziała, uśmiechając się - och, jak uprzejmie! - ale zechce pani pójść ze mną.

Zostawiła w dziale inną dziewczynę i poprowadziła mnie lekkim krokiem do biura ochrony. Nigdy w życiu nie było moją ambicją zobaczyć, jak wygląda wnętrze biura ochrony w Harrod'sie, ale kto może przewidzieć, co go spotka w życiu?

I kto by przypuszczał, że jakiegokolwiek miejsce w obrębie murów Harrod'sa może wyglądać tak funkcjonalnie, myślałam, kuląc się na metalowym krześle, podczas gdy umundurowany strażnik z walkie-talkie spacerował przede mną, będąc dobrym gliną i złym gliną w jednej osobie, bo był tylko on. Wyglądał dostatecznie inteligentnie, żeby zarabiać na życie w jakimkolwiek inny sposób, a kiedy się odezwał ze szkockim akcentem, to jakbym słyszała Seana Connery'ego z jego szeleszczącym „sz” zamiast „s”. Prawie zrobiło mi się go żal. Czułam, że z chęcią wyciągnąłby mi spod wypchanego żakietu to, co tam schowałam, ale przecież nie mógł zrobić czegoś takiego, prawda? Musiał czekać na swojego żeńskiego odpowiednika, bo tylko kobieta miała prawo, w razie potrzeby, obmacać moje ciało, a ta miała akurat przerwę.

- Wie pani co - powiedział zdesperowanym głosem - lepiej byłoby dla nas wszystkich, gdyby sama to pani stamtąd wyjęła, naprawdę...

Nagle, sama tym wszystkim zmęczona, pomyślałam, że mądrze gada. W końcu jaki sens miałoby opóźnienie czegoś nieuniknionego?

Sięgnęłam pod żakiet za plecy i odpięłam pasek.

- Proszę bardzo - powiedziałam, równie zdesperowana, ciskając szmaciane dziecko na metalowe biurko i krzyżując ręce na swoim znów płaskim brzuchu. - Niech pan sobie ze mną robi, co chce.

- A co to, do diabła, jest? - Podniósł rzecz, o którą pytał, i oglądał podobnie, jak ja to robiłam w przymierzalni.

- A na co to wygląda? Szmaciane dziecko - powiedziałam, nie do końca pewna, czy to fachowa nazwa. - Wisi to w przymierzalniach w dziale dla przyszłych matek. Używają tego kobiety, które przymierzają ubrania we wczesnej ciąży i chcą wiedzieć, jak będą w nich wyglądały później.

- Jezu! Teraz wszystko rozumiem! - Patrzył na mnie jak na idiotkę. - Dlaczego pani o to zwyczajnie nie poprosiła? Jeśli trzymamy coś dla wygody naszych klientek, to pewnie jest to gratis, jak torba papierowa na zakupy z naszym logo. Bóg wie, po co to komu w domu, ale gdyby poprosiła pani grzecznie Sally, na pewno pozwoliłaby to pani zabrać.

Odrzucił szmaciane dziecko w moją stronę, a ja je złapałam i przycisnęłam do piersi.

- Proszę, może pani to sobie zabrać, ale... - Zniknął na zapleczu i wrócił z firmową torbą. - Przynajmniej niech to pani włoży tutaj. Proszę zniknąć i lepiej, żeby się tu pani przez jakiś czas nie pokazywała.

- To wszystko twoja wina - powiedziałam Davidowi, kiedy wpadł do mnie tego samego dnia z Christopherem.

- Moja wina? Moja wina, że ty wpadłaś na chory pomysł, żeby ukraść jakąś pierdółkę w domu, którego właścicielem jest Fayed?

Oczywiście, że to nie była jego wina, bo to ja zawarłam pakt z tą diabolicą Alice, godząc się, że napiszę książkę, która przyniesie mi bogactwo i sławę. Tak, wciąż utrzymywałam to w tajemnicy przed swoim najlepszym przyjacielem.

Nie zawracając sobie na ogół głowy analizą motywów emocjonalnych własnego postępowania, miałabym wielki kłopot z wytłumaczeniem, dlaczego za nic nie chciałam mu o tym powiedzieć. Czy naprawdę dlatego, jak przekonywałam samą siebie, że wolałam, aby myślał, że ciągnę tę maskaradę, bo jestem szalona, a nie wyrachowana?

Czy raczej miało to coś wspólnego z faktem, że to, co łączyło Davida z Christopherem, wyglądało prawdziwie, podczas gdy mój wspaniały związek z Tolkienem, skoro nie wszystko mogłam mu o sobie powiedzieć, nie sprawiał podobnego wrażenia? Wydawało się czasem, jakby ta książka była jedyną prawdziwą rzeczą, którą mogłam nazwać swoją własną... jeśli to w ogóle ma jakiś sens... a chyba niekoniecznie, nawet dla mnie samej. Ale są chwile, kiedy moje życie jako takie wydaje się pozbawione sensu, i przypuszczam, że to była jedna z takich chwil. Ja po prostu wiedziałam - być może instynktownie - że jeśli David nie nabrał o mnie gorszego mniemania do tej pory, zrobiłby to, gdyby dowiedział się o umowie wydawniczej.

W każdym razie, ponieważ nie czułam się na siłach wyznać mu prawdy, musiałam brnąć dalej w opowiadanie takich bzdur jak:

- Gdyby nie ty i twój poroniony pomysł...
- Jaki poroniony pomysł?
- Ten, na który wpadłeś dwa miesiące temu, ten, dzięki któremu udaję, że jestem w ciąży...
- To był mój poroniony pomysł?
- Chyba nie będziecie się o to kłócić w nieskończoność, co? - powiedział, ziewając Christopher, po czym wziął ze stolika jakiś magazyn, uwalił się na kanapie, oparł i...
- Jaau! Co za czort?! - wrzasnął, rzucając się do

przodu, kiedy biało-czarny kłębek, na którym prawie usiadł, czmychnął do przedpokoju.

- Kot Bzik - odpowiedziałam, goniąc za nim.

- Jane, ty masz kota? - spytał David, gdy wróciłam z kociakiem w ramionach.

- Jasne. Uwielbiam koty.

- Ale Kota Puncha nienawidziłaś.

- To co innego. Kot Punch był kocicą, która zasługiwała na to, żeby jej nienawidzić. Za to Kot Bzik - powiedziałam, pocierając koci nosek swoim nosem - jest kotkiem z jajami.

- O mój Boże - westchnął David - teraz wszystko jest jasne.

Następny ranek zastał mnie siedzącą przy redakcyjnym biurku z moim nowym szmacianym dzieckiem na swoim miejscu, pod luźnym ubraniem, które kupiłam poprzedniego dnia w sklepie sprzedającym towary z rabatem, tuż po moim niedoszłym aresztowaniu w Harrod'sie.

Przeglądając rękopisy, które rzuciła mi na biurko Constance z polecenia Dodo, pomyślałam, że wyglądam całkiem nieźle w swoim nowym pulowerku z Maleństwem z „Kubusia Puchatka” na aplikacji, odwróconą strzałką i torbą kangurzyca. To, że wyglądałam znakomicie i brzemienne zarazem, nie złagodziło przykrości, jaką było wertowanie próbek powieściowych zaczynających się w ten sposób: „U zmierzchu zimnej wojny, rosyjski szpieg Wasyl Andropow ma trudności z przystosowaniem się...” Ograne. Nudziarstwo. Albo: „Kiedy w zamku królewskim Windsor wychodzi na jaw zaginięcie kilku srebrnych łyżek, ulubiony pies królowej, corgi o imieniu Toto, który ma również dar mowy, pomaga Elżbiecie II rozwiązać...” Oszczercze. Nudziarstwo. Albo z wypocin zdesperowanego Amerykanina, któremu odmawiają publikacji w Stanach: „Na pewnej plantacji na dalekim Południu, w czasach, gdy bliski jest wybuch wojny

secesyjnej..." Ten list odmowny wyślę jutro, Scarlet. Nudziarstwo.

Dobry Boże. Czy na tym świecie nie pisze się już nic nowego? I dlaczego Dodo, moja nowa najlepsza przyjaciółka, wciąż podrzuca mi adresowane do niej teksty, wiedząc, że cierpię na... zaraz, na co to ja powinnam narzekać w piątym miesiącu? Zajrzałam szybko do podręcznika „W oczekiwaniu na dziecko”. Ach tak. Bóle w dole brzucha spowodowane rozciąganiem się więzadeł podtrzymujących macicę. Powinnam znaleźć jakiś sposób na zapamiętywanie takich rzeczy. Może mnemotechnika byłaby pomocna?

Wracając do Dodo, czy ona nie zdawała sobie sprawy, że ja mam wystarczająco dużo roboty z własnymi niezamówionymi tekstami? Niektórzy ludzie bez talentu pisali bezpośrednio do mnie, bo wydawało im się zapewne, że zwiększają swoje szanse, mierząc trochę niżej. Musieli zakładać, że ja, będąc zaledwie młodszą redaktorką, szukam okazji do wyrobienia sobie marki, że marzy mi się odkrycie następnego Martina Amisa i że oczywiście dostaję mniej konkurencyjnych wobec ich dzieł propozycji, bo przecież wszyscy piszą do redaktor Dodo alias Lany Lane, a nie do mnie.

Ha! Ci idioci powinni zobaczyć moje biurko! Ten stos maszynopisów, plus fakt, że w przeciwieństwie do Dodo ja nie miałam żadnej Jane, której mogłabym wcisnąć swoją robotę, oznaczało, że beztalencia miały jeszcze mniejszą szansę, jeśli pisały bezpośrednio do mnie, niż gdyby ich rękopisy przechodziły przez ręce Dodo. To prawda, że czasem w stercie chłamu można znaleźć jakąś perełkę wydawniczą, ale tak czy inaczej...

Zastanawiałam się właśnie, czy nie zaproponować Constance, że postawię jej lunch za to, że weźmie ode mnie kilka znienawidzonych maszynopisów, gdy przyszła mi do głowy myśl, żeby oderwać się od nudziarstwa i pobuszować trochę w sieci. Zawsze przyjemnie jest sprawdzić, co się przez noc uzbierało w poczcie elektronicznej: reakcje Alice na kolejne fragmenty mojego „Szmacianego dziec-

ka"; relacje z jakichś koszmarnych wieczorów autorskich od znajomych z innych wydawnictw; panikarskie listy Colina Smythe'a, nagabywania o rozbierane zdjęcia.

Wklepałam swoje hasło: Odette (przez wszystkie szczeniące lata marzyłam, żeby mieć bardziej egzotyczne imię niż Jane), poczekałam na połączenie, które zawsze zdawało się trwać zbyt długo, i wreszcie pojawiła się mała żółta koperta wraz z najbardziej podniecającymi słowami w języku angielskim: „Masz nowe wiadomości”.

No, ciekawe.

Kliknęłam dwukrotnie w żółtą kopertę i zobaczyłam, że mam cztery wiadomości.

Nie, nie interesowały mnie „Cycckowne Małolaty”. Mogłam sobie też darować „Odlotowych Chłopaków na Waleta”. Skasowałam bez otwierania jedno i drugie. Trzecia wiadomość była ofertą wakacji w Disney World w Orlando, na Florydzie. Ta mnie zaintrygowała.

Kiedyś w e-mailu do znajomej z Bloomsbury napisałam o adaptacji filmowej „Orlanda” Virginii Woolf. Czyżby myszka komputerowa podpatrzyła treść tamtego listu? Wszystko możliwe. W końcu zdarzyło mi się już wcześniej, że po wysłaniu tej samej znajomej listu na temat Normana Mailera opatrzonego tytułem „Nadzy i martwi”, dostałam ofertę z firmy reklamującej jednonocne kursy nekrofilii.

Skasowałam i tę wiadomość.

Zobaczmy. Podobno do trzech razy sztuka, ale może czwarty list okaże się niespodzianką. Adres nadawcy brzmiał: mshakespeare@aol.com, a temat „SOS!!!”

Hm, „aol” był skrótem America Online, ale nie znałam w Stanach żadnych Szekspirów. Jeśli chodzi o SOS, mskakespeare@aol.com najwyraźniej nie wiedział, albo nie wiedziała, że w dobie Internetu i telefonów komórkowych stary system Morse'a wychodził z użycia, i nadal wierzył, albo wierzyła, że ktoś ją lub jego usłyszy, jeśli krzyknie wystarczająco głośno:

Droga Pani Taylor!

Pomocy!

Jestem trzydziestosześcioletnią powieściopisarką, która właśnie napisała pierwszą znakomitą powieść - swoją siódmą - ale nikt jej tu nie kupi. (Proszę, niech pani nie wciska DEL; wiem, że KAŻDY pisarz mówi o swojej książce, że jest znakomita, ale moja jest taka naprawdę). Jest to satyra i wszyscy tutejsi agenci i wydawcy mówią to samo: że jest tak śmieszna, że można się posikać, a JEDNOCZEŚNIE inteligentna, ale nie mogą jej wydać, bo - uwaga - Amerykanie nie lubią śmiesznych książek. Ja im na to: „A Nick Hornby? A Helen Fielding?” Na co odpowiadali: „Ach, ci pisarze sprzedają się w Ameryce tylko dlatego, że są Angolami”. I stąd wołanie do pani. W tym momencie, tak jak ja to widzę, mam dwa wyjścia - albo udawać autorkę angielską (co po prostu wydaje się zbyt trudne), albo zwrócić się do angielskiego wydawcy (do Pani). W wielkim skrócie: moja powieść wykorzystuje cały ten brytyjski prototypowy wątek dziewczyny singla i winduje go na trochę wyższy poziom. Tym razem bohaterka nie szuka stałego dobiegacza czy kogoś, z kim by się mogła ustatkować; tym razem ona chce mieć dziecko. Mam nadzieję, że zgodzi się Pani przynajmniej zerknąć na całość, bo ja naprawdę jestem zrozpaczona i grozi mi, że zacznę wyprzedawać antyki mojej zmarłej matki.

Pozostaję w nadziei i desperacji

Mona Shakespeare

Nowy Jork, NY

PS

Nie wiem, dlaczego wszyscy agenci i wydawcy uważają, że Amerykanie nie lubią się śmiać. To znaczy wiem, że jeszcze nie dojrzeliliśmy w swojej świadomości do tego, że seks jest zabawny albo że bzykanie się jest zabawne, podczas gdy mówienie „fuck” nie jest, ale ja lubię się śmiać, kiedy tylko mogę, i sądzę, że nie przestałam być Amerykanką. To tyle. M.

PPS

Proszę wybaczyć, że używam wymiennie słów: brytyjski, angielski, Angole i Anglicy. My koloniści możemy być mało pojętni i nikt po tej stronie oceanu nie jest w stanie dojść z tym do ładu. I proszę nie wymagać, żebym zeszła na Szkotów i Scotchów.

Boże! Ta kobieta miała bzika! Ale w jej liście było kilka rzeczy, które mi się podobały, jak choćby fakt, że zwracała się do mnie z szacunkiem, że jej nazwisko było nazwiskiem mojego ulubionego pisarza wszech czasów i że chciała rozśmieszać ludzi. I na pewno przemawiała do mnie jej desperacja. Poza tym napisała, że jej książka jest o angielskiej dziewczynie, która chce mieć dziecko. Czułam, że powinnam przynajmniej zerknąć na coś, co mogło stanowić konkurencję dla „Szmacianego dziecka” - choć trudno było sobie wyobrazić, że jest na tym świecie jeszcze jedna istota ludzka, która przez dziewięć miesięcy udaje, że jest w ciąży, żeby móc napisać bestseller o kimś, kto przez dziewięć miesięcy udaje, że jest w ciąży.

Gotowa uszczęśliwić Monę Shakespeare, wystukałam odpowiedź:

Droga Pani Shakespeare!

Proszę przysłać kompletny rękopis. Niczego nie obiecuję, ale z powodu zerknięcia na cokolwiek jeszcze mi nigdy korona z głowy nie spadła.

No, pomyślałam, wysyłając wiadomość, miło jest sprawić dla odmiany radość komuś innemu. A zajrzenie do rękopisu Mony Shakespeare mogło się nawet okazać pouczające.

Nie mogę się doczekać, kiedy cię znów zobaczę - napisane było na bileciku dołączonym do kwiatów.

Okej, może to banalne, ale żaden z moich poprzednich

facetów nie przysyłał mi kwiatów do pracy, a on nawet pamiętał, że moimi ulubionymi kwiatami są peonie - ogromne, różowe, diabli wiedzą, gdzie on o tej porze roku dostał peonie.

Jeśli moje życie było skazane na banał, wolałam, żeby to był banał z dostawaniem kwiatów niż dotychczasowy banał z łapaniem faceta na ciążę. Krótko mówiąc, byłam teraz psychicznie nastawiona na banały w romantycznym stylu.

Zanurzyłam nos w bukietach i wciągnęłam powietrze.

- Kto ci je przysłał? - Louise zapuściła żurawia do mojego otwartego pokoju.

- Nikt - odpowiedziałam, próbując ukryć w dłoni bilecik.

- Jesteś w ciąży - zauważyła z wyraźną satysfakcją i stanęła przed moim biurkiem. - Hej, od kogo je dostałaś? Czyżby Trevor próbował wrócić do twoich łask?

- Boże, nie!

- Więc kto? - Nim się zorientowałam, wyrwała mi z ręki bilecik i przeczytała bezgłośnie, mrużąc z wysiłkiem czoło: „Nie mogę się doczekać, kiedy cię znów zobaczę”.

Dobrze, że Tolkien się nie podpisał, pomyślałam. Nie wiem dlaczego, ale wyglądałoby niestosownie, gdybym nosiła pulower z Maleństwem Mamy Kangurzyca i jednocześnie dostawała kwiaty od mężczyzny, z którym miałam taką straszną ochotę pójść znów do łóżka. Domyślałam się, że Tolkien nie podpisał się na bileczku, zakładając, że będę wiedziała, kto przysłał kwiaty, a tym samym że a) w moim życiu nie ma żadnych anonimowych prześladowców i b) żadnego innego mężczyzny, z którym sypiam i którego mogłabym pomyłkowo wziąć za nadawcę. Tak czy inaczej, facet był optymistą, a ja zdecydowałam z miejsca, że lubię męski optymizm.

- Więc kto? - naciskała Louise. - Jeśli nie Trevor, to kto przysłał ci te kwiaty?

- Eee... Yyy...
- Tak?
- David - odpowiedziałam w końcu. - No wiesz, mój przyjaciel David. Spotkałaś nas kilka razy.
- Tak, ten przystojniak. Ale czy on nie jest gejem?
- Oczywiście.
- Więc po co miałyby ci przysyłać kwiaty z bilecikiem, na którym jest napisane... - Przeczytała jeszcze raz.
- Aaa. To. - Zbyłam ją machnięciem ręki.
- Tak. - Wciąż miała podejrzliwą minę. - To.
- David jest po prostu dobrym przyjacielem. Wie, jak ostatnio paskudnie się czuję, z dzieckiem w brzuchu, bez mężczyzny na horyzoncie i w ogóle. To jego sposób na poprawienie mi humoru. Robi, co może, żebym miała wrażenie, że wciąż jestem obiektem męskiego zainteresowania, nawet jeśli jest to zainteresowanie ze strony geja.
- Boże. - Mierząc mnie mało przychylnym wzrokiem, wrzuciła bilecik do kosza na śmieci.
- Co?
- Jesteś o wiele większą szczęściarą, niż na to zasługujesz. Poczekajłam, aż zniknie mi z pola widzenia, potem wyjęłam z kosza bilecik i przeczytałam jeszcze raz:
Me mogę się doczekać, kiedy cię znów zobaczę.
- Louise miała rację, pomyślałam. Byłam o wiele większą szczęściarą, niż na to zasługiwałam.

Zamknęłam drzwi z obawy przed kolejnym intruzem i wcisnęłam znajomy numer na swojej komórce.

- David! - wyszeptałam.
- Tak, Jane. Wiem, kim jestem. Czy to coś bardzo pilnego?
- Tolkien przysłał mi kwiaty! - Mój wyszeptany okrzyk zabrzmiał tym razem jeszcze bardziej radośnie.
- To cudownie, Jane. Ale masz świadomość, że ja tu czasem pracuję?

Postanowiłam zrobić sobie amniopunkcję.

Och, nie chodziło mi o badanie polegające na przebicciu długą igłą powłok brzusznych i ściany macicy. Nie, na pewno nie, co byłoby tak bolesne. Nie, miałam raczej na myśli coś mniej dosłownego. Fakt, że nie przekroczyłam trzydziestu pięciu lat, a to był najczęstszy powód, dla którego wykonywano amniopunkcję. Poza tym ani w Trevora, ani w mojej rodzinie nie występowały anomalie chromosomowe; nie sądziłam też, abym była w stanie przekonać ludzi, że oboje jesteśmy nosicielami autosomalnych recesywnie dziedzicznych zaburzeń, takich jak choroba Tay-Sachsa albo anemia sierpowata. Postanowiłam więc, że Madame Zora zaleci, żebym poddała się temu badaniu, gdyż według niej, konieczna stała się ocena stopnia dojrzałości płuc płodu, a mimo jej najusilniejszych pozazmysłowych zabiegów karty tarota milczały. W każdym razie, ponieważ rutynowo amniopunkcje wykonuje się między szesnastym a osiemnastym tygodniem ciąży, nie mogłam wybrać lepszego momentu.

Doszłam do wniosku, że w moim przypadku, skoro nie udało mi się namówić żadnej ciężarnej kobiety, żeby sprzedała mi swoje zdjęcia z badań USG, i skoro powiedziałam wtedy wszystkim, że Madame Zora jest zdecydowanie przeciwna, żeby przyszłe matki oglądały takie zdjęcia, powinnam zrobić jakieś inne badanie ustalające płeć dziecka. Nie musiałam silić się na wyjaśnienia, dlaczego Madame Zora przyjęła taki, a nie inny punkt widzenia, bo wszyscy i tak uważali, że jest szurnięta. Zasadniczą dla mnie sprawą było to, że zrobiwszy amniopunkcję, nie tylko poznałabym z wyprzedzeniem płeć dziecka, ale mogłabym ją wybrać. Ilu ludzi może sobie na to pozwolić? (Prawdopodobnie już wkrótce będzie takich od groma, ale ja zdecydowanie wyprzedzałam swój czas).

Postanowiłam, że będę miała dziewczynkę. Dziewczynki łatwiej się chowają, a poza tym w przyszłości, zważywszy na nieobecność Trevora, nie musiałabym się

przejmować ludźmi, którzy prawiliby mi kazania o potrzebie znalezienia męża, bo przecież chłopiec powinien mieć jakiś męski wzorzec. Oczywiście, wciąż nie wiedziałam, gdzie znajdę jakieś dziecko, kiedy ciąża dobiegnie końca i będę zmuszona urodzić, żeby nie przyznać się, że okłamałam wszystkich po kolei, ale mogłam odłożyć to zmartwienie na później. Kto wie, pomyślałam.

Może Alice miała rację: może gdy tylko stanę się bogata i sławna, nikt nie będzie mi wypominał, w jaki sposób ich oszukałam. Zabawne, ale całe szaleństwo zaczęło się od tego, że uwierzyłam, że jestem w ciąży, potem próbowałam zajść w ciążę, żeby mieć dziecko z Trevorem i zasmakować „pięknego wspaniałego świata”, później chciałam dalej udawać, że jestem w ciąży, bo życie w tym stanie wydawało się daleko przyjemniejsze, potem poznałam Tolkiena (co nie miało absolutnie nic wspólnego z ciążą, poza tym, że byłoby łatwiej, gdybym w niej nie była), aż w końcu Alice zaproponowała mi napisanie książki o kobiecie, która przez dziewięć miesięcy udaje, że jest w ciąży, a teraz... a teraz...

Boże, moje życie było jednym wielkim chaosem. Jak to wszystko się skończy?

- To było ode mnie. - Tak brzmiały pierwsze słowa Tolkiena, kiedy odebrałam telefon.

- Tak, wiedziałam o tym - odparłam, pewna, że to właściwa odpowiedź.

- Skąd?

- Jesteś optymistą, prawda?

- Tak.

- No właśnie.

Teraz, kiedy już było po mnie coś widać, widać też było mnóstwo korzyści, które pojawiły się wraz z moim rozciągliwym brzuchem: mogłam sobie pozwolić na dodatkowe przerwy i spychać na innych robotę, której nie czułam się na siłach podołać; moja matka była teraz dla

r

mnie milsza niż dla Sophie, bo choć dziecko Sophie ledwo co się urodziło, matka już wiedziała, że to dziecko jest zdrowe. Wobec mojego dziecka, które ciągle było wielką niewiadomą, stosowała zasadę, że ostrożności nigdy za wiele, i tak oto biedna Soph została odstawiona na boczny tor.

Ale widoczna ciąża miała też zdecydowanie złe strony. Chcąc nie chcąc, musiałam znosić te wszystkie dobre rady, którymi raczył mnie, kto mógł: nie tylko moja matka i siostra, ale kobiety w supermarkecie, sąsiedzi, z którymi nigdy przedtem nie zamieniłam słowa, bileterka w kinie, nawet listonosz doręczający pocztę do naszego wydawnictwa. (On: „Moja siostra mówi, że jedzenie słodczy w ciąży zamiast zdrowej ekologicznej żywności to jak gra w rosyjską ruletkę z metabolizmem nienarodzonego dziecka”. Ja - ciskając do kosza niedokończone opakowanie smarties: „Może zostawi pan z łaski swojej te pieprzone paczki?”).

I w końcu - powinnam raczej powiedzieć „ostatnio” - Stan z księgowości, który na comiesięcznym kolegium redakcyjnym, spojrzawszy znacząco na mój biust, powiedział swoje: „Mam nadzieję, że zamierzasz karmić piersią? Jeśli nie, to zdajesz sobie chyba sprawę, że pozbawisz swoje dziecko tego, co jest dosłownie jego prawem?”

I to mówi człowiek, który pięć minut wcześniej przekonywał nas, że za każdym razem, gdy już zredagowaliśmy nasze książki na tyle, że według nas, nie zostało ani jedno zbędne słowo, gdybyśmy wyrzucili jeszcze po dziesięć stron tekstu, firma zaoszczędziłaby setki tysięcy funtów rocznie.

Spojrzałam na faceta, który byłby gotów z radością wyciąć po trzysta pięćdziesiąt stron z każdej z książek Tołstoja - Stan wielokrotnie powtarzał, że żadna współczesna powieść nie powinna przekroczyć dwustu dwudziestu trzech stron - i powiedziałam nader elokwentnie:

- Wypchaj się, Stan.

- Spokojnie, nie masz się o co wkurzać. W końcu jesteś tu wśród przyjaciół. Wszyscy rozumiemy, że twoje hormony szaleją na poziomie stanu alarmowego, ale ktoś musiał ci powiedzieć, że karmienie piersią swojego syna...

- Skąd ta pewność, że będę miała chłopca?

- Nosisz dziecko dość nisko...

Następny powód do zmartwienia. Być może mojej atropie groziło, że całkiem opadnie mi na biodra.

- Tak, wiem. Ale gdybym ci powiedziała, że amniopunkcja wykazała, że to będzie dziewczynka?

- Ty zrobiłaś sobie amniopunkcję? Ty, która jesteś tak zdecydowana, żeby twoje dziecko nie przyszło na świat, cytując: „za pośrednictwem tradycyjnie zbrutalizowanej instytucji medycznej spod znaku testosteronu”, koniec cytatu, poddałaś się ryzykownej amniopunkcji?

- Tak - powiedziałam, z dumnie uniesionym podbródkiem, zapominając o bajeczce z Madame Zora, płucami płodu i milczeniem kart tarota. - Mam kuzynkę, która urodziła dziecko z zespołem Downa. W takich okolicznościach nie wolno podejmować żadnego ryzyka.

Stan poczerwieniał.

- Przepraszam, Jane, bardzo mi przykro z powodu twojej kuzynki.

Wybaczyłam mu szybciej, niż zrobiłabym to normalnie, bo nagle opanowało mnie dręczące poczucie winy. Nie miałam nic przeciwko wyrazom współczucia i niezasłużonym przywilejom z powodu udawanej ciąży, ale korzystać z czyjegoś współczucia pod pretekstem nieistniejącego zagrożenia wadą genetyczną, która jest bardzo poważnym problemem dla wszystkich dotkniętych nią ludzi i tych, którzy ich kochają - to nawet mnie wydało się grubą przesadą.

- W porządku, Stan. Skąd miałeś wiedzieć? - Dość szybko się pozbierałam, odstawiając na bok skrupuły.
- A moje dziecko na pewno jest dziewczynką.

No cóż. Niby dlaczego nie miałabym mieć takiego

dziecka, jakie chcę, skoro to ja byłam tutaj siłą sprawczą? Cholera, mogłam mieć nawet bliźniaki albo i siedmioraczkę. Ale nie, z ciążą mnogą byłoby za dużo zachodu.

- W każdym razie - powiedział Stan, już bez rumieńców na twarzy, pokonawszy swoje zakłopotanie równie szybko, jak ja moje wyrzuty sumienia - nigdy dotąd nie widziałem ciężarnej kobiety, której w ogóle nie powiększyły się piersi. Zwykle kobietom w ciąży piersi zdecydowanie rosną. I stają się obrzmiałe. I wrażliwe na dotyk.

- Skąd, do cholery, Stan wiedział takie rzeczy?! Na pewno jego siostry nie rozmawiały z nim o swoich piersiach.

- Jesteś pewna, że nie brakuje ci wapnia? Bierzesz specjalne witaminy? No bo nie chcesz chyba zagłodzić małego brzdąca, nawet jeśli jest dziewczynką?

Zerknęłam na swoje piersi, które niezmiennie, odkąd skończyłam dwanaście lat, mieściły się w biustonoszach o rozmiarze 75B. Boże, jęknęłam w duchu, następna rzecz, którą przeoczyłam. Musiałam pomyśleć o większym staniku i wypchaniu go czymś, co nie wypłynie na wierzch, gdybym przypadkiem została wrzucona do Tamizy.

- Dzięki za zwrócenie uwagi na mój potencjalny niedobór wapnia - powiedziałam z krzywym uśmiechem.

- A teraz bądź tak dobry i wypchaj się sianem.

- Hm, hm. - Tym mało oryginalnym odgłosem zwrócił na siebie uwagę pokrzywdzony przez los brakiem owłosienia na głowie redaktor naczelny Churchill & Stewart, który siedział po przeciwnej stronie długiego stołu i zawsze gładził swoją łysinę, jak gdyby mogło być tam coś więcej poza gładką skórą. - Wybaczą państwo, ale jeśli poświęciliśmy wystarczająco dużo czasu biustowi panny Taylor, może wrócimy do sprawy wycięcia po dziesięć stron z każdej książki z najbliższego wiosennego planu wydawniczego.

- Mam nisko położone łożysko.

Tak naprawdę miałam na biurku stos roboty, do której

nie miałam ochoty się zabrać, widząc, jak wyjątkowo pięknie jest na zewnątrz.

- Co? - Dodo nie podniosła jeszcze wzroku znad świeżo dostarczonych szpalt.

- Powiedziałam, że Madame Zora mówi, że mam nisko położone łożysko.

Mój podniesiony głos zwrócił w końcu jej uwagę na treść przekazu.

- Boże, Jane, to niedobrze. - Przetarła swoje okulary do czytania. - Ale, jeśli dobrze pamiętam, czy to odrobinę nie za wcześnie, żeby się tym martwić?

Dodo miała umysł, który działał jak potrzask, i niemal fotograficzną pamięć, dzięki czemu, między innymi, zaszła tak wysoko w zawodzie w tak niedługim czasie. Potrafiła cytować z pamięci całe ustępy książek naszych autorów lepiej niż oni sami.

- Więc z tego, co czytałam... - przymrużywszy oczy, spojrzała w sufit - ...w drugim trymestrze dwadzieścia do trzydziestu procent łożysk ma niskie położenie, ale w większości przypadków w porę przemieszczają się wyżej. Jeśli to nie następuje, stwierdza się łożysko przodujące, ale to rzadkie powikłanie i dotyczy najwyżej jednego procentu donoszonych ciąż, a z tych tylko w jednym przypadku na cztery jest ono położone aż tak nisko, żeby spowodować jakieś poważniejsze komplikacje. Widzisz więc, Jane, że to naprawdę za wcześnie...

- Madame Zora - ucięłam jej gwałtownie - mówi, że w moim przypadku wcale nie jest za wcześnie, żeby zacząć się martwić.

- Ale tu oczywiście pojawia się zasadnicze pytanie, czy Madame Zombi wie, do cholery, o czym mówi.

- Ona nie jest żadną szamanką. - Zrobiłam urażoną minę. - Naprawdę bardzo bym chciała, żebyś nie mówiła o niej w ten sposób. Tak się składa, że to ona będzie odbierała moje dziecko.

- Przepraszam, Jane, ale...

- I to ona powiedziała, że nigdy dotąd w swojej karierze nie widziała tak nisko położonego łożyska. A ja wiem z własnego doświadczenia, że jeśli jest tylko jedna czwarta jednoprocentowego prawdopodobieństwa, że zdarzy się coś niedobrego - i tutaj pozwoliłam sobie na hormonalnie sterowany wybuch wściekłości - **TO NA PEWNO ZDARZY SIĘ MNIE!**

- Przepraszam, Jane, nie chciałam sugerować... - Dodo podeszła, żeby mnie objąć.

- Nie, oczywiście, że nie chciałaś. Każdy mówi, że nie chciał.

- Musisz jednak przyznać, że chociaż nigdy jej nie widziałam, twoja Madame Zomba może robić wrażenie osoby ekscentrycznej.

- Ona mówi, że moje łożysko...

- Tak, wiem, kochanie. I naprawdę nie miałam racji, traktując twój problem z lekką rezerwą. - Chwyciła mnie za ramiona i trzymała na odległość wyciągniętych rąk, z jasnym, pełnym otuchy uśmiechem. - Wiem. Może byś wzięła wolny dzień i dała swojemu nisko położonemu łożysku przerwę na relaks?

Udając, że się waham, czy przyjąć jej wielkoduszną propozycję, zmagalam się z wyrzutami sumienia, wyobrażając sobie jednocześnie, jak cudownie byłoby spędzić dzień, gapiąc się na wystawy czy wysłuchując południowego koncertu przed Saint Martin's in the Fields, zamiast kisić się w pracy.

Zaczęło wyglądać na to, że na okrągło wymyślam jakieś komplikacje. A Dodo jeszcze raz okazała mi tyle wyrozumiałości. Czyżbym zaczynała mieć objawy syndromu barona Miinchhausena? Nie, powiedziałam sobie, niemożliwe, bo ja wiedziałam, że sama te objawy zmyślam.

- Jesteś ta ka dzielna, Jane. - Piękna, krystalicznie czysta łza pojawiła się w kąciku jej oka. - Nie sądzę, żeby mnie kiedykolwiek stać było na taką dzielność.

- Och, każdy na moim miejscu robiłby to samo.

Raczej nie. Ale gdybym dobrze rozegrała swoją grę, nikt nie odmówiłby mi mistrzostwa.

Tylko skąd, do licha, miałam wziąć jakieś dziecko?

Moje dziecko było teraz około dwudziestopięciocentymetrowym płodem i (gdyby on albo ona było prawdziwe, a nie wyimaginowane) wystarczająco silnym, żebym mogła go w sobie czuć. Jego ciało było pokryte delikatnym meszkiem, a na głowie zaczęły rosnać włoski. Pojawiały się brwi i rzęsy, skórę powlekało coś, co nazywało się ochronną mazią płodową.

Nie mogłam powiedzieć, żebym zauważyła jakieś złagodzenie huśtawki nastrojów, co powinno być charakterystyczne dla piątego miesiąca, ale moja matka zawsze mówiła, że na wszystko reaguję z opóźnieniem. Wybuchy irytacji, które okazjonalnie wciąż miały prawo się zdarzać, w moim przypadku wciąż były zjawiskiem więcej niż okazjonalnym. Nowością było roztargnienie, ale, dzięki Bogu, nie doświadczałam puchnięcia nóg wokół kostek ani stóp, ani rąk, ani twarzy, i nadal przede mną były dokuczliwe hemoroidy. W sumie, matka i płód miały się wprost znakomicie.

szósty miesiąc

Mężczyźni lubią sprawdzać się w sporcie. Kobiety rywalizują we wszystkim innym.

Stłoczeni wszyscy razem w kuchni maleńkiego mieszkania Tony'ego i Soph, rozmawialiśmy o tym, czy ich dziecko zostanie kiedyś supergraczem Manchester United, i przemawialiśmy pieśczośliwie do jego dwudziestu paluszków rączek i stopek. My - to znaczy dumni rodzice niemowlęcia o imieniu Jack, nasza matka i sześciopak kobiet-balonów - z których wszystkie przypominały mi obsadę „Czarownic z Salem”, poza tym, że żadna nie miała na głowie białego czepka - oraz ich małżonkowie, a także znaczący i nieznaczący inni z zajęć w szkole rodzenia, na które uczęszczali Soph i Tony.

- Jednak rozsądnie jest rodzic bez znieczulenia - powiedziała zawsze zadowolona z siebie Peg, którą zapamiętałam z imprezy z prezentami u mojej siostry. Nazywałam ją w duchu Jejmość Peg albo Pańcią.

- Łatwo ci mówić - zaoponowała nabzdyczona Trudy.
- Kiedy rodziłam pierwsze dziecko, miałam bóle przez trzy dni. - Uniosła palce, żeby policzyć, i powtórzyła, przeciągając sylaby. - Trzy dni. Gdyby trzeciego dnia nie zdecydowali się na to cholerne znieczulenie, na pewno bym kogoś zamordowała.

Prychnęłam, wzruszając ramionami.

- Ja nie chcę żadnego znieczulenia i nie mam zamiaru iść do szpitala.

- To znaczy, że jesteś zdrowo popieprzona - odparowała Trudy.

- Ciii. Dziecko - szepnęła Pańcia.

- Madame Zora, moja położna, pomoże mi urodzić w domu. - Pogładziłam się po brzuchu. - Nie będę musiała wkładać nóg w żadne strzemiona. Ona pomoże mi to zrobić w naturalny sposób - po prostu przykucnę i wypchnę dziecko na świat.

- Trudy ma rację - powiedziała półgłosem Pańcia, prosto do mojego ucha, żeby nie usłyszało jej maleństwo:

- Naprawdę jesteś popieprzona.

Trzykroć tak i trzykroć wspak, wy głupie krowy, pomyślałam, choć może profanowałam w ten sposób swoje odniesienia literackie.

- Myślę, że ważne jest, żeby zostać z dzieckiem w domu przynajmniej przez pierwsze dwa tygodnie - odezwała się Helena, która pracowała w jakiejś międzynarodowej korporacji.

Dora, doradca prawny z opieki soq'alnej, obruszyła się.

- Dwa tygodnie? Postaraj się przez dwa miesiące.

- Jeśli chodzi o mnie, dwa lata - powiedziała Elizabeth, sprzedawczyni w sklepie z kosmetykami.

Pańcia Peg uśmiechnęła się anielsko.

- Ja planuję zostać w domu do czasu, kiedy moja córeczka wyjdzie za mąż.

- Ja mam zamiar prowadzić w swoim domu żłobek dzienny - zaszczebiotała Patty, która wyglądała na jakieś szesnaście lat. - Chcę mieć wokół siebie tyle dzieci, ile się da. I - dodała stanowczo - nie obchodzi mnie, jak bardzo bolesny może być poród. Nie będę ryzykować, że moje dziecko przyjdzie na świat uzależnione od jakichś prochów.

- Więc myślicie, że Manchester pójdzie w tym roku na całość? - Tony zadał pytanie retoryczne, choć nie wiadomo było, czy któryś z mężczyzn kiedykolwiek takowe słyszał.

Jakby na potwierdzenie tego, pośród serii wystrzałów otwieranych puszek piwa, wszyscy odpowiedzieli prawie jednocześnie.

- Dlaczego, do cholery, miałyby nie pójść?

Sophie, wcielona Madonna, która aż do tej pory milczała, wybrała bardzo ciekawy moment, żeby oznajmić wszem i wobec:

- Wiecie co, założę się, że Jane nigdy w życiu nie zmieniła dziecku pieluchy.

- To prawda - zarechotała moja matka, przy czym zdziwiło mnie to, że zarechotała, a nie, że moja matka, bo dotąd wierzyłam, że ludzie robią to tylko w książkach. - Jane nigdy w życiu nie zmieniła dziecku pieluchy. A dlaczego miałyby to robić? W końcu była młodszym dzieckiem, a nikt jej nigdy nie zachęcał, żeby niańczyła czyjeś dzieci.

- Oto twoja wielka szansa, siostrzyczko. - Sophie podeszła, żeby wręczyć mi małego Jacka - Jacka, którego pielucha wypełniona była tym czymś, co skierowało myśli Sophie na ową skatologiczną ścieżkę.

Cofnęłam się odruchowo i ruszyłam ku wyjściu, schodami w dół i na zewnątrz.

- Muszę lecieć. Przypomniałam sobie o pilnym spotkaniu, które wyleciało mi z głowy!

- Akurat, kogo ty chcesz nabrać? - Goniły mnie kpiące głosy, kiedy zbiegałam po dwa stopnie, chrzaniąc ryzyko, że w razie upadku zniszczę swoje „dziecko”. - Wiesz, że niedługo koniec balu? Nie możesz się migać w nieskończoność.

Właśnie skończyłam czytanie trzech pierwszych rozdziałów i streszczenia, które przysłała mi Mona Shakespeare. Właściwie dołączyła plik do swojego następnego e-maila. W dziwnych czasach żyjemy, kiedy redaktor tylko wtedy może mieć bezpośredni kontakt z maszynopisem, jeśli zechce otworzyć załącznik na swoim komputerze, a potem go wydrukować.

Przypuszczałam jednak, że z jej strony była to oszczędność czasu i pieniędzy.

Czasami ma się wrażenie, że gdziekolwiek się człowiek obróci w księgarni czy na kolegium redakcyjnym, przed oczami ma następną książkę w różowej obwolucie, której zadrukowane strony opowiadają o bezsensownych przygodach kolejnej szurniętej dwudziestokilkulatki z Londynu, która pracuje w wydawnictwie - nie wiem, dlaczego one wszystkie muszą być redaktorkami, ale tak jest - i która zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby znaleźć swój ideał mężczyzny. Chociaż sama byłam przed trzydziestką, zupełnie nie pojmowałam tej wypaczonej wizji świata, którą raczył nas przemysł rozrywkowy - świata, w którym główne bohaterki mogły być tylko przed trzydziestką, jak gdyby po przekroczeniu trzydziestki w jakiś magiczny sposób znikwały z dymem.

Jednak miło było trafić przynajmniej na jedną osobę usiłującą pokierować swoją bohaterką z wydawniczego światka zupełnie inaczej, a ta dziwna Amerykanka, która przedłożyła mi porcję swojego zabawnego tekstu, właśnie tak zrobiła.

A co mnie najbardziej ujęło?

Jej książka o ciąży we współczesnym świecie w niczym nie przypominała mojej książki o ciąży we współczesnym świecie.

Ciąża była zabawna, i to bez dwóch zdań, a Monie Shakespeare udało się trafić ostrzem satyry w sedno sprawy. Błyskotliwie drwiła z głupoty świata, który kanonizuje kobiety na okres dziewięciu miesięcy za to, że okazały się zdolne do prokreacji, za to, że okazały się zdolne mieć ze swojego życia seksualnego coś więcej niż orgazmy. Jej bohaterka miała na imię Stacy - oprócz tego, że pracują w wydawnictwie, wszystkie te bohaterki mają dziewczęce imiona - i jej problem nie polegał na tym, że nie mogła złapać faceta, który by się z nią ożenił.

Otóż ona, jako że sypiała z każdym, który jej się

nawinał pod rękę - zawsze używając kondomów, rzecz jasna, w różnych jaskrawych kolorach w zależności od tego, z kim akurat była, tyle że jeden z nich ewidentnie zawiódł - w swojej zmasowanej obławie na stałego chłopaka, kiedy niespodziewanie zaszła w ciążę, nie miała bladego pojęcia, kim może być ojciec. Jej historia zdecydowanie nie była historią jak z „Kopciuszka” waszych matek. Mając tylu kandydatów do wyboru, każdemu z osobna opowiedziała, co się stało, w nadziei, że chociaż jeden z tej armii będzie miał na tyle poczucia przyzwoitości, żeby nie zostawić jej na lodzie. Jednak czymś, na co zupełnie nie liczyła, był syndrom Madonny.

Dziesięć lat temu mężczyzna na wieść o niepożądaną ciążę dziewczyny, z którą się przespał, mógłby po prostu powiedzieć: „Udowodnij to”. Teraz świat dostał takiego fioła na punkcie dzieci - zauważcie tylko, ile uwagi poświęcano ciąży śpiewającej Madonny - że Mona Shakespeare zdołała uczynić całkiem prawdopodobną sytuację, w której dziesięciu mężczyzn nie tylko nie odżegnuje się od owocu przelotnej znajomości łóżkowej, ale aż pali się do ojcostwa! Nawet jeśli tak naprawdę w ogóle nie znają matki, albo, jak w niektórych przypadkach, nie podoba im się nic z tego, co trochę znają.

Widocznie w dzisiejszych czasach zarówno młode kobiety, jak i mężczyźni są tak zajęci robieniem kariery zawodowej, że umyka im właściwa pora na poznanie partnera, z którym mogliby na serio myśleć o prokreacji. Kiedy zegar życia wystukuje im nieubłagane trzydziestkę - a większość mężczyzn, z którymi sypiała Stacy z książki Mony Shakespeare, przekroczyła tę granicę - zamiast zdecydować się na błyskawiczną autodestrukcję, zaczynają rozpaczliwie szukać partnerów, z którymi dałoby się odtworzyć własny wizerunek na twarzy dziecka. I oto w książce Mony Shakespeare - zatytułowanej „Gumowy pantofelek” - Stacy wypróbowała każdego z tych mężczyzn, żeby przekonać się, który

byłby najlepszym tatusiem. Trzy pierwsze rozdziały zrobiły na mnie takie wrażenie, że natychmiast wysłałam Monie e-maila z prośbą o następne. Postanowiłam też niezwłocznie podzielić się swoim odkryciem z Dodo.

- Dodo! - krzyknęłam. - Chodź tu, szybko! Muszę pokazać ci, co zdobyłam! To absolutna rewelacja!

- Jane, nie możesz przyjść do mnie? Jestem bardzo zajęta.

Przybrałam ton zmęczonej kobiety w ciąży, ścisząc głos na tyle, żeby Dodo musiała wytężyć słuch, żeby mnie zrozumieć.

- Mogę, czemu nie. Chociaż czuję się ostatnio ledwo żywa.

- Przepraszam, Jane. - Zjawiła się natychmiast ze skruszoną miną. - Chciałaś się ze mną czymś podzielić?

- Popatrz! - Zerwałam się z krzesła z impetem nieprzystającym ledwo żywej ciężarnej kobiecie, wymachując kartkami maszynopisu Mony Shakespeare. - Myślę, że zdobyłam dla nas następny bestseller!

- Och, Jane. One wszystkie są bestsellerami. Mam stos takich maszynopisów na swoim biurku i wszystkie przychodzą z listami od autorów, w których zapewniają, że napisali bestseller.

- Wiem, Dodo, ale ta książka jest naprawdę wyjątkowa. Dzięki niej my wszyscy w wydawnictwie Churchill & Stewart przestaniemy się martwić, czy następna powieść Colina Smythe'a w stylu angielskiej Regencji nie będzie umiejscowiona w Japonii i czy jej główny bohater, zapaśnik sumo o orientacji gejowskiej, nie będzie marzył o wyprawie na narty w szwajcarskie Alpy! Mówię ci, Dodo, usiądź! Usiądź!

I w tym samym momencie usadziłam ją przy swoim biurku i zmusiłam do przeczytania, od pierwszego do ostatniego słowa, wydrukowanego fragmentu „Gumowego pantofelka”. Ja w tym czasie dreptałam w tę i w

w tę, zaglądając jej przez ramię, kiedy wybuchała śmiechem.

- Najbardziej mi się podobał ten Amerykanin - zachichotała, odkładając ostatnią stronę - który po wakacyjnym romansie ze Stacy wraca do swojego domu w Idaho, ale słysząc o jej ciąży, leci z powrotem do Londynu z parą maleńkich sześciostrzałowych rewolwerów dla swojego syna.

- To wtedy Stacy mówi: „Skąd wiesz, że dziecko będzie chłopcem? Jestem prawie pewna, że czuję dziewczynkę i jeśli mam rację, wiem, że będzie raczej wołała komplet noży”. Potem wysyła go do Ameryki, żeby pakował manatki, i zabiera się do Konkurenta Numer Cztery, Mitcha, sfrustrowanego przewodnika wycieczek z południowo-zachodniej Anglii, który nienawidzi turystów i którego poznamy, jak tylko pani Shakespeare przyśle nam następne rozdziały.

- Boże, Jane, ty chyba masz rację. W tym naprawdę... jest coś. I to nazwisko! Myślisz, że nas podpuszcza? Mona Shakespeare... W końcu jest Amerykanką.

- A ty myślisz, że Amerykanie mają większą awersję niż my do zbijania kapitału na sławnych nazwiskach? Przyjrzyj się schedzie po Hemingwayu. Założę się, że jest dzisiaj więcej piszących potomków i krewnych Hemingwaya niż Papa miał kotów. Ale sprawami marketingowymi zajmiemy się w swoim czasie i jestem pewna, że z dobrym skutkiem. Czy na przykład nasz dobry stary S. nie mógł spłodzić nieślubnego potomka z jakąś fanką, która przyjechała ze swoim ojcem do Anglii, żeby go poznać, a którego potomkowie w następnych pokoleniach zostali właścicielami niewolników w Wirginii i zdecydowali się przyjąć nazwisko człowieka, który zerznął ich babkę albo prababkę po ukończeniu „Poskromienia złościcy”? Ale tym będziemy martwić się później - dodałam szybko, widząc pobladałą twarz Dodo. - Teraz ważne jest, żeby Mona

dosłała nam resztę książki, zanim jakiś amerykański wydawca położy na niej wcześniej łapę. Chcę mieć ten „Gumowy pantofelek”.

- A jeśli reszta nie będzie tak dobra jak początek?

- Będzie. A jeśli nie, będziemy pracować nad nią z autorką dotąd, aż będzie doskonała. „Bridget Jones” sprzedała się w dziewięciuset tysiącach egzemplarzy, zanim jeszcze podbiła Stany. Kiedy ostatnio Churchill & Stewart miał debiut powieściowy o milionowym nakładzie?

- Rozumiem twój punkt widzenia...

- Najpierw dowiemy się, na co stać Mitcha z czwartego rozdziału.

- Och! - Nagle była jak mała dziewczynka. - Strasznie jestem ciekawa, jaki jest ten sfrustrowany przewodnik.

- Potem ocenimy rozdział piąty.

- Edward Mumford? - Zajrzała do streszczenia. - Pediatra, który łąduje w areszcie za molestowanie swoich pacjentów?

- Tak.

- Ta książka jest zabawna.

- Tak, właśnie. I podejmiemy do tego zadania poważnie, krok po kroczku, i zrobimy wszystko, jak należy.

- Myślę, że faktycznie nie ma żadnych przeszkód, by okazało się, że Shakespeare zostawił po sobie jakichś amerykańskich potomków.

- Żadnych przeszkód.

- W Wirginii, powiedziałaś?

- Równie dobrze to mogła być Karolina Południowa. Wszystko jedno, byle rosła tam gdzie bawełna.

- Ale Mona mieszka w Nowym Jorku.

- Wiesz, ludzie mają skłonność do przemieszczania się. Zresztą jeśli niepokoją cię szczegóły, antenatka Mony, która spała z Szekspirem, może być Holenderką. Powiedzmy, że jej rodzina uciekła tymczasowo do Stratfordu nad Avonem, żeby uniknąć jakiegoś kryzysu „wiatrakowego” czy czegoś w tym rodzaju.

- Myślę, Jane, że masz rację. Zostawmy te szczegóły na później.

- Zgoda.

- Oczywiście, pomogę ci tak, jak będę umiała, i bardzo chciałabym być na bieżąco we wszystkim, co dotyczy tej książki, ale zdaję sobie sprawę, że Mona napisała do ciebie. Wiesz, że to może początek twojej kariery?

- Prawdę mówiąc, zaczynam na to liczyć.

- Jak ci się układa z Tolkienem? - spytał David, jak zawsze, kiedy się spotykaliśmy.

- Świetnie. Dużo radości, fantastyczny seks i nie pamiętam, żeby z kimkolwiek innym, odkąd poznałam ciebie, tak dobrze mi się rozmawiało. Widzę, jaki jest, i kocham to, pozwalam mu widzieć, jaka ja jestem, a on wciąż potrafi to kochać...

- Jedyny problem w tym, że nie możesz mu powiedzieć o tej maskaradzie z ciążą, bo wtedy pomyślałby, że jesteś nieuczciwa, a do tego kompletnie zblizkowana.

- Fakt.

- Powinnaś go tu kiedyś przyprowadzić, żebyśmy mogli się poznać - powiedział Christopher, który przeprowadził się na stałe do Davida. Ich związek rozkwitał w alarmująco szybkim i zdrowym tempie.

- Tak, naprawdę powinnaś to zrobić - poparł go z entuzjazmem David, obejmując delikatnie Christophera. - Może zdołalibyśmy wpłynąć na was oboje, on poprosiłby cię o rękę, a ty powiedziałabyś „tak” i porzuciła w diabły swój idiotyczny plan.

Nigdy nie umiałam robić niczego po łebkach, taki już miałam los: zamiast jednej dobrej wróżki, mnie jakimś cudem trafiły się dwie.

- Myślę, że zgodziliśmy się już, że to wszystko twoja wina - zwróciłam się do Davida. - W końcu to ty zrobiłeś z tej udawanej ciąży rodzaj zakładu między nami.

- Ja...

- Mógłbyś mi podać te nożyczki? - poprosiłam Christophera, który usiadł obok mnie przy stole, z butelką piwa w ręku.

- Co ty robisz z tymi niedoświetlonymi zdjęciami? - spytał od niechcienia, spełniając moją prośbę.

- Robię swoje własne zdjęcia sonograficzne - odpowiedziałam, przycinając krawędź.

- Co takiego?

Powtórzenie tych samych słów w najmniejszym stopniu ich nie oświeciło, wytłumaczyłam więc, jak to od dnia swojej wizyty w przychodni dwa miesiące temu próbowałam zdobyć zdjęcia USG jakiegoś płodu, żeby pokazać je ludziom z pracy.

- Zdajesz sobie sprawę, Jane - zauważył Christopher - że te twoje niedoświetlone fotki w niczym nie przypominają prawdziwego dziecka.

- Tak, wiem. Ale zapewniam was, że prawdziwe obrazy USG też nie przypominają dziecka.

- Ale są na nich różne dane.

- Jakie dane?

- No wiesz, takie rzeczy jak imię i nazwisko pacjentki, data i godzina badania, nazwa gabinetu, w którym były robione...

Kiedy zagłębiał się w dalsze szczegóły, łącznie z wymiarami w centymetrach, zaczęłam się zastanawiać, czy on przypadkiem nie jest spokrewniony ze Stanem z księgowości i jego płodnymi siostrami.

- Jeśli ktoś o to zapyta - powiedziałam, przyglądając się swojemu rękodziełu - powiem, że Madame Zora zrobiła je na nowej maszynie, którą sobie sprawiła, uznając rewolucję technologiczną, ale nie lubi opisywać swoich zdjęć tak jak wszyscy inni. Powiem, że zamiast tych nadruków i wymiarów, o których wspomniałeś, woli stosować magiczne symbole chroniące konkretną pacjentkę przed złymi mocami.

- Jane, jesteś chorą, bardzo chorą kobietą - powiedział David.

Wytrzymałam przez moment jego spojrzenie i uśmiechnęłam się, czując błysk we własnych oczach, kiedy pomyślałam, jak cudownie będzie wyglądała moja artystyczna robótka w biurze.

- Tak, wiem o tym.

Tolkien leniwie gładził moją rękę, a ja leżałam naga, zwinięta w kłębek u jego boku z głową wtuloną w fantastyczny męski tors. To było zawsze jak objawienie - myśl, że choć za każdym razem te same części ciała angażujemy w takie same podstawowe czynności, seks z właściwą osobą może być źródłem nieustającego zdumienia, bo przy każdym spotkaniu, każdym dotknięciu odkrywa się jej nowe oblicza.

- Mmm - wymruczałam.

- Mmm.

- Uwielbiam tu z tobą być, właśnie tak. - Pomruczałam jeszcze trochę, nareszcie bez lęku, że jeśli powiem mężczyźnie, co naprawdę czuję, natychmiast go odstraszę.

- Ja też - szepnął, i wiedziałam, że to prawda. Potem odsunął się nieco i spojrzał na mnie z góry. - A wiesz, co jeszcze mi się marzy?

- Mmm... co?

- Chciałbym poznać twoją rodzinę.

To mnie błyskawicznie wyrwało z mrucliwego nastroju.

- Co?

- Twoją rodzinę, Jane. Chciałbym ich poznać. - Uśmiechnął się. - Wiesz, to normalne u ludzi, którzy spotykają się i zaczynają czuć to, co my czujemy.

- Chyba o tym nie pomyślałam.

- Nie wyglądasz na przekonaną.

- No tak, gdybyś znał moją matkę i siostrę, nie byłbyś przekonany, czy chcesz je poznać.

- Chodzi o to, że wprawiają cię w zażenowanie? Jeśli tak, z pewnością mogę to zrozumieć. Wierz mi, mając rodziców, którzy przerobili samych siebie na Elronda i Galadriela, a mnie zmienili imię na Tolkien, z ręką na sercu mogę powiedzieć, że wiem, jakie to może być przykre.

- Och - uśmiechnęłam się ponuro - to może być jeszcze bardziej przykre niż w twoim przypadku.

- Wspominałaś kilka razy, że twoim stosunkom z matką i z Sophie czegoś wyraźnie brakuje. Nie sądzisz, że obie cieszyłyby się z twojego szczęścia? Nawet Elrond i Galadriela, przy całym swoim dziwactwie, są zawsze szczęśliwi, kiedy mnie jest dobrze.

Zastanowiłam się poważnie nad tym, co powiedziały: czy moja matka i Sophie cieszyłyby się z mojego szczęścia? Pokręciłam głową. Nie umiałam na to odpowiedzieć. I może to właśnie było najsmutniejsze, że nie miałam żadnej pewności, czy moja rodzina byłaby szczęśliwa z powodu mojego szczęścia.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem, jak by to przyjęły.

Nie wspominając o tym, upominał mnie wewnętrzny głos, że to nie była właściwa pora, żeby dopuścić do kolizji moich dwóch światów: normalnego, w którym byłam z Tolkienem, i tego, w którym byłam w ciąży.

- A ludzie, z którymi pracujesz?

- Nie - powiedziałam, znów myśląc o problemie kolizji dwóch światów. - Oni też nie są zbyt zabawni.

- Aha. - Wydawał się tak bardzo rozczarowany.

- Hej! - Rozpromieniłam się. - Już wiem!

- Tak?

- Są ludzie, z którymi chciałabym cię poznać.

Twierdzenie, że nie różnię się od innych, mogłoby się wydawać nieco naciągane, wiem, ale jest przynajmniej jedna rzecz, która upodabnia mnie do reszty ludzkości: kiedy okazało się, że jestem beznadziejnie zakochana i że

to uczucie jest odwzajemnione, miałam ochotę wykrzy-
czeć tę prawdę całemu światu. Problem polegał na tym, że
moje codzienne życie było zbudowane na takim steku
kłamstw, że nie miałam prawie nikogo, z kim mogłabym
się podzielić dobrymi wieściami.

Gdybym prowadziła inne życie, gdybym była człon-
kiem innej rodziny, bez zastanowienia przyprowadziła-
bym Tolkiena do domu, żeby poznał wszystkich moich
bliskich.

Ale było, jak było, i musiałam się zdać na jedyną osobę,
która znała więcej prawdy o moim życiu niż wszyscy inni,
oraz mężczyznę, którego on kochał. Innymi słowy, za-
prosiłam Tolkiena do domu, żeby poznał...

- Tolkien, to jest David. David, Tolkien. Och, a tam jest
Davida Christopher.

Na tę specjalną okazję David zaproponował skorzy-
stanie z ich mieszkania, wychodząc z założenia, że, po
pierwsze, łatwiej mu będzie gotować we własnej kuchni
niż w mojej, a po drugie, że dobrze będzie, jeśli piętro, na
którym mieszkałam ja, posłuży za strefę buforową pomię-
dzy poziomem, na którym będziemy my, a wścibskimi
Marcusami.

Na dobrą sprawę mogłam była uprzedzić Tolkiena, że
mój najlepszy przyjaciel jest gejem i izraelskim eks-pilo-
tem myśliwca, a jego towarzysz - męskim kochankiem,
ale nie zrobiłam tego, sądząc, że dla Tolkiena to nie będzie
istotne. I nie było. Dla Tolkiena liczyło się głównie to, że
ceniłam Davida bardziej niż wszystkich innych znanych
mi ludzi. Reszta jego CV była po prostu zbiorem nie
najważniejszych szczegółów.

- David jest wspaniały - wyszeptał mi entuzjastyczne
oświadczenie, pochylając się nad stołem, kiedy Christopher
pomagał Davidowi wymienić przystawki na dania główne.

- Co ci się w nim najbardziej podoba? - spytałam
zaciekawiona. Nie było dla mnie rzeczą zwyczajną, żeby
mój chłopak uwielbiał mojego najlepszego przyjaciela

- Trevor go nienawidzi! - więc naprawdę chciałam wiedzieć.

- Poczekaj... - Zastanawiał się przez chwilę, potem przewrócił oczami. - Potrafi gotować.

- Tak, robi to z niesamowitym wdziękiem.

- O, i jeszcze taki drobiazg, że cię bezgranicznie uwielbia.

Rozpromieniłam się; byłam w siódmym niebie.

Po kolacji, po deserze, po którym mogłam się cieszyć, że przynajmniej mam na tyle rozumu, żeby wiedzieć, że mężczyźni zawsze lubią, gdy kobieta dzieli z nimi deser, zamiast wykręcać się dietą nawet podczas tak ważnych okazji jak ta, zostawiłam Tolkienu, żeby pomógł Christopherowi podziwiać kolekcję płyt CD, a ja, pod pretekstem, że chcę jeszcze trochę wina, poszłam do kuchni przyprzeć do muru Davida.

- No i co? - spytałam, wstrzymując oddech z lęku przed werdyktem. - Co o tym myślisz?

- Naprawdę chcesz wiedzieć, Jane?

- Tak - odpowiedziałam ostrożnie.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, co myślę o Tolkienie?

- Tak! - Zaczynałam tracić cierpliwość.

- Myślę, że... - Oparł się plecami o zamknięte drzwi lodówki.

- Tak?

- Myślę, że gdyby nie to, że znalazłem już miłość swojego życia, i gdyby nie to, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką, sam bym na niego poleciał.

- Ale on nie jest gejem.

- Drobiazg. - Uśmiechnął się, wzruszył ramionami.

- Naprawdę?! - wykrzyknęłam, na darmo próbując się pohamować. Miałam ochotę skakać w górę i w dół jak kiedyś dziewczyny w biurze, ale próbowałam już tego numeru z Davidem i nie wzbudziłam jego entuzjazmu.

- Naprawdę tak bardzo podoba ci się Tolkien?

- Tak, naprawdę.

- Ale dlaczego? - Nagle znów spoważniałam. - Dlaczego go polubiłeś?

- Bo on jest taki... hm, jak by ci to powiedzieć delikatnie, żebyś nie poczuła się urażona? - I tu uśmiechnął się diabelsko. - Bo on tak zupeeełnie nie przypomina Trevo-
ra.

Dodo, moja szefowa, po raz pierwszy zaprosiła mnie do swojego mieszkania. Gospodyni wyszła do kuchni po drinki, a ja przysiadłam nerwowo na krawędzi wyściełanej atłasem kanapy, uważając, żeby ze swoim sterującym sztucznym brzuchem nie stracić równowagi i nie upaść na szenilowy dywan.

Drinki zostały wniesione na małej srebrnej tacy.

- Jesteś pewna, że chcesz tylko wodę? - spytała, stawiając przede mną kryształową szklankę.

- Tak, dziękuję - odpowiedziałam, patrząc pożądliwie, jak zestawia z tacy wysoką, szlachetnie wyglądającą butelkę czerwonego wina.

Napełniwszy swój połyskujący kieliszek, usiadła po rurecku na dywanie po drugiej stronie stolika.

Pierwszy kieliszek.

- Zawsze chciałam, żebyśmy były sobie bliższe, Jane, dlatego dzisiaj zaprosiłam cię tutaj.

- Mmm? - Pytająco.

- Odkąd nosisz to dziecko, czuję, że jesteś mi bliższa niż ktokolwiek inny w biurze.

- Mmm. - Refleksyjnie.

- Widzisz, ja nigdy nie miałam wielu przyjaciółek, a w niektórych chudych latach mojego życia - wręcz żadnej.

- Mmm. - Z emfazą.

- I nigdy nie miałam siostry.

- Mmm. - Tęsknie.

Drugi kieliszek.

- Wiesz, jak trudno jest nawiązywać znajomości

z mężczyznami, kiedy jest się na dość wysokim stanowisku, tak jak ja?

- Mmm. - Siłąć się na współczucie, ale całkiem nieskutecznie.

- Albo utrzymać z kimś zażyły związek, kiedy na przeszkodzie staje twój atrakcyjny wygląd?

- Mmm. - Znow z daremną próbą współczucia.

Trzeci kieliszek.

- Dlaczego ludzie tak się mnie boją?

- Mmm, nie wiem. - Ostatnie pytanie wymagało choć tak krótkiego rozwinięcia.

Dodo odstawiła gwałtownie szklanekę, cudem nie tłukąc delikatnego kryształu.

- Chcesz powiedzieć, że ty się nie boisz?

Wysiliłam umysł, bo wyglądało na to, że Dodo liczy tu na głębokie przemyślenie.

- Nie. - Wolno pokręciłam głową. - Z ręką na sercu, nie.

- Dlaczego nie?

Myślałam jeszcze chwilę o jej olśniewającej urodzie i błyskotliwej karierze - o tym, co miała ona w przeciwieństwie do mnie. I wtedy do mnie dotarło, jak puste jest jej życie, skoro na takie babskie pogaduchy musiała sobie wybrać akurat mnie.

Ale nie bardzo mogłam powiedzieć: „Bo twoje życie wydaje mi się takie puste”. No, nie mogłam, prawda? Więc zamiast tego powiedziałam:

- Nie wiem. Chyba jestem zbyt dojrzała, żeby pozwalać sobie na małostkową zazdrość czy zawiść.

Tak, wiem: dobrze, że to nie ja piłam wino, bo na pewno bym się nim zakrzuszyła.

Ale Dodo nie dostrzegła, najwyraźniej, niczego fałszywego w tym, co powiedziałam. Wyciągnęła rękę i pod wpływem impulsu ucisnęła swoją piękną, nieskazitelną dłońią moją dłoń pospolitą.

- Tak, wiem, Jane, jesteś dojrzałą osobą.

- To nieładnie żartować z ciężarnej kobiety.
- Nie, naprawdę tak uważam. I jesteś mądra.

Okej, teraz byłam pewna, że jest zalana w pestkę i że rano niewiele będzie z tej rozmowy pamiętała.

- Powiedz mi szczerze, Jane, co ty o tym wszystkim myślisz?

- O czym?

- O kobietach i karierach zawodowych, i romansach, i dzieciach... myślisz, że można mieć to wszystko?

Wierzyłam, że kobieta może odnieść sukces zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnym - niekoniecznie łatwo, ale może - tylko że w szczególnym, smutnym przypadku Dodo wydawało się, że ona pragnie tego wszystkiego tak rozpaczliwie, a jednak wciąż jej to jakoś umyka.

- Tak, myślę, że tak. Czasem trzeba na to po prostu więcej czasu.

- Ale ja nie mam zbyt wiele czasu, w każdym razie nie na dzieci, bo przecież jestem coraz... starsza.

Tym razem przykryłam jej dłoń swoją, nie wiedząc, co jeszcze mogę powiedzieć.

- Co tam - rozchmurzyła się - przynajmniej mogę się cieszyć, że ty niedługo będziesz miała dziecko.

- Elrond, Jane. Galadriela, Jane.

Okazało się, że poza domem w Barcelonie zamożni rodzice Tolkiena mieli też piękną posiadłość niedaleko Londynu.

Kiedy oboje wyszli z pokoju, szepnęłam do Tolkiena:

- Myślałam, że teraz są Ronem i Claire.

- Owszem, ale gdyby tobie rodzice dali na imię Tolkien, też byś korzystała z każdej okazji, żeby z nich zadrwić. Zresztą... - Wzruszył ramionami, kiedy pojawili się z powrotem w progu mahoniowego gabinetu, pchając stolik na kółkach z filiżankami do herbaty i trójkątnymi kanapkami - ...spodziewają się tego po mnie.

- Co mówiłeś, mój chłopcze? - Elrond-Ron przyklepał zaczesane do tyłu siwe włosy, które nie wymagały przyklepywania.

- Mówiłem Jane, jak tu pięknie, odkąd ty i mama przestaliście być hipisami i zajęliście się robieniem pieniędzy.

- Tak - zgodziła się Galadriela-Claire, równie zainteresowana jak jej mąż poprawianiem włosów, które nie wymagały poprawiania, w jej przypadku dorodnego kasztanowego koka. - Choć zauważyłam, że ty jeszcze nie połknąłeś bakcyła robienia pieniędzy.

- Nie. Wydaje mi się, że jedno z nas musi pozostać odszczepieńcem od ideałów establishmentu.

- Tak - powiedział Elrond-Ron - ale ty jesteś gliniarzem.

- Nie wiem. - Uśmiechnęłam się do Tolkiena i wzięłam go za rękę. - Może on jest po prostu jednym z tych antyestablishmentowych gliniarzy, takim, na którego każdy ma nadzieję trafić.

- Mają takich, kochanie? - spytała zdumiona Galadriela-Claire.

- Jestem pewien, że nie mieli takich, kiedy my byliśmy hipisami - powiedział Elrond-Ron.

- No cóż - dodałam - podejrzewam, że od tamtych czasów coś się jednak zmieniło na lepsze.

Galadriela-Claire, myśląc być może, że jedną z większych zmian na lepsze jest stosowanie manikiuru zamiast obnoszenie się z brudnymi paznokciami, wybuchła donośnym śmiechem.

- O tak, to prawda, zmieniło się.

- Tolkien powiedział, że pracujesz w wydawnictwie - powiedział Elrond-Ron.

- Owszem.

- Spore pieniądze można zarobić w tym biznesie, prawda?

Pomyślałam o swoim pakcie z Alice.

- Tak, to możliwe.

- Świetnie.

- Tato?

- Słucham, Tolkien.

- Jeśli wolno mi to powiedzieć, ty i mama koncentrujecie się coraz bardziej na pieniądzach. Czy nie tęsknicie czasem za swoimi... hm, jak to nazwać... ideałami?

- Ideały. - Elrond-Ron machnął ręką. - Miło jest je mieć, ale świat wciąż się zmienia, czasami podąża w kierunku, na który człowiek nie ma wpływu, a posiadanie, no cóż, zapewnia ci miłe poczucie bezpieczeństwa.

Galadriela-Claire pochyliła się do przodu z entuzjazmem w oczach.

- Tak jak my to widzimy, robimy teraz duże pieniądze i sprawia nam to radość. Potem, kiedy trzeba będzie umrzeć, zostawimy wszystko naszym ulubionym instytucjom charytatywnym. - Spojrzała prosto na Tolkiena, marszcząc z niepokojem starannie wyskubane brwi. - Nie masz nic przeciwko temu, kochanie, żebyśmy zapisali wszystko na cele dobroczynne zamiast tobie?

- Boże, skąd - odparł, najwyraźniej szczerze.

- A ty, Jane? - Elrond-Ron skierował spojrzenie na mnie. - Nie będziesz miała żalu - gestem ręki wskazał otaczający go życiowy luksus - jeśli rodzice Tolkiena zostawią wszystko na cele charytatywne?

- Boże, skąd - powtórzyłam za Tolkienem.

Elrond-Ron spojrzał na Tolkiena z uznaniem.

- Ależ mi się podoba ta dziewczyna - powiedział, wyjmując cygaro, i końcem tego cygara wskazując mnie, zanim je zapalił.

- Mnie też - przyznała Galadriela-Claire, po czym wyjęła cygaro z jego ręki i pociągnęła z przyjemnością.

- Zresztą... - Wzruszyłam ramionami. - Dlaczego miałabym mieć żal?

- Wyjdiesz za mnie?

- Czy co zrobię?

- Jane, pytam, czy za mnie wyjdiesz. Wiem, że jesteśmy z sobą dość krótko, ale mam uczucie, jakbym cię znał lepiej niż wszystkie inne kobiety, z którymi byłem w życiu.

Tamte inne kobiety nie mogły być zbyt otwarte.

- Jeśli cię przekonam, że upadłeś na głowę - odpowiedziałam - czy skłoni cię to do odłożenia tego szalonego pomysłu na trochę później?

- Nie. Nawet jeśli myślisz, że to szaleństwo, nie zmienię zdania. Zawsze uważałem, że głupotą jest marnowanie czasu na głupstwa - i tak mamy go na tym świecie nie za wiele. Przypuszczam, że czasami ludzie marnują czas, bo są zagubieni, ale jeśli ktoś już wie, czego chce, powinien odkryć swoje zamiary przy pierwszej nadarzającej się okazji. Tym, czego ja chcę, Jane, jesteś ty.

No i proszę, chwila, na którą, zdawało się, czekałam przez całe swoje życie: ktoś, kogo pragnęłam, pragnął mnie równie bardzo.

- I co, Jane? Jeśli powiesz „nie”, że to za wcześnie, zrozumieć, że tak naprawdę nigdy nie będziesz gotowa. Ja po prostu nie byłbym w stanie radzić sobie z takim uczuciem, wiedząc, że ono nie jest wzajemne. A jeśli czujesz do mnie to samo i mimo wszystko powiesz „nie”...

Gdybym za niego wyszła, musiałabym zrezygnować z dziecka, powiedzieć wszystkim, że coś poszło drastycznie źle. Pomyślałam o drobnych przywilejach w pracy, o tym, jak miło traktowały mnie Sophie i moja matka, i nawet o czekającej mnie za kilka tygodni imprezie z prezentami. Ale nie chodziło tak naprawdę o te wszystkie drobiazgi. Chodziło o to, że przez te kilka miesięcy przywiązałam się do swojego chorego pomysłu jak do niczego innego na świecie.

No i była, rzecz jasna, książka, którą pisałam.

Jak mogłam zrezygnować z marzenia teraz, kiedy byłam tak blisko sukcesu?

Powróciły kuszące słowa diablicy Alice i rozbrzmiały syrenim śpiewem w mojej głowie: „Przecież zawsze mówiłaś, że chciałybyś żyć z pisania.”

Potem usłyszałam głos swojej matki, wygłaszający mało oryginalną matczyną mądrość: „Uważaj, o co prosisz”.

Na co mój własny głos w głowie, mój własny głos wkurzony głosami diablicy Alice i mojej matki, odpowiedział: „Ble, ble, ble”.

Wtedy przysłała olśniewająca myśl: mogłabym machnąć na to wszystko ręką - przejawy rodzinnej troski, korzyści w pracy, prawdopodobny sukces książki - gdyby to znaczyło, że mogę mieć w zamian Tolkienu. To wydawało się takie proste.

W ślad za tym olśnieniem pojawiła się jednak trzeźwiąca refleksja, że to nie jest takie proste. Wycofanie się z mojego planu oznaczałoby, że muszę się ze wszystkiego wykręcić, a tego nie byłam jeszcze gotowa zrobić. W końcu nie mogłam wmówić ludziom, że wszystko to było ciężą urojoną, nie na tym etapie gry, tym bardziej że już na samym początku byłam na tyle błyskotliwa, żeby wymienić doktora Sheltona jako mojego położnika - błyskotliwego doktora Sheltona, który z pewnością był w stanie stwierdzić, czy kobieta jest naprawdę ciężarna czy tylko szalona.

I oto rzecz najtrudniejsza: wykręt, że „coś poszło źle”, który był naprawdę głównym problemem. Bo jeśli nie miałam odwagi się przyznać, że od początku kłamałam, a nikt by mi nie uwierzył, że to było jakieś nieporozumienie, jedynym wyjściem byłoby powiedzieć ludziom, że straciłam dziecko; nie straciłam w tym sensie, że „zupełnie nie pamiętam, gdzie je położyłam”, tylko straciłam, czyli „dziecko nie żyje”.

Ja po prostu nie potrafiłabym tego zrobić, i to nie tylko

z powodu bólu, który sprawiłabym takim ludziom jak Dodo, którzy zainwestowali w moją ciężą własną troskę, uwagę i, tak, miłość. Nie, nie tylko dlatego. To po prostu byłoby nieprzyzwoite; nieprzyzwoite z tego samego powodu, dla którego czułam się podle, przyjmując wyrazy współczucia od Stana z księgowości po tym, jak powiedziała mu, że zrobiłam amniopunkcję z powodu zagrożenia zespołem Downa.

Znów odezwała się ta moja zakręcona moralność z tendencją do dzielenia włosa na czworo: z czystym sumieniem akceptowałam niezasłużone zainteresowanie z powodu rzeczy pozytywnej, czyli ciąży, która była nieprawdziwa; ale nieprzyzwoitością było dla mnie wykorzystywać w tym samym celu coś, co dla zbyt wielu ludzi było prawdziwą tragedią.

Po prostu nie mogłam się na to zdobyć. Tolkien, mężczyzna moich marzeń, musiał odejść. Nie było innego wyjścia.

Swoją drogą, może to wcale nie było takie złe zakończenie, tłumaczyłam sobie później, kiedy już odszedł i kiedy zalałam się łzami. Gdybym miała wyjść za Tolkiena i gdyby moja matka namówiła go do powrotu do oryginalnego imienia i nazwiska, Donald John, co prawdopodobnie by zrobił, i gdybym wtedy przyjęła jego nazwisko, zostałabym Jane John, co gdy wymówi się to szybko, brzmi jak ding-dong, imitacja dźwięku dzwonka w ustach Chińczyka. W każdym razie w ten sposób próbowałam to racjonalizować.

Szkoda, że go kochałam.

Nie wiem, w jakim stopniu była to sublimacja uczuć po stracie Tolkiena, ale opanowała mnie prawie niekontrolowana potrzeba robienia porządków - z tego, co czytałam, syndrom dość powszechny u kobiet w drugim trymestrze ciąży, zwłaszcza pod koniec tego okresu.

To jeden z przejawów instynktu wicia gniazda i,

najwidoczniej, ciało samo dokładnie wie, jak długo będzie jeszcze zdolne do takiego wysiłku. Mnie ogarnął nastrój do sprzątanania wczesnym rankiem w sobotę pod koniec września. Związałam włosy w „koczek babuni”, znalazłam starą koszulę Trevora, której używałam, gdy razem malowaliśmy mieszkanie na łososiowy róż, a potem sącząc kawę, przeglądałam próbki kolorów, jakie dostałam w sklepie.

Co prawda, dojrzywałam do tego prawie przez trzy miesiące, ale nagle sobie uświadomiłam, że nie muszę dalej patrzeć na ściany w kolorze, którego nie znoszę. Postanowiłam przemaalować wszystkie pomieszczenia i tym razem - każde na inny kolor. Tym sposobem, gdybym nagle zapałała nienawiścią do jednego z kolorów, na które skazałam ściany - takiego, jaki trudno zmienić, na przykład czerwieni, granatu albo czerni - zawsze byłby inny pokój, gdzie mogłabym uciec. Oczywiście nie będąc ani idiotką, ani dwunastoletnią wielbicieleką Eminema, wykluczyłam czerwień, granat i czerń na korzyść bardziej przyjaznych odcieni brzoskwiowego (bliski łososiowemu, ale w małych dawkach nie budzi obrzydzenia), soczystej zieleni i fioletowo-różowego.

Odkładając na tak długo, jak to możliwe, realizację tego, co miałabym ochotę odłożyć na wieczną nieskończoność - zdałam sobie z tego sprawę, kiedy zaczęłam dosłownie wysysać resztki kawy - doszłam do wniosku, że jeśli chcę upiększyć swoje gniazdo malowaniem, powinnam się głęboko zaangażować w cały proces wicia gniazda, włączając w to bardziej obsesyjne wstępne sprzątanie.

Postanowiłam zacząć od sypialni. Choć należała ona do prywatnej części mieszkania i ewentualni nieliczni goście nie mieli szansy docenić moich wysiłków, było to jednak pierwsze wnętrze, które oglądałam każdego ranka i ostatnie po położeniu się do łóżka. Zaczęłam

od najłatwiejszego: pośłania łóżka, uprzątnięcia ciuchów i rupieci, a w czasie godzinnej przerwy - przejrzenia kolorowego magazynu, który kiedyś kupiłam, a potem o nim zapomniałam.

Cóż, na dobrą sprawę nie było sensu przesadzać z dokładnością ani zbyt szybko się śpieszyć; w końcu nie groził mi w tym witym gnieździe żaden lokator poza mną samą.

Od porządków z bielizną, brudnymi skarpetkami i „Jak nie pozwolić odejść twojemu mężczyźnie” (za późno!) naturalną i nieuniknioną koleją rzeczy przeszłam do czynności najbardziej przeze mnie znienawidzonej: ścierania kurzu, po czym jak najszybciej planowałam uruchomić odkurzacz. Pomyślałam jednak, że jeśli chcę, żeby moje malowanie przyniosło możliwie najlepszy efekt, powinnam odsunąć meble od ścian i odkurzyć też listwy przypodłogowe, aby żaden niewidoczny kurz nie zniweczył wrażenia idealnej gładkości, jakie miałam nadzieję uzyskać.

Toaletka okazała się niewielkim problemem, podobnie jak szafka z telewizorem, ale kiedy zabrałam się do łóżka - ciężkiego małżeńskiego łoża, które kupiłam na spółkę z Trevorem - zaczęłam żałować, że nie byłam mniej ambitna, zakładając, że aż tyle przestrzeni będzie wymagał nasz dynamiczny seks. Naprawdę, myślałam, dysząc z wysiłku, kiedy na zmianę próbowałam ciągnąć i pchać, gdybym wiedziała, że kiedyś będę zmuszona ruszyć je sama, zadowolilibym się seksem oralnym na japońskiej macie.

- Uff! - jęknęłam (wydając dźwięk całkiem podobny do tych, które wydawał kiedyś Trevor na tym właśnie łóżku), gdy w końcu udało mi się przepchnąć tylne nogi mebla ponad krawędzią tureckiego dywanu. Najtrudniejsze miałam za sobą.

Oparłam się plecami o ścianę, wykończona, i nagle mój wzrok padł na cienką teczkę, którą wilgotne, lepkie

powietrze musiało przykleić do ściany tam, gdzie przedtem przyciskało ją łóżko. Ta strona łóżka, po której przez dwa lata spał Trevor.

Dziwne, pomyślałam. W swoim gorączkowym pragnieniu, żeby uciec ode mnie jak najszybciej, niechcący zostawił tu cząstkę siebie. Zastanawiałam się, co to jest. Podczołgałam się do teczki, otworzyłam ją i zaczęłam wczytywać się w papiery.

Kiedy skończyłam, miałam całkiem nowe wyobrażenie o Trevorze Rhys-Daviesie, którego, jak sądziłam, znałam tak dobrze. Wzór cnót, pozostających jego zdaniem w ostрым kontraście z moimi pokrętnymi machinacjami, okazał się maklerem giełdowym, który wykorzystywał poufne informacje do nabijania własnej kiesy. Nic dziwnego, że mógł sobie pozwolić na tak bogatą kolekcję szelek do spodni.

Wszystko to prowadziło do firmy o nazwie Thames Waterways. I jeśli mnie wzrok nie mylił, trzymałam w rękach tego rodzaju informacje, za które pracodawca Trevora, nie mówiąc o urzędzie skarbowym, wiele by dali. Pierwszy dlatego, że nikt nie lubi, gdy podwładny próbuje wystrychnąć go na dudka (natychmiastowe skojarzenie z Constance); drugi - bo z ochotą wykorzystałby możliwość pobrania zaległych podatków od nielegalnych transakcji. Gdyby dobrali mu się do skóry, mogliby go zniszczyć finansowo i wsadzić za kratki.

Co tego Trevora naszło? Co go mogło opętać, że zdecydował się na tak ryzykowny krok? Nigdy nie zdradzał chęci do posiadania więcej, niż zapewniała mu praca. Czy była to tylko aberracja, jednorazowy wyskok, czy też w jego życiu kryło się więcej sekretnych rozdziałów? Można by pomyśleć, że tak przyzwoite pieniądze, które zarabiał, każdemu wystarczyłyby do szczęścia. Może nie były to kokosy, ale wystarczały na luksusowe życie. A jednak ciągle się słyszy, że chciwość ludzka jest niezaspokojona, więc może i w jego

przypadku, człowieka mającego do czynienia z tymi wszystkimi zawrotnymi interesami na co dzień, pokusa okazała się zbyt wielka.

No tak, pomyślałam, podnosząc się z podłogi z zamiarem schowania teczki pod skarpetkami, w najniższej szufladzie komody. Urząd skarbowy byłby tym wszystkim bardzo zainteresowany, ale to na pewno nie ja mu o tym powiem. W końcu Trevor, jak dotąd, nie zdradził mojej tajemnicy, więc byłoby nie fair rzucić go na pożarcie fiskusowi i prokuraturze. Zresztą, machnęłam ręką, miałam teraz ważniejsze rzeczy do roboty. Czekąco mnie przecież pomalowanie całego mieszkania.

Wielkie nieba! (Nigdy dotąd nie powiedziałam czegoś takiego). Moje dziecko miało już całe trzydzieści trzy centymetry długości - Boże, jak ono urosło! - i ważyło około ośmiuset gramów. Miało delikatną skórę, jak jego matka, poza tym ta skóra była lśniąca i nie miała podściółki tłuszczowej. Miało widoczne linie papilarne na palcach rączek i nóżek. (Westchnienie!). Zaczynało otwierać powieki i poruszać oczami. Gdyby urodziło się teraz, wymagałoby intensywnej opieki, ale było już w stanie przeżyć.

Gdyby zjawił się teraz ktoś, kto poddałby mnie intensywnej opiece, czy wyszłabym cało z tej paranoi?

trzeci trymestr

siódmy miesiąc

Trudno było uwierzyć, że moja matka - panie i panowie, pozwólcie, że powtórzę: moja matka - raczyła urządzić na moją cześć przyjęcie z prezentami w swoim domu, i nawet jakby ją trochę obchodziło, czy będę się dobrze bawić, czy nie.

Przystroiła pokój z wyjściem do ogrodu mnóstwem różowych gadżetów, a jeśli chodzi o listę gości, zaprosiła sześciopak znajomych Sophie ze szkoły rodzenia. Wszyscy oni mieli już własne maleńkie dzieci, co oznaczało, że przez całą imprezę odbywało się nieustanne zmienianie pieluch. Mama zaprosiła też oczywiście Sophie oraz Dodo, którą zdążyła poznać wcześniej. Próbowała wyciągnąć od Dodo nazwiska i telefony moich przyjaciół z pracy, ale Dodo, wiedząc, że za nic nie chciałabym się zmierzyć wzrokiem z Minervą albo z Constance, albo Louise czy Stanem z księgowości, ponad stertą smoczków i zużytych pieluch, powiedziała mojej matce, że cała redakcja jest w tym miesiącu na urlopie.

Kiedy uprzejmie pomogli mi usadowić się na kanapie, jak gdybym naprawdę była w siódmym miesiącu ciąży, powiodłam wzrokiem po przyjaciółkach Sophie. Wszystkie one - Pańcia Peg, nabzdyczona Trudy, nadgorliwa Dora, wymaskarowana Elizabeth, słodka Patty i Helena, która wróciła już do pracy w niepełnym wymiarze godzin - gdziekolwiek się ruszyły, wlokły ze sobą te małe

przenośne foteliki dla dzieci. Kiedy wszyscy zasiedli wokół wielkiego mahoniowego stołu, który moja matka poleciła Tony'emu wstawić na tę okazję do pokoju z wyjściem na ogród, przypominało to spotkanie Pięciu Rodzin z „Ojca Chrzestnego”, poza tym, że żadne z nas nie było gangsterem i że zamiast *consiglieri* każda kobieta miała dziecko siedzące tuż za nią po prawej stronie.

Nim się zorientowałam, zaczęło się wręczanie prezentów, które rozpakowywałam jeden po drugim, nie wiedząc, do czego większość z tych rzeczy służy. Jasne, że miałam za sobą wiele takich przyjęć, ale nigdy nie skupiałam uwagi na zawartości paczek z prezentami. Sama kupowałam przysłym matkom talony do właściwych sklepów, myślałam o niebieskich migdałach, kiedy one oglądały podarunki, jadłam sałatki, jeśli nie były zbyt kwaśne, jadłam jakieś ciasto, wypijałam tyle kieliszków wina, ile się dało, o ile dom był na tyle liberalny, że w ogóle podawano wino, i najwcześniej jak pozwalała na to etykieta, szłam do najbliższego pubu, żeby się kompletnie urząść.

Tak więc kiedy siedziałam tam, otwierając ślicznie opakowane prezenty dla mojego dziecka, robiłam, co mogłam, żeby nie wyglądać na kompletnie skonsterowaną.

- Och! - westchnęłam, przekonana, że w końcu coś rozpoznałam. Swoją drogą, wydałam na tej imprezie całe mnóstwo ochów i achów. Widziałam na innych tego rodzaju przyjęciach, że ludzie robią to bez przerwy, i pomyślałam, że jeśli ja też nie będę sobie żałowała, to może nikt nie zauważy mojego zakłopotania. - Oooch! Patrzcie, jaki piękny wzorek! Jakie piękne bawełniane pieluszki! A właśnie - dodałam ufnie - przyznam wam szczerze, że nie mam jeszcze wyrobionego zdania, czy lepsze są jednorazowe czy...

- To nie są pieluszki - przerwała mi Pańcia Peg. - Po każdym karmieniu dziecku musi się odbić, więc kładzie się to na ramię, żeby nie zapluło ci ubrania.

- Och, przepraszam. - Roześmiałam się, żeby ukryć zmieszanie. - Zresztą, co za różnica? To samo dziecko, inna wydzieliną, prawda?

Nikt nie wydawał się podzielać mojego zdania, więc szybko zabrałam się do następnej paczki, gdy nagle usłyszałam niepokojący dźwięk, ledwo wychwytywalny z chóru kobiecych ochów. Zawsze miałam nadzwyczajnie dobry słuch, czasem ku swojemu utrapieniu, bo do szaułu doprowadzało mnie buczenie lodówki albo dobiegający skądś głos mojej matki.

- Ciii! - uciszyłam wszystkie panie, czując, że to może być ważne. - Szybko! Party! - wrzasnęłam, kiedy już zlokalizowałam źródło dźwięku, a sama, ze swoim sztucznym brzuchem, nie byłam w stanie poderwać się dostatecznie szybko. - To mały Herbert! On chyba się dusi!

I tak też było. Dziecko Słodkiej Patty, malutki Herbert, dławiąc się czymś, co udało mu się wziąć do ust, zaczynał sinieć na twarzy.

Dodo, która potrafiła wykonać rękoczyn Heimlicha na każdym żywym stworzeniu, natychmiast przystąpiła do akcji. Po kilku sekundach, zanim Patty zdążyła wpaść w panikę, jakaś metka wypadła z ust Herberta, po czym dziecko, co zrozumiałe, zaczęło płakać.

Naprawdę dzieci są tak maleńkimi istotami, że mimo całego swojego niechlujstwa, z pewnością nadają się do tego, żeby poświęcać im baczność uwagę. Właśnie w tamtej chwili zrozumiałam rodziców opowiadających, jak to wracają ze szpitala ze swoim pierwszym dzieckiem i boją się zasnąć w obawie, że coś może się stać temu maleństwu, które jest całkowicie od nich zależne. Czasami dzieci naprawdę potrzebują kogoś, kto się o nie zatroszczy, prawda?

Kiedy uświadomiłam sobie nagle, że niebezpieczeństwo było tak blisko, sama miałam ochotę się rozpłakać. Jeśli chodzi o Patty, już tonęła we łzach i przerażonym, drżącym głosem przemawiała do Herberta, tuląc go rozpaczliwie, jak gdyby już nigdy więcej miała nie spuścić go z oczu.

- Och, Jane - wyrzuciła z siebie po tym, jak wymogła na niemówiącym Herbercie solenną obietnicę, że już nigdy nie przerazi śmiertelnie mamusi - jakim cudem ty go usłyszałaś w całym tym harmidrze? Uratowałaś życie mojemu dziecku.

- To nie ja, naprawdę. To Dodo stanęła na wysokości zadania dzięki temu, że zna wszystkie zabiegi ratownicze.

- Nie bądź taka skromna - powiedziała skromnie Dodo. - Ja wykonałam tylko część techniczną. Nikt by się nie zorientował, że Herbert jest w kłopotcie, gdybyś go nie usłyszała.

- Och, proszę cię, Jane - wsparła ją Elizabeth, która z rozmazaną łzami grubą warstwą mascary wyglądała jak szop prac. - Nie możesz udawać, że to nic takiego. Uratowałaś życie dziecku.

- Właściwie każdy mógł to zrobić - prychnęła Trudy. Cała grupa jak na komendę wbiła w nią wzrok.

- No, może nie każdy - przyznała szybko, bojąc się, że zostanie wysmarowana maścią na pieluszkowe odparzenia i wytarzana w wacikach. - Ale każdy z dobrym słuchem. Czytałam kiedyś, że z wiekiem, i to począwszy od pierwszych lat życia, obniża się poziom słuchu. Musicie przyznać, że Jane jest młoda, najmłodsza z nas wszystkich, więc dla niej to było łatwe.

- Nie gadaj bzdur. - Dora cmoknęła z irytacją. - Jane nie jest taka młoda, ma prawie trzydziestkę.

- Pewnie, że opowiadasz brednie, Trudy - wtrąciła Helena. - To Patty jest tu najmłodsza. Wszyscy wiedzą, że jest w wieku księcia Harry'ego.

Teraz wszystkie matki miały swoje dzieci na rękach, a Pańcia Peg, przystawiwszy swoją córeczkę (której również dano na imię Peg) do piersi, podjęła się roli rozjemcy.

- A ja myślę - powiedziała - że to świadczy po prostu o czymś, co podejrzewałam od początku. Jane jest urodzoną matką. Ona ma instynkt, a wiecie, że nie wszystkie kobiety są nim obdarzone, chociaż romantycy przekonywaliby was, że jest inaczej.

O rany, śpiewała zupełnie inaczej niż na przyjęciu u Sophie, kiedy zarzuciła mi, że jestem alkoholiczką. A jednak reszta towarzystwa kiwała zgodnie głową. Nie wiem, czy się naprawdę zgadzały, czy tylko bały się Peg.

- A co to było, swoją drogą - spytała Sophie - ta rzecz, którą wziął do buzi mały Herbert?

- Masz na myśli to? - Dodo pokazała na wprost przeżutą metkę, która wcześniej była przyczepiona do pluszowego zwierzaka - wielkiej różowej ośmiornicy, którą kupiła Trudy.

- Och! Takie rzeczy to po prostu śmierć! - Pańcia Peg niemal wrzasnęła, wskazując oskarżycielsko palcem inkryminowany przedmiot. Myślę, że spaliłaby na stosie tę winną wszystkiemu metkę, gdyby nie fakt, że otwarty ogień również stanowi pewne zagrożenie dla dzieci.

Rozgorzała dyskusja o zostawianiu przyczepionych do artykułów metek, bo przecież dziecko, z różnych powodów, zawsze ma ochotę wziąć coś takiego do buzi i może się zadławić. Oczywiście każda myśląca osoba - tu wszystkie zgromiły wzrokiem Trudy, co było naprawdę nie fair, bo to nie ona siedziała koło małego Herberta i nie ona otwierała prezenty - usunęłaby niebezpieczną metkę przed wręczeniem podarku.

Potem gładko przeszły na zawsze popularny temat eliminowania zagrożeń domowych, ze szczególnym naciskiem na wszelkiego rodzaju kable, urządzenia

elektryczne i optymalną wysokość, na której powinny być przechowywane artykuły chemiczne.

Temperatura rozmowy zdecydowanie się podniosła, gdy wzięły na tapetę ludową mądrość, wedle której w łóżeczku dziecięcym nie powinno być żadnej pościeli, typu kołderki i inne takie, bo dziecko może się udusić. („A co ja mam, do cholery, zrobić w środku zimy - pytała Trudy - pozwolić, żeby moje dziecko zamarzło?” - „Masz opłacić na czas swoje rachunki za ogrzewanie i podkręcić kaloryfery na tyle, żeby nie zamarzło”, powiedziała Peg).

Patrzyłam, wsłuchiwałam się w zgiełk kobiecych rozmów, i wkrótce zdałam sobie sprawę, że wszystko się zmieniło po tym, jak w porę udało mi się zwrócić uwagę Dodo na dławiącego się Herberta. Nagle, o dziwo, mimo że dalej nie miałam pojęcia, do czego służą te wszystkie związane z pielęgnacją niemowląt duperele, ludzie zaczęli mi mówić, najpierw Pańcia Peg, potem inne kobiety - tonem wskazującym na to, że szczerze tak myślą - że na pewno będę „fantastyczną, cudowną, absolutnie najlepszą matką pod słońcem”.

Słuchałam i nie mogłam się nadziwić. Co one, do diabła, we mnie widzą, czego ja nie widzę sama w sobie? Mnie by do głowy nie przyszło, by powiedzieć innej kobiecie, że wiem na pewno, że będzie dobrą matką. Najczęściej, kiedy widziałam ciążarną, kusiło mnie jak cholera, by chwycić ją za ramiona i powiedzieć: „Boże, jak już je urodzisz, to nie upuścisz go na głowę, prawda?” albo: „Nie sądzisz, że lepiej będzie oddać je do adopcji?” Nigdy nie pomyślałam, że można ocenić na oko, czy kobieta będzie dostatecznie dobrą matką. Zwykle myślałam, że powinien być jakiś paragraf na te, które w ogóle próbują. A tu proszę, wszystkie te kobiety, zebrane w jednym miejscu, wszystkie jak jeden mąż myślały, że ja...

- Och, Jane - westchnęła onieśmielona Patty i objęła mnie, wciąż tuląc w ramionach małego Herberta. - Chciałabym wierzyć, że będę choć w połowie tak dobrą matką dla Herberta, jak ty będziesz, wiem to na pewno, dla swojej córeczki.

Rozumiecie, o co mi chodzi? Te kobiety były kompletnie popieprzone.

A jednak zaczęłam czuć dziwne, niewyraźne łaskotanie w brzuchu, kiedy patrzyłam na niektóre prezenty: maleńkie ubranka; komórkę z Kubusiem Puchatkiem, Prosiaczkiem i Kłapouchym; skarpetki jak dla lalki.

Kompletna bzdura. Mnie to się wciąż kojarzyło ze śmierdzącymi pieluchami i ulewaniem.

Tego samego wieczoru miałam cudowny sen, co wydawało się o tyle dziwne, że jego głównym elementem było źródło moich najstraszniejszych koszmarów sennych: dziecko.

Trzy postacie wystąpiły w moim śnie: ja, mężczyzna, który miał coś w rodzaju chmurki zamiast twarzy i, w centrum zainteresowania nas obojga, dziecko nieokreślonej płci. (Czy mężczyzną o zamazanej twarzy był Tolkien? Chciałam tak myśleć. Lubiłam sobie wyobrażać, że gdyby w mojej przyszłości było miejsce na dziecko, to Tolkienowi udałoby się zostać jego ojcem).

Właściwie nie robiliśmy nic szczególnego, zupełnie nic, tylko zwykłe rzeczy, które rodziny niebędące rodzinami z powieści Tołstoja robią w książkach i na ekranie. Coś tam jedliśmy, w coś się bawiliśmy, w jakiś sposób troszczyliśmy się o siebie. A przy tym nie wyglądaliśmy wcale, ja i mój mężczyzna, na parę szczerzących się bezmyślnie zidiociałych prostaków, choć, owszem, wyglądaliśmy na ludzi, którzy cokolwiek robią, robią to dobrze i z zadowoleniem.

Kiedy około drugiej w nocy obudził mnie mój własny pęcherz, idąc do łazienki, miałam niezwykłe uczucie, że

ten sen był częścią jakiegoś odwiecznego rytuału więzi. Miałam wrażenie, jakbym przeszła pewną próbę i została zaakceptowana.

Chwilę później, zagrzebując się w pościeli i zapadając w sen, próbowałam wrócić do owego sielankowego miejsca, ale nie mogłam go znaleźć. Pojawiły się te same trzy postacie, tylko że tym razem to był świat Tołstoja. Och, nie mam na myśli wydarzeń rewolucyjnych ani ludzi rzucających się pod pociąg, nic aż tak dramatycznego, ale nie należeliśmy już do świata banalnie szczęśliwych rodzin.

A najgorszą rolę w tym wszystkim miałam ja.

Mężczyzna i dziecko nadal się świetnie sprawdzali, podczas gdy ja byłam uosobieniem nieudacznictwa i niekompetencji. Jeśli nie zapominałam czegoś zrobić, na przykład nakarmić dziecka, gubiłam rzeczy. W pewnym momencie zgubiłam nawet pierś, którą właśnie miałam nakarmić dziecko. Śniłam dalej swój koszmar, szukając jej wszędzie, aż w końcu znalazłam - zagrzebaną w przepelnionym koszu na brudy. Oczywiście, kiedy znalazłam tę swoją pierś, po dziecku nie było ani śladu.

Obudziłam się przed czwartą z wrzaskiem, na tyle głośnym, że Marcusowie zaczęli walić w sufit kijem od szczotki, zupełnie jak za czasów Trevora, ilekroć odgłosy naszych łóżkowych igraszek wskazywały na to, że bawimy się zbyt dobrze. W każdym razie, o zaśnięciu nie było mowy. Siedziałam, pijąc herbatę za herbatą, aż tak się rozdygotałam od przedawkowania kofeiny, że gotowa byłam lewitować. Uznałam w tym momencie, że pora jest na tyle przyzwoita, żeby zadzwonić do Sophie.

Nie wiem, naprawdę, dlaczego zwróciłam się do niej; może czasami tak bywa, że tylko siostra może pomóc, i jeśli ktoś ma siostrę, żywi nadzieję, że okaże się pomocna.

Nie dałam jej szansy na wyzalenie się, jak to człowiek

wciąż nie dosypia, kiedy jest matką małego dziecka, albo zwrócenie mi uwagi, że o tej porze dzwoni się tylko w awaryjnych sytuacjach.

- Och, Soph, śniły mi się straszne koszmary!

I opowiedziałam jej o głodnym dziecku, zgubionej piersi, koszu na brudy i zniknięciu dziecka.

- Ale to jeszcze nic! Najgorsze jest to, że zaledwie dwie godziny wcześniej miałam najcudowniejszy sen o szczęśliwej rodzinie. Jak można mieć tak krańcowo różne sny tej samej nocy? Czy ja zaczynam być psychiczna?

- Nie, Jane, nie zaczynasz być psychiczna - ziewnęła mi w ucho. - Po prostu jesteś w ciąży.

- Tak?

- A co, nie jesteś?

- Tak, oczywiście, że jestem. Chodziło mi o to... - Ale nie dała mi skończyć.

- Wszystkie ciężarne kobiety mają tego rodzaju sny.

- Naprawdę?

- Jasne, że tak. To jest związane z tymi wszystkimi mieszanymi uczuciami oczekiwania i niepokoju. Możesz mnie śmiało pytać - przerobiłam wszystkie po kolei. Na przykład śniło mi się, że jestem uwięziona w myjni samochodowej, co wyrażało strach, że dziecko odbierze mi wolność. Albo że zjadłam dwanaście porcji śliwkowego puddingu i popiłam to ćwiartką whisky, co było odbiciem mojej frustracji z powodu purytańsko restrykcyjnej diety. Albo że urodziłam dwudziestopięcioletniego piłkarza - dowód lęku, że nie poradzę sobie z małym dzieckiem. Mówię ci, Jane, wszystkie kobiety w ciąży przez to przechodzą.

- Więc dlaczego nigdy o tym nie mówią?

- Ty też byś się specjalnie nie chwaliła koszmarnym snem, w którym napadają cię bandyci i sfera dzikich zwierząt. I na twoim miejscu nie rozpowiadałabym ludziom o zgubionej piersi i koszu na brudy. - Ziewnęła

znowu, bardziej przeciągle. - Jane, mogę już wrócić do łóżka?

- Dobrze, ale powiedz mi jeszcze raz, dla mojego świętego spokoju - uważasz, że nie jestem psychiczna i że takie koszmary są naturalne?

- Tak, Jane. Powtarzam ci, że to zupełnie naturalne, że kobieta w ciąży miewa tego rodzaju sny.

Co, pomyślałam, odłożywszy słuchawkę, nie tłumaczy, dlaczego ja mam tego rodzaju sny.

Pozostała część książki Mony Shakespeare okazała się równie genialna jak początek.

- Masz na myśli „genialna” w znaczeniu, którego nienawidzę? - spytała Dodo. - Wiesz, że dostaję wysypki, kiedy włączam telewizję i człowiek zaczepiony na ulicy opisuje tym słowem wszystko od baru fish-and-chips po sposób, w jaki włosy Tony'ego Blaira rozwiewają się na wietrze. Kiedyś „genialny” odnosiło się do osoby albo dzieła niezwykle twórczego, nieprzeciętnego, wybitnego. Nie powiedziałybyś, że nowy fish-and-chips jest niezwykle twórczy, prawda? Ani że włosy Tony'ego Blaira wybitnie rozwiewają się na wietrze? - Jak na kogoś, kto spędził życie w świecie literatury, Dodo miała spore kłopoty z zaakceptowaniem elastyczności języka, podchodząc do niego bardziej jak do nauki niż jak do sztuki. I kiedy już przyczepiła się do jakiegoś słowa, trudno ją było pohamować. - Były czasy, kiedy Rachmaninow...

Miałam dosyć. Chwycałam ją za ramiona i lekko nią potrząsnęłam.

- To Rachmaninow, Dodo. Mona Shakespeare jest Rachmaninowem.

- Naprawdę?

- Tak. To „Rapsodia na temat Paganiniego”.

- Naprawdę?

- Jeśli możesz nazwać powieść komiczną, która ze

zjadliwym dowcipem traktuje o perypetiach współczesnej kobiety w wieku prokreacyjnym tak jak koncert fortepianowy... - Byłam w desperacji. - Nie, oczywiście, że to nie to samo! Ale to jest na swój sposób genialne! Na pewno nieprzeciętne! - Podrzuciłam jej tego Rachmaninowa tylko dlatego, że wiedziałam, jak bardzo go lubi.

- Nieprzeciętne? - Dodo zaczęła mięknąć, jej twarz przybrała charakterystyczny tęskny wyraz, znany zapewne wszystkim redaktorom świata. - Przyjemnie byłoby, dla odmiany, wydać coś, co jest nieprzeciętne.

- Tak, Dodo, jest, naprawdę jest, i mamy to już w całości. - Pomachałam jej przed nosem plikiem kartek. - Jest tu wszystko, na co liczyliśmy - kawałek o Mitchu, sfrustrowanym przewodniku...

- Ooo. Bardzo byłam ciekawa tego wątku.

- ...I o napalonym pediatrze...

- Moja matka miała dentystę, który się do niej przystawiał.

- ...Jest jeszcze ginekolog, który kocha swoją pracę, roznosiciel pizzy, który chce zostać astronautą, facet odpowiedzialny za segregowanie listów na pocztę, jeszcze jeden facet z jej pracy - starszy redaktor - który ma tak niski poziom plemników w spermie, że widzi ich związek jako swoją wielką szansę, choć on i Stacy od zawsze się nienawidzili, a jedynym powodem, dla którego poszli do łóżka, było to, że za ostro pohulali na firmowym bankiecie świątecznym. No i ostatni, ten, którego lubi matka Stacy. Masz, przeczytaj, wszyscy oni tu są, i przysięgam, że całość jest równie dobra, jak pierwsze trzy rozdziały.

- Och, Jane. To jest naprawdę to. To coś, dla czego żyjemy?

- Tak, myślę, że tak.

- Jeśli jest tak dobra, jak mówisz...

- To...

Uniosła rękę, żeby powstrzymać moje oburzenie.

- ...A jestem pewna, że tak, to myślę, że będziemy musiały ściągnąć tu panią Shakespeare na spotkanie. Wiesz, żeby nie wiem jak doskonała była ta powieść, zawsze trzeba będzie coś podszlifować, a przy tych pieniądzach, które, jak sobie wyobrażam, zarobimy na karierze pani Shakespeare, myślę, że Churchill & Stewart może sobie pozwolić na zafundowanie jej tygodniowego pobytu w Londynie.

Dodo trajkotała dalej, a ja sobie wyobraziłam, jak Mona Shakespeare w swojej ascetycznej nowojorskiej kawalerce dostaje e-mail, który odmieni jej życie. Niemal widziałam, jak siedzi przy swoim komputerze, ustawionym na stoliku do kart, koło jedyne go okna wychodzącego na ponury ceglany mur albo neonowy szyld, w którym zawsze brakowało jakiejś litery.

Okej, nieważne, jak wyglądała reszta mebli, ale od początku wyobrażałam sobie ściany zastawione regałami bibliotecznymi, z zawartością godną zagorzałej anglofilki. W zasięgu ręki miała świat Dickensa, świat Austen, świat obojga Fieldingów, Henry'ego i Helen, i wszystkich innych, którzy pisali wcześniej, później lub pomiędzy nimi. Rzecz w tym, że wszystko to miała tam, w Nowym Jorku - miejscu, o którym marzyłam od chwili, gdy usłyszałam po raz pierwszy, jak śpiewa o nim Frank Sinatra.

Boże! Czy nie cudownie byłoby mieszkać w Nowym Jorku? Albo przynajmniej polecieć tam na wakacje? Oczywiście, nie tak łatwo byłoby się przestawić. Nie byłam na tyle głupia, żeby sądzić, że to zupełnie jak Londyn, tylko większy i z gorszym akcentem. Nie, wiedziałam o złej architekturze, złych taksówkarzach i prawie do posiadania broni, na co mogło sobie pozwolić kompletnie wolne społeczeństwo. Wyobrażałam sobie, jak by to było. Pewnie ciągle bym się stykała z przemocą i musiałabym uważać, żeby nie zaplątać się w jakąś uliczną strzelaninę, ale sernik w Lindy's - jak ja o ty marzyłam!

- „Gumowy pantofelek” jest rzeczywiście genialny, Jane. - Dodo wyrwała mnie z rozmarzenia, przewracając radośnie strony. - Nawet lepszy od włosów Tony’ego Blaira.

Pod kilkoma względami życie układało mi się znakomicie.

Książka Mony Shakespeare była skazana na sukces, a ja byłam tą, która ją odkryła. To oznaczało, że wkrótce będę miała więcej pieniędzy, władzy i poważania w miejscu pracy, trzy rzeczy, na których zawsze mi zależało (które mogły być dobrym zabezpieczeniem na przyszłość, gdyby moja własna książka nie okazała się tak porażającym sukcesem, jak wciąż wróżyła mi szeptem do ucha diablica Alice).

Zdjęcie sonograficzne mojego dziecka, które trzymałam teraz na biurku, wyglądało świetnie i zawsze, kiedy byłam w swoim pokoju, ktoś je zauważał. I nawet nieźle wyglądałam w ciężowych ciuchach. Dlaczego więc byłam tak przygnębiona?

- Hej, koleżanko, dlaczego jesteś taka przygnębiona? - spytał David.

Siedzieliśmy we dwoje przy stoliku w jego salonie, pijąc piwo, podczas gdy Christopher robił odsiew w ich kolekcji płyt CD.

- Nie wiem - jęknęłam, ale nie byłam w stanie się powstrzymać.

- Może to po stracie Tolkiena.

Oczywiście, wszyscy wiedzieliśmy, że to jeden z powodów.

- Może przez to ciągłe udawanie w pracy albo z powodu bólu w krzyżu, którego się dorobiłam dźwiganiem szmacianego brzucha.

Wiedziałam, że i tak nie doczekam się ani współczucia, ani konstruktywnego krytycyzmu, dopóki nie porzucę swojego planu; który to, jak wszyscy wiemy, był tak

naprawdę planem Davida. No, powiedzmy. Brnęłam dalej.

- Nie wiem. Może to po prostu... paż-dzier-nik.

- O tak - odezwał się Christopher, nie odwracając głowy w naszą stronę. - W pełni jesienne miesiące liczące trzydzieści jeden dni mogą na człowieka tak działać.

- Urwał. - U2? Czy jest jakiś powód, dla którego mielibyśmy tego jeszcze kiedykolwiek słuchać?

David wzruszył ramionami.

- Nigdy nie mówiłem, że jest.

- Czy wy, ludzie, nigdy nie pracujecie? Myślałam, że macie jakąś restaurację czy coś.

- Mamy - przyznał David, pociągając długi łyk piwa. - Ale jest wtorek, a we wtorki restauracja jest zamknięta. Ty zawsze odwiedzasz nas we wtorek.

- Odwiedzasz nas we wtorki i wszyscy się upijamy - dodał Christopher.

- Potem chwiejnym kroczkiem wracasz do siebie - zaczął David.

- Ale najpierw musisz założyć sztuczne dziecko i odświeżyć oddech sprayem do ust, na wypadek, gdybyś wpadła po drodze na Marcusów, którzy wciąż myślą, że jesteś w ciąży - dokończył Christopher.

- Czy teraz, kiedy jesteście parą - spytałam cierpko - mam jeszcze szansę zobaczyć jednego z was, nie widząc drugiego?

- So-rry... - Christopher podniósł w końcu głowę - ...ale trudno, żebym gdzieś zniknął, skoro tu teraz mieszkam.

Gapiłam się na niego twardym wzrokiem, dopóki pierwszy nie zamrugał.

- So-rry - powtórzył, wychodząc do kuchni po następne piwo.

Dobrze, pomyślałam. Chociaż wyszedł tylko na chwilę, fakt, że w ogóle byłam w stanie go do tego zmusić, sprawił, że poczułam się, jakbym brała na nim rewanż.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że straciłaś trochę swojego zwykłego szwungu - powiedział David, kiedy dałam mu to do zrozumienia.

Może właśnie to mnie tak martwi, pomyślałam.

- Naprawdę sądzisz - napierał - że życie tak cię zdołowało przez ostatnie miesiące?

- Hm...

- I jesteś pewna, że to nie jest jakaś paranoidalna schizofreniczna fantazja z twojej strony, poczynając od faktu, że ciągle się czujesz, jakbyś brała udział w jakiejś rywalizacji słownej z Christopherem...

- Hej, ktoś mnie woła? - zagrzemiał z kuchni Christopher.

- Skończ swoje piwo! - krzyknęłam.

- ...co dziwnie zaczęło przypominać twoją potrzebę udawania ciąży? - David dokończył swoje pytanie.

- Chcesz powiedzieć, że nie zauważasz w ostatnich miesiącach miłszej, łagodniejszej Jane? - odparowałam.

- Możliwe. - David uśmiechnął się. - Ale to takie gadanie kobiety w ciąży.

Zapewnienia Sophie, że koszmary senne są zupełnie normalnym zjawiskiem u kobiet w ciąży, nie zmniejszyły mojego lęku, że popadam w pełnoobjawową psychozę. Wierzyłam jej, co prawda, że wszystkie koszmarne sny, których doświadczam, powoduje tajny niepokój o moją przyszłość, ale odkąd zaczęły mnie dręczyć noc w noc, naprawdę obawiałam się o swoje zdrowie psychiczne. Tolkien byłby doskonałym współczującym powiernikiem, ale on niestety odszedł z mojego życia na dobre, a choć korciło mnie, żeby podzielić się swoim problemem z ludźmi z pracy, bałam się, że gdy usłyszą na przykład o dziecku z widłami i ogonem, oni również zaczną się obawiać o stan mojego umysłu.

I tak doszło do tego, że pewnego październikowego

dnia udałam się do londyńskiego przybytku wiedzy tajemnej - na targowisko w Covent Garden. Przedzierając się przez tłum turystów, omijałam wszystkich chiromantów, sprzedawców podejrzanej żywności i ulicznych artystów. Ale tego dnia nie interesowało mnie też głupie wróżenie z herbacianych fusów, tanie dodatki odzieżowe ani następna odpustowa Mona Lisa; szukałam ostatniej deski ratunku wszystkich londyńskich dwudziestokilkulatek, które znalazły się w tarapatach - szukałam autentycznej wróżki stawiającej tarota. Co nie było takie łatwe, jak by się mogło wydawać.

Wykluczyłam wszystkie te, które oprócz talii stu siedemdziesięciu ośmiu Wielkich i Małych Arkanów wystawiały kryształowe kule albo starożytne runy; wychodziłam z założenia, że skoro parający się czytaniem przyszłości sam nie ma doskonałej wiary w to, co niepojęte, dlaczego ja miałabym mieć?

Omijałam też wróżki mówiące z wyraźnie fałszywym wschodnioeuropejskim akcentem, myśląc sobie, że jeśli mam wręczyć swoje pieniądze oszustce, to przynajmniej wolałabym się dowiedzieć o tym po fakcie. Nic dziwnego, że przy takiej wybredności, z jaką podeszłam do sprawy, pozostawało mi niewiele do wyboru.

„Niewiele do wyboru" okazało się otyłą karlicą w nieokreślonym starszym wieku, z grubymi puklami siwych włosów, które wystawały spod jarmarcznego nakrycia głowy. Kolorowe sute spódnice w żadnym wypadku nie wydłużały jej sylwetki, a złote łańcuszki, bransolety i zwisające kolczyki grały każde na własną nutę. Miała haczykowany nos, pomarszczoną twarz, jakby całe życie spędziła w kancerogennym środowisku, i zdumiewająco piękne szafirowe oczy wyzierające z głębi pofałdowanych powiek. Jej najbardziej szokującym znakiem szczególnym była jednak imponującej wielkości brodawka na czubku

brody, z której wyrastał pojedynczy, dość długi, ciemny włos.

Uraczyła mnie uśmiechem, który wystraszyłby każde małe dziecko.

- Pani, powróżyć? - zagadnęła mnie, siląc się na rumuński akcent, który brzmiał mi bardziej jak grecki i wydawał się równie fałszywy, jak jej biżuteria.

To było silniejsze ode mnie. Po prostu nie mogłam się powstrzymać. Jak gdyby moja ręka miała własny rozum, patrzyłam, jak się unosi i najpierw pociąga za pojedynczy włos, potem próbuje oderwać całą brodawkę. Widocznie mój rozum podpowiadał mojej ręce, że ta kobieta jest jeszcze jedną oszustką, a jej brodawka częścią przebrania pomagającego kantować naiwnych.

Jedną ręką pacnęła obronnie moją dłoń, drugą zaczęła rozcierać czerwony ślad na brodzie, w miejscu, z którego próbowałam usunąć coś, co okazało się prawdziwą brodawką.

- Pani, co z tobą? Jesteś szalona? - Jej oczy powędrowały w dół ku mojemu sterczącemu brzuchowi i zaiskrzyły się z satysfakcją.

Nie czekała, aż odpowiem na jej retoryczne pytanie.

- Nieważne. Siadaj, siadaj. - Wskazała rozkładane krzesło ustawione przy stoliku do kart, a kiedy posłusznie usiadłam, zajęła miejsce po przeciwnej stronie.

- Tobie - powiedziała, wyjmując z jakiejś kieszeni ukrytej w fałdach spódnicy najmniejszą talię kart, jaką widziałam w życiu - tobie wyczytam przyszłość za darmo.

- Co to jest? - Uniosłam się, patrząc z pogardą na miniaturowe karty, które podała mi do potasowania.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Miniaturowa talia tarota Connolly.

- Co?

- Słuchaj - westchnęła, naburmuszona - nawet ja robię ze strachu, kiedy używam talii Aleistera Crowleya.

Zaufaj mi. Jeśli trzymasz się z daleka od Czarnej Magii, Czarna Magia trzyma się z daleka od ciebie. Ale... - Kiwnęła w stronę brodatego mężczyzny, dżentelmena o złowrogim wyglądzie - ...jeśli chcesz zaryzykować, że zostaniesz zdechłą kozą wiszącą na swoim płocie z kutego żelaza, Hector zawsze jest do twoich usług.

- W porządku. - Wzdrygnęłam się pod spojrzeniem Hectora i odwróciłam do karlicy. - Zdam się na mini-tarota.

- Jak będziesz tasowała karty, skup się na głównym pytaniu, na które chcesz, żeby ci odpowiedziały.

Pomyślałam, że chcę wiedzieć, co przyniesie mi przyszłość. Czy to nie jest to, co każdy chce wiedzieć?

Kiedy oddałam jej potasowaną talię, bez słowa odwróciła pierwszą z dziesięciu kart, które miały utworzyć Krzyż Celtycki.

- Ta karta kryje ciebie - oświadczyła, kładąc kartę na środku stołu. - Och, pani! - Wyglądała na zachwyconą. - Dziewiątka Kielich!

Wizerunek mężczyzny na karcie przypominał portrety Jezusa z Ostatniej Wieczery. Przed nim było dziewięć złotych kielichów, jeden z kwiatem w środku, a nad głową mężczyzny - rozpięta pomiędzy dwiema kolumnami jońskimi gałąź kwitnącej winorośli.

- To dobrze... że Dziewiątka Kielich?

- O taaak! Znana jest jako Karta Pragnień i może oznaczać, że twoje pragnienie się spełni. - Ale szybko zaczęła uściślać. - Oczywiście najbardziej się to sprawdza, kiedy wypadnie na pozycji dziesiątej. Jeśli trafi się na każdej innej, trzeba czekać na resztę ułożenia, żeby wiedzieć, co znaczy.

Odkryła drugą kartę i ułożyła poprzecznie na pierwszej.

- Ta karta sprzeciwia ci się na dobre albo na złe.

Rysunek przedstawiał dwóch ciemnowłosych męż-

czyzn w długich szatach zwróconych do siebie twarzami. Może David i Christopher? Jeden pocierał podbródek i patrzył w bok, drugi trzymał werbel i miał na głowie czerwoną czapkę. Za nim był namiot, a u jego boku pień z wbitymi w niego dwoma mieczami.

- Dwójka Miecze. - Poruszyła poziomo ręką. - To znaczy, że wybór jest pomiędzy sześć jednego a pół tuzina drugiego. Musisz chwycić swój miecz indywidualności i maszerować w takt własnych werbli.

A nie to właśnie cały czas robiłam? Kto poza mną w Londynie zdobył się na numer z udawaną ciążą, żeby napisać o tym książkę? Ale może chodziło jej o małpiarstwo, które uprawiałam przez większość swojego życia?

Odkryła третią kartę, kładąc ją tuż pod pierwszą.

- Ta karta to jest fundament, źródło twojej obecnej sytuacji. Dwójka Monety.

Ta przypominała arlekina stojącego za rozsuniętą kurtyną na środku sceny wyłożonej czarno-białymi kafelkami. W obu rękach trzymał purpurową tarczę z pięcioramienną złotą gwiazdą, a ponad jego głową widniał jaskraworóżowy znak nieskończoności.

- Ta karta symbolizuje próbę godzenia dwóch sytuacji. Jeśli podejmiesz decyzję, więcej osiągniesz. To jest do zrobienia.

Dwie sytuacje. Czyżby mówiła o tym, jak przez cały czas udawałam, że jestem w ciąży, przed wszystkimi innymi, podczas gdy wobec Tolkiena grałam samą siebie, stwarzając sytuację, w której nie do pogodzenia były dwie sfery mojego życia? Ale podjęciem jakiej decyzji mogłabym pogodzić sytuację z udawaną ciążą i sytuację z Tolkienem?

Wyłożyła czwartą kartę, równoległe do pierwszej po lewej stronie, ale do góry nogami, więc musiałam przekręcić szyję, żeby zobaczyć obrazek. Starszy mężczyzna w spodniach z guzikami po bokach miał w sobie coś z dziadka ze szwajcarskich Alp w „Heidi”. Na

wpółotwartych drzwiach było osiem tarcz z pięciornymi gwiazdami i wiedziałam już, że to monety.

- Ta karta jest za tobą - powiedziała - albo prawie za tobą. To Ósemka Monety. W odwróconej pozycji oznacza, że nadajesz sprawom zły obrót i potrzebujesz pomocy.

- Ale to dobra wróżba! - wykrzyknęłam. - Jeśli zostawiam za sobą to „nadawanie sprawom złego obrotu”, to chyba dobrze, prawda? To musi znaczyć, że w przyszłości będę nadawać sprawom właściwy obrót.

Zanim mogłam powiedzieć coś więcej, odkryła piątą kartę, która też się ułożyła do góry nogami.

- Piąta karta jest twoim zwieńczeniem i może stać się rzeczywistością.

Wyciągnęłam szyję i zobaczyłam jasnowłosego młodego mężczyznę w czapce z piórem i złotym kielichem w dłoni. U jego stóp leżał kwiat, a za nim była wyskakująca z wody ryba.

- Walet Kielich w odwróconej pozycji oznacza, że w przyszłości ktoś ci udzieli wsparcia, prawdopodobnie młoda osoba.

Dziwne. Właściwie nie znałam bardzo młodych ludzi, bo starałam się ich unikać, chyba że w grę wchodziły dzieci, które widywałam w ostatnim czasie.

Wyłożyła szóstą kartę po prawej stronie pierwszej, tym razem w normalnej pozycji.

- Szósta karta jest przed tobą. W tym przypadku Wieża.

- Musi tak być? - spytałam lękliwie, patrząc na monumentalną budowlę ogarniętą pożarem z powodu bijących w nią piorunów. Z okien wieży wyskoczyło dwoje ludzi. Kobieta, bo byli to mężczyzna z kobietą, wyglądała tak, jak ja mogłabym wyglądać, gdybym nie farbowała włosów.

- Nie jest tak źle - uspokoiła mnie, choć czułam, że bez entuzjazmu. - To tylko znaczy, że musisz się dobrze

przyjrzeć swojemu życiu. Twoja sytuacja się zmieni i musisz być na to przygotowana.

Po prawej stronie podstawy Celtyckiego Krzyża położyła następną odwróconą kartę, ukazującą mężczyznę w szarej kamiennej wieży. W jednej ręce trzymał buławę, a w drugiej mały globus. W powietrzu unosiła się druga buława z dwoma ptakami, które przysiadły na jej szczycie.

- Siódma karta przedstawia twoje lęki, w twoim przypadku odwrócona Dwójka Buława. To pokazuje, że fundamenty, które położyłaś, nie przyniosą pożądaných rezultatów.

To już brzmiało naprawdę groźnie.

Ósma karta, nad siódmą, też wyszła z talii odwrócona. Również z kategorii buław, ale tym razem, poza trzcinami, łodzią wiosłową, dwoma mężczyznami i żaglówką w oddali, była jedna buława więcej niż na poprzedniej karcie.

- Hej! To Trójka Buława, następna karta z talii. Na pewno tego jakoś nie ustawiłaś?

- Sama je tasowałaś.

- No tak. W porządku.

- Ta karta przedstawia uczucia tych, którzy cię otaczają. W tej pozycji karta mówi, że twoje talenty, zdolności i wysiłki pójdą na marne, że potrzebny jest nowy kierunek.

- Ooo. To naprawdę pocieszające wiedzieć, że tak, w skrytości ducha, myślą o człowieku inni.

Wzruszyła ramionami.

Dziewiąta karta, którą umieściła nad ósmą, wyglądała dosyć atrakcyjnie w porównaniu z wszystkimi poprzednimi. Była to kobieta o królewskiej aparycji siedząca na tronie pośród kwiatów, z tiarą na głowie i berłem w dłoni, a w tle, koło fontanny, latał motyl.

- Dziewiąta karta, w tym wypadku Cesarzowa, symbolizuje twoje własne pozytywne uczucia. Cesarzowa

przynosi obietnicę rozwoju, dobrobytu i płodności. Oznacza spełnienie pragnień, radość i zadowolenie.

No, no, zdecydowanie lepiej. Może w tym całym przewidywaniu przyszłości było jednak coś na rzeczy.

Ale wtedy odwróciła dziesiątą kartę, swoją ostatnią rozstrzygającą kartę.

Nawet ja, ze swoim niewielkim doświadczeniem w stawianiu tarota, od razu rozpoznałam głupkowato wyglądającego mężczyznę w śmiesznych żółtych skarpetkach, z psem u nogi, który dziwnie przypominał pitbulla, stojącego na ukwieconej ścieżce przy rozstaju, niedaleko górskiej skarpy. Swoją drogą, karta była oznaczona numerem zero (wszystkie karty Wielkich Arkanów mają rzymską numerację) i opisana proroczym słowem: Głupiec.

- Jak śmiesz! - krzyknęłam, zrywając się z krzesła.
- Nie będziesz mnie nazywała głupcem!

- Nie ja to mówię, ale karta. I nie nazywa cię głupcem. Ona tylko przedstawia głupca. Co znaczy, że znajdziesz się na rozdrożu. Twoja decyzja, kiedy już tam dotrzesz, może być bardzo ważna, więc musisz się dobrze zastanowić.

- Nie obchodzi mnie to, co mówisz o kartach. Nigdy w życiu nie zostałam tak obrażona. Głupiec? Głupiec jako ostateczne rozstrzygnięcie?

Rozłożyła szeroko ręce.

- Karty...

- Żądam zwrotu pieniędzy.

- No cóż... - Wzruszyła ramionami, zbierając ze stolika karty. - Nic mi nie zapłaciłaś, więc jesteśmy kwita. Ale, pamiętaj, karty nie kłamią - dodała z błyskiem w oczach, patrząc znacząco na mój brzuch - tylko ludzie.

Moje dziecko nabierało ciała, miało już tkankę tłuszczową. Z tego, co wiedziałam, w każdej chwili mogło zacząć ssać palec, czkać albo płakać. Zdecydowanie

odróżniało smak słodki od kwaśnego. Reagowało na światło, dźwięki, ból i inne bodźce. Było coraz mniej zależne od funkcjonowania łożyska - cokolwiek to, do diabła, mogło znaczyć - i zmniejszała się ilość płynu owodniowego. Najważniejsze było to, że gdybym urodziła je już teraz, pod koniec siódmego miesiąca, miałyby dużą szansę na przeżycie.

Jeśli chodzi o matkę, miała ogromne trudności z zasypianiem, choć nie z żadnego z powodów, które mogłby podejrzewać którykolwiek z szanowanych położników.

ósmym miesiącu

- Co masz zamiar zrobić z bólem?

- Słucham?

Siedziałam w swoim pokoju, czytając sobie grzecznie „Londyński Przegląd Książek” i zastanawiając się, dlaczego książki pewnych wydawców zawsze, bez względu na zawartość tematu, zbierają przychylne recenzje, podczas gdy reszta z nas stacza ciężkie boje, żeby przynajmniej nie traktowali nas jak stada baranów, kiedy Dodo wyskoczyła jak filip z konopi ze swoim głupim pytaniem o ból.

- Pytam oczywiście o poród. Wiem, jak bezkrytycznie, z całkiem niezrozumiałych powodów, uzależniłaś się od rad Madame Zither, ale przecież musisz liczyć się z możliwością, że będziesz miała ciężki kilkudniowy poród, jaki zdarza się pierworódkom, i żebyś nie wiem jak się teraz zarzekała, że nie chcesz żadnego sztucznego wspomaganie, zaczniesz wrzeszczeć i błagać o jakieś prochy - o ile będziesz miała kogo błagać. Wspominałaś już, że Madame Zygotę nie wierzy w znieczulenia, a ja ci powiem, że wątpię, czy jakiegokolwiek szanujące się środowisko lekarskie pozwoliłoby tej kobiecie dotknąć chociaż bandaży.

- Na szczęście zabrakło jej oddechu, co oznaczało, że zbliżamy się do końca diatryby. - Więc co ty, Jane, zrobisz, jeśli ból okaże się nie do zniesienia?

- Jak to - powiedziałam spokojnie - pozwolę jej zastosować hipnozę.

- Co? Masz na myśli... - I tu zaczęła znakomicie naśladować austriacki akcent: - „Patrz uważnie na mój kieszonkowy zegarek” i „Jesteś bardzo śpiąca” i „Kiedy się obudzisz, nie będziesz nawet pamiętała, że zrobiłaś z siebie kompletną idiotkę przed tymi wszystkimi ludźmi”? - Dalej mówiła już własnym głosem. - Jak ci wszyscy telewizyjni szarlatani i ci, którzy przekonują ludzi, że pomogą im rzucić palenie?

- Wiesz, zupełnie jakbyś mówiła o jakichś kanibalach z dżungli. A przecież o sugestii i sile woli uczą w każdej dobrej szkole rodzenia. W wypadku hipnozy osiąga się jedynie wyższy stopień sugestii. Madame Ziggurat mówi, że choć w rzeczywistości tylko dwadzieścia pięć procent dorosłych poddaje się hipnozie, ja jestem najbardziej wrażliwą na sugestię osobą, jaką poznała, i że w razie potrzeby będzie w stanie całkowicie wyeliminować u mnie świadomość bólu. Ćwiczyłyśmy to. Wiesz - dojrzałam do konkluzji - wbrew temu, co myślisz, Madame Ziggurat jest bardzo szanowaną profesjonalistką w swojej dziedzinie.

Twarz Dodo przybrała wyraz zdziwienia.

- Myślałam, że ona nazywa się Madame Zora.

- Owszem - odpowiedziałam chłodno - i chyba całe szczęście, że ta ciąża dobiega końca, bo nie będziesz się musiała martwić, że wyprztykasz się przed czasem z nazwisk na literę Z.

I nagle sobie uświadomiłam, że to naprawdę całe szczęście, że moja ciąża dobiega końca.

Od pewnego czasu byłam psychicznie rozdwojona. Z jednej strony odczuwałam nasilony lęk, nieróżniący się od tego, co może czuć prawdziwa matka przed zbliżającym się porodem. Doświadczałam też długich okresów samotności, kiedy martwiłam się, jaką będę matką, zupełnie, jakby to miało jakieś znaczenie. Z drugiej strony, chociaż wiedziałam, że koniec mojej tak zwanej ciąży będzie również oznaczał koniec życia, jakie dotąd znałam

- bywały chwile, kiedy chciałam mieć to wszystko za sobą.

Wiedząc, że restauracja jest zamknięta, bo jest wtorek, i wiedząc, że David wyszedł po jedzenie, nareszcie miałam okazję przyprzeć do muru Christophera.

- Dlaczego mnie nie lubisz? - zapytałam wprost, z rękami na biodrach.

Nawet na mnie nie spojrział, zajęty wybieraniem zapasu płyt na cały wieczór.

- Kto powiedział, że cię nie lubię?

- Daj spokój - powiedziałam z irytacją. - David mnie kocha, zawsze kochał, a ty... ty... ty mnie ledwie tolerujesz.

- No tak...

Podeszłam bliżej, stając nad jego głową.

- Chcę wiedzieć i nie wyjdę stąd, dopóki mi nie powiesz.

- Jane, naprawdę chcesz wiedzieć? - W końcu podniósł głowę i zrobiło to na mnie duże wrażenie - zobaczyć twarz tak podobną do twarzy Davida, w której było tyle wrogości do mnie.

Zastanawiałam się przez moment.

- Tak. Naprawdę chcę.

- W porządku. - Podniósł się z podłogi. - Powiem ci. Dlatego, że jesteś egoistyczną, egocentryczną kobietą i, wierz mi, oba te „ego” dotyczą nieco innych rzeczy. Jesteś absorbująca, niemądra i uparta jak osioł.

- Och, to wszystko? - Siliłam się na beztroski ton, ale wyszło nie najlepiej.

- Nie, Jane, to nie wszystko.

- W takim razie co jeszcze?

- Zachowujesz się okropnie wobec Davida.

- Ja...? - Mój głos podniósł się o wystarczająco dużo oktaw, żeby stworzyć własną stratosferyczną skalę.

- Wydzwaniaasz do niego o każdej porze, nie biorąc

f

pod uwagę jego rozkładu dnia. Obarczasz go swoimi kłopotami i nawet do głowy ci nie przyjdzie zapytać o jego własne.

- Ja...?

- Jezu, Jane, ty nawet nie wymawiasz prawidłowo jego imienia!

- Co? - Okej, może miał trochę racji z niektórymi innymi rzeczami, ale to?

- Jego imię, Jane, wymawia się Da-wiid, z akcentem na drugą sylabę.

- Żartujesz, prawda?

- Nie.

- A jak ja mówię?

- Da-wiid, z akcentem na „da”.

- Hm, hm - usłyszałam za sobą i odwróciłam się do Davida, który stał w progu pokoju, z torbą jedzenia na wynos pod pachą. Sądząc po jego minie, musiał tam być od kilku chwil.

- On żartuje, prawda?

David, bez specjalnego powodu, poczerwieniał.

- Nie. Niestety nie żartuje.

- Dlaczego mnie nigdy nie poprawiłeś? - Byłam oszołomiona.

- Bo to naprawdę nie miało znaczenia.

- Ale ja byłam dla ciebie okropna.

Machnął ręką.

- Mogłabym się spróbować poprawić.

Objął mnie.

- Jeśli ci się uda, w porządku. Jeśli nie, to dalej nie ma znaczenia.

- Dlaczego to nie ma znaczenia? - Wycofałam się z jego objęć. - Co ty takiego we mnie widzisz?

- No właśnie. - Christopher stanął przy nas jak ksiądz doglądający pocałunku panny młodej i pana młodego.

- Mnie też powiedz. Co ty takiego w niej widzisz?

- Widzę kogoś, kto spędził większość swojego życia

na poszukiwaniu miłości w wybitnie nieodpowiednich miejscach.

- Być może - powiedział Christopher - ale ona nie jest zbyt miła dla ludzi, z którymi pracuje, nie jest zbyt miła dla swojej rodziny i nie była zbyt miła dla Trevora.

- I co z tego? - David wzruszył ramionami. - Czy ktoś z nich dawał jej powody do tego, żeby była miła?

- Tak, Dodo - przyznałam.

- Wydaje mi się, że odwzajemniłaś w jakiś sposób jej życzliwość.

- Może.

- Czy widzisz w niej coś jeszcze? - prowokował Christopher.

- Tak. Widzę kobietę, która jest tak pełna życia jak żadna z tych, jakie kiedykolwiek poznałem, niech sobie ma swoje wady.

- Noo. - Christopher wyrzucił w górę ręce. - Powinieneś był mi wytłumaczyć to wszystko wcześniej. Jezu, ja też bym ją pokochał.

- Nie uwierzysz! - zapiała Dodo kilka dni później.

- W co?

Pomachała mi przed oczami wydrukiem jakiegoś e-maila.

- To od Mony Shakespeare! I nie uwierzysz - to, co trzymam w ręku, wyjaśnia, dlaczego już tyle czasu namawiamy ją, żeby tu przyleciała, i wszystko na nic!

- No więc? Powiesz mi wreszcie?

- Ona cierpi na pieprzoną agorafobię! Nasze nowe cudowne dziecko nie może do nas przyjechać, bo nie wychodzi nawet do skrzynki pocztowej!

Nagle wszystko się ułożyło w logiczną całość: fakt, że pewna Amerykanka odmówiła całkowicie gratisowego bezterminowego pobytu w pięciogwiazdkowym Connaught i fakt, że cała korespondencja od Mony Shakes-

peare, łącznie z jej dwustupięćdziesięciostronicowym dziełem, przychodziła w formie e-maili albo plikowych załączników do e-maili.

- Więc co my z tym zrobimy? - spytałam. - W końcu mówisz bez przerwy, że ta książka jest murowanym bestsellerem, ale wymaga kilku poważnych poprawek, które trzeba ustalić bezpośrednio z autorką. Swoją drogą.. czytałam artykuł w ich „Timesie” o tym, że pewien bestseller sprzed kilku lat był redagowany na odległość.

- Och, znasz mnie, Jane. Nie potrafię pracować na odległość, bez względu na to, czy udaje się to innym. Wiesz, że tylko wtedy jestem w swoim żywiole, kiedy mogę zaglądać autorowi przez ramię, kiedy on lub ona próbuje uwzględnić moje sugestie.

- Fakt. Więc pozostaje pytanie, co zrobimy, jeśli ona naprawdę nie przyjedzie?

Dopiero wtedy pomachała dwoma biletami na samolot, cała radosna i podniecona. Nie biorąc ich do ręki, mogłam się domyślić, że są to dwa powrotne bilety do Nowego Jorku.

Zerwałam się ze swojego obrotowego krzesła, nieświadoma, z jakim impetem mój ośmiomiesięczny brzuch podskoczył razem ze mną.

- Nie mówisz poważnie! - Teraz ja zapałam i zaczęłam podskakiwać jak dziewczynka na trampolinie, czego się oczywiście nauczyłam od swoich koleżanek z pracy. - Zawsze chciałam polecieć do Nowego Jorku! Nie mogę w to uwierzyć! - Przestałam skakać, wczepiając się w łokieć Dodo. - I naprawdę nie mogę uwierzyć w to, że ktoś jest tak głupi, żeby pozwolić sobie na agorafobię w Nowym Jorku. Czy ta Mona Shakespeare ma równo pod sufitem? Zresztą nieważne, jeśli dzięki temu nareszcie się tam znajdę! - Widząc zdumienie na twarzy Dodo, natychmiast ochłonełam. - O co chodzi?

- Ja lecę w przyszłym miesiącu do Nowego Jorku, ale ty nie lecisz ze mną - powiedziała to najłagodniej, jak

potrafiła. - Nie możesz. Twoja ciąża jest zbyt zaawansowana i jestem pewna, że nawet Madame Zanzibar nie pozwoliłaby ci wsiąść do samolotu. Co by się stało, gdybyś nagle gdzieś nad Ocenem Atlantyckim zaczęła rodzić?

- Powstrzymałabym się, aż byśmy wylądowali po drugiej stronie! - krzyknęłam z rozpaczą.

- Nad tym się nie da zapanować tak łatwo, jak myślisz. W końcu gdyby kobiety miały nad tym kontrolę i były w stanie decydować, kiedy zaczną rodzić i jak długo to będzie trwało, nie sądzisz, że znakomita większość z nich opowiedziałyby się za trzynastoma sekundami w deszczowe niedzielne popołudnie?

- Ale ja jestem w stanie to kontrolować! - wrzasnęłam, w nosie mając oczywistą słuszość zawartą w jej retorycznym pytaniu. - Cholernie byś się zdziwiła, jak świetnie potrafię panować nad tym, co się dzieje z moją ciążą!

- Tak, Jane, nie wątpię. Jesteś jedną z najsilniejszych kobiet, jakie znam. Gdybyś jednak mimo wszystko zaczęła rodzić nad Atlantykiem i gdybyś nie była w stanie tego kontrolować, co byś zrobiła, gdyby okazało się, że w samolocie nie ma ani jednej osoby, która umiałaby odebrać dziecko?

- Sama bym je odebrała! Gdybym musiała, zrobiłabym to sama na pieprzonej podłodze między fotelami!

- Tak, i jestem pewna, że reszcie pasażerów sprawiłoby to przyjemność. Nie, przykro mi, Jane, ale to nie wchodzi w grę. Nawet jeśli ty jesteś gotowa narazić na ryzyko zdrowie swoje i swojego dziecka - ja nie. - Delikatnie oderwała moje palce ściskające kurczowo jej łokieć. - Poza tym poprosiłam już Constance, żeby mi towarzyszyła, a ona była tak uprzejma, żeby się zgodzić.

- Constance? Tego małego trolla? To maleństwo o różnych odcieniach siatkówki pasujących do koloru ciuchów, tę, którą zawsze chciałyśmy wysłać po kawę, pod warunkiem, że ją zastaniemy przy jej cholernym biurku?

- Miałaś chyba na myśli soczewki. Siatkówka to zupełnie co innego. Swoją drogą, przypuszczam, że powodem, dla którego nazywa się je szkłami kontaktowymi jest...

- Wydaje ci się, że mam ochotę słuchać twojego wykładu naukowego? - Wymachiwałam w desperacji rękami, aż w końcu same mi opadły, z wyczerpania.

- Dlaczego, Dodo, dlaczego akurat Constance?

Zamiast patrzeć na mnie, Dodo oglądała swoje paznokcie.

- Może to umknęło twojej uwagi, Jane, jesteś w końcu tak zajęta innymi rzeczami, ale od pewnego czasu Constance naprawdę wzięła się do roboty.

Nasza Constance?

- To może zajęłaby się swoją robotą, jeśli jest w tym taka dobra?

Dodo puściła mimo uszu moją złośliwość.

- I nawet pozwoliłam sobie zwrócić na to uwagę Dexterowi Schlagerowi. On zgadza się ze mną i na następnym kolegium redakcyjnym ogłosimy, że ona zostanie moją nową młodszą redaktorką.

- Ale to ja jestem twoją młodszą redaktorką!

- Tak. Ale kiedy dziecko przyjdzie na świat, chociaż nie zdradziłaś jeszcze swoich dokładnych planów, wiem, że będziesz chciała wziąć jakiś urlop. Oczywiście masz u nas zapewnione miejsce pracy i wrócisz, kiedy sama zechcesz, ale ja na czas twojej nieobecności będę potrzebowała kogoś do pomocy. I jeszcze bardzo dobra wiadomość... - Teraz ona uczepiła się mojego ramienia.

- Dexter miał tak dobry dzień, kiedy z nim o tym rozmawiałam - wiesz, jeden z tych dni, kiedy nie szuka ręką włosów, których nie ma - że zgodził się, żebyś po powrocie z urlopu macierzyńskiego została samodzielną redaktorką! No? I co ty na to? Co o tym myślisz?

Opadłam z powrotem na krzesło. Pomyślałam, że byłoby to spełnienie jednego z moich najgorętszych marzeń, gdybym tylko po swoim „urlopie macierzyńskim”

mogła tu wrócić. Pomyślałam, że Constance, która nigdy nie będzie „moją Constance”, szykowała się do podróży, która uczciwie należała się mnie. A ja, zamiast szykować się do podróży, będę musiała spędzić swoje ostatnie tygodnie w Churchill & Stewart na wdrażaniu kogoś, kogo nie cierpiałam, do pracy, którą kochałam.

Zdarza się, że próba okpienia świata nie wychodzi człowiekowi na zdrowie.

Co tam, pocieszałam się, jak tylko wyjdzie „Szmaciane dziecko” i stanie się wielkim światowym bestsellerem, tłumaczonym na więcej języków niż Jean Auel czy Karol Marks, stać mnie będzie na wyskoczenie do Nowego Jorku w każdej chwili, kiedy mi się tylko zamarzy. Ba, może nawet przestanie mnie interesować redagowanie cudzych książek.

Nie mogąc polecieć do Nowego Jorku na spotkanie z autorką, którą sama odkryłam, postanowiłam utopić swoje smutki w herbacie u Ritza. Oczywiście była to rozrywka nastawiona na turystów i nieprawdopodobnie kosztowna - siedemnaście i pół funta za nadętego kelnera, herbatę w porcelanowej filiżance, tacę maleńkich kanapek, babeczek z dżemem i śmietaną Devonshire, i malusieńkich ciasteczek, które okazują się bardziej ponętne na oko niż w smaku - ale było to coś, czego nigdy przedtem nie robiłam.

Co prawda, od urodzenia mieszkałam w Londynie albo jego okolicach, ale podobnie jak nowojorczyk, któremu nigdy nie przychodzi do głowy oglądać Statuę Wolności, ja nie byłam w wielu miejscach, które na pewno odwiedziliby turyści, wiedząc, że przyjechali do Londynu tylko na tydzień.

Nie wiem, czego się spodziewałam po Ritzu, ale na pewno nie tego, że maitre d'hôtel zapyta, czy mam rezerwację.

- Rezerwację? Nie, oczywiście, że nie mam. Przyszłam na filiżankę herbaty.

- Przykro mi, madame, ale Ritz jest bardzo popularny i w zwyczaju jest dokonywać rezerwacji z dużym wyprzedzeniem.

- No tak. Trudno. - Byłam zirytowana. - Po prostu pójdę, och, nie wiem, może do Claridge's. - W Claridge's też nigdy nie byłam. - Tam zawsze jestem miłym gościem.

Odsunęłam się, żeby umożliwić następnej osobie z kolejki kontakt z gburom.

Możliwe, że do tego momentu niewielkie podium, które było stanowiskiem pracy szefa służby restauracyjnej, zasłaniało mój ośmiomiesięczny brzuch, bo nagle facet zmiękł.

- Madame, pani spodziewa się wkrótce dziecka?

- Nie sądzi pan - powiedziałam, z lekka urażona, klepiąc się po wystającym brzuchu odzianym tego dnia w pulower w kolorze marynarskiego granatu, z ozdóbką w formie czerwonej kotwiczki dla podkreślenia morskowego sznytu - że noszę tam zwinięte szmaty?

Odwróciłam się, żeby odejść, ale on obszedł podium i delikatnie ujął mnie pod ramię.

- Ależ, madame, dlaczego pani nic nie powiedziała?

- Jakoś nie przychodzi mi do głowy zaczynać rozmowy od: „Jestem w ciąży, przy którym stoliku mogę usiąść” albo „Jestem w ciąży, czy mogę liczyć na oliwki bez papryki” albo...

- Tak, doceniam to... - prowadził mnie do stolika - ...ale gdybym tylko wiedział... Doskonale rozumiem, jak ważne jest dla pani nienarodzonego dziecka, żeby było dobrze odżywiane. Och, ja po prostu kocham dzieci! - Podał mi krzesło, a potem przysunął je razem ze mną do stołu, tak blisko, że mój brzuch schował się całkiem pod blatem. - Przysyłam natychmiast Henriego z wózkiem naszych najlepszych specjałów. Aha, proszę nie zapominać... - pogroził mi palcem - ...nie wolno pani wybrać żadnej z herbat, które zawierają kofeinę. Kofeina bardzo szkodzi dziecku.

Chyba podobał mi się bardziej w roli gbuura.

A więc, nie, nie spodziewałam się bury za brak rezerwacji, ale oczekiwałam marmurowych schodów, imponujących kolumn i barokowej fontanny, które oglądałam wcześniej na filmie, i żadna z tych rzeczy mnie nie rozczarowała, gdy zobaczyłam je z bliska.

Ale czekała mnie druga rzecz, jakiej się nie spodziewałam, a która objawiła się w chwili, gdy kończyłam pierwszą filiżankę bezkofeinowej herbaty i ciepłą babeczkę, posmarowaną dżemem i gęstą śmietaną.

- Jane? Jane Taylor?

Choć nie słyszałam go kilka miesięcy, dokładnie od dnia, w którym powiedziałam, że nie wyjdę za niego za mąż, poznałabym ten głos na końcu świata.

- Tolkien!

Wyglądał doskonale. Wyglądał absolutnie tak samo.

W przejmującym mnie na wskroś podnieceniu niemal podskoczyłam na krzesło, rozlewając przy okazji trochę herbaty, co z kolei spowodowało, że podskoczyłam powtórnie, tym razem z odchyłonymi do tyłu plecami. Owym zgrabnym ruchem udało mi się odsłonić ośmiomiesięczny brzuch i upuścić trochę dżemu z bułeczki na pulower, wszystko za jednym zamachem.

Tolkien, dżentelmen w każdym calu, pomógł mi zebrać dżem z kotwiczki, cały czas mówiąc:

- Jane, nie masz pojęcia, ile razy w ciągu tych kilku miesięcy myślałem, żeby do ciebie zadzwonić. Codziennie patrzyłem na ten telefon... - I nagle zauważył.
- Boże, Jane. Ty jesteś w ciąży?

Zachichotałam nerwowo, odpowiadając tak samo jak gburowi kochającemu dzieci, że nie noszę w tym miejscu zwiniętych szmat.

- Ale co ty tu robisz - spytałam - w Ritzu?

- Aaa. - Zbył pytanie machnięciem ręki, wciąż osłupiały, i usiadł obok mnie. - Prowadzę inwigilację. Mają tu takiego paszę, który ciągle się u nich zatrzymuje, i są

przekonani, że kantuje ich na srebrze stołowym. Widocznie nawet Ritz musi kontrolować koszty.

- Ciekawa sprawa! Będziesz używał takich dziwnych przebrań jak to, które miałeś na sobie, kiedy cię poznałam?

- Dajmy temu spokój, Jane - powiedział nieco rozdrażnionym głosem. - To... to dziecko... czy ono może jest... moje?

Nie mogłam być pewna, ale wydało mi się, że w jego zdumionym spojrzeniu była nadzieja.

- Boże, nie! To znaczy... - dodałam łagodnie i przykryłam jego dłoń swoją, widząc, jak twarz mu zastyga w rozczarowaniu - jak mogłoby być twoje? Przypomnij sobie, kiedy ostatnio ze sobą byliśmy, i policz. Gdyby to było twoje dziecko i gdybym tak wyglądała już po dwóch czy trzech miesiącach, to do czasu, kiedy nasze dziecko by się urodziło, nadawałabym się do muzeum osobliwości.

- Oczywiście, masz rację. Teraz rozumiem... - Przyglądał mi się uważnie. - Czy to o to chodziło? Czy dlatego nie powiedziałaś „tak”, kiedy poprosiłem, żebyś za mnie wyszła?

Och, jak bardzo teraz żałowałam, że nie odpowiedziałam inaczej. Ale co mogłam powiedzieć teraz?

- Nie mogłam tego zrobić, prawda? Wiedząc to, co wiedziałam, a czego ty nie wiedziałeś.

- Och, Jane. Ty wciąż potrafisz kompletnie zamąć mi w głowie. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak postąpiłaś. Myślałaś, że jeśli powiesz, że jesteś w ciąży z innym mężczyzną - z kimś, z kim byłaś, zanim się poznaliśmy - czy myślałaś, że cię zostawię, że będę kochał cię i twoje dziecko choć trochę mniej?

Zobaczyłam odpowiedź w jego oczach. Nie, nie zostawiłby mnie i nie kochałby mnie.

- To prawda, co powiedziałaś wcześniej? Że codziennie myślałaś, żeby do mnie zadzwonić?

- Tak, Jane. Myślę o tobie bez przerwy. Myślę o tobie

codziennie. Myślę o tobie, śniąc. - Westchnął. - Myślę o tobie nawet wtedy, gdy nie wiem, że o tobie myślę.

Boże. Jak wiele straciłam. Jak wiele straciłam na własne życzenie...

Ale co mogłam teraz zrobić? Gdybym zerwała z siebie szmaciane dziecko, krzycząc: „Zobacz! Już wszystko dobrze! Ja po prostu nabierałam świat”, czy to by coś uratowało? Czy nadal chciałby się ze mną ożenić, wiedząc, że jestem czymś w rodzaju maniakalnego kłamcy, może nie tak groźnego jak ci serialowi mordercy, których produkują w Ameryce, ale zdolnego wymyślić stek kłamstw na użytek swojej rodziny i przyjaciół po to tylko, żeby móc: po pierwsze, usidlić faceta; po drugie, dostać coś, co uważałam za należny mi przydział czułości i troski; i po trzecie, sprzedać światowy bestseller oparty na własnych doświadczeniach szurniętej baby? Czy uznałby za okoliczność łagodzącą fakt, że przynajmniej nie posunęłam się do tego, żeby powiedzieć, że straciłam dziecko, gdy sztuczne dziecko przestałoby być potrzebne?

Jakoś nie mogłam w to uwierzyć.

Zapewne Tolkien Donald był najlepszym człowiekiem pod słońcem - na pewno był najlepszym człowiekiem, jakiego znałam - ale nie wyobrażałam sobie po prostu, żeby mógł machnąć ręką na tę rzekę kłamstw, w której tkwiłam od kilku miesięcy.

Oczywiście rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, plotkując o mojej pracy, o jego pracy, o zbliżających się świętach, ale kiedy miałam szansę powiedzieć: „Zrobiłam błąd, powinnam była ci ufać na tyle, żeby wyznać prawdę”, nie skorzystałam z niej i wtedy klamka zapadła, a reszta była tylko bólem dla nas obojga.

W pewnym momencie powiedział jeszcze:

- Nie wspomniałaś nic o udziale ojca w tym wszystkim, czy zamierza się angażować i czy w ogóle wie, ale pamiętam, że poznaliśmy się po tym, jak świeżo zerwałaś

z jakimś draniem. Tak czy inaczej, chcę ci powiedzieć... Gdybyś kiedyś czegokolwiek potrzebowała, czegoś, co łatwiej byłoby załatwić mężczyźnie, co mógłby zrobić dla ciebie przyjaciel...

Boże. Po tym wszystkim, co się stało, on wciąż mnie kochał.

Zawsze wiedziałam, że nie jestem najsympatyczniejszą kobietą, taką, którą chciałoby się kochać - i może to było sedno moich problemów, ta wiedza - i z pewnością nie da się wytłumaczyć, dlaczego głupcy zakochują się w tych, w których się zakochują, ale z jakichś powodów ten absolutnie, niewiarygodnie wspaniały mężczyzna pokochał właśnie mnie i do tej pory nie zdołał wybić sobie tego z głowy.

Musiałam przygryźć wargę, żeby się nie rozpłakać i nie powiedzieć prawdy.

Kiedy nadeszła pora, żeby zapłacić za herbatę, nie pozwoliłam zrobić tego Tolkienowi, mimo jego tłumaczeń, że powinnam teraz oszczędzać pieniądze, gdzie tylko mogę. Zapłaciłam honorowo swoje siedemnaście i pół funta, życzyłam mu sukcesu z paszą i wytoczyłam się z Ritza najszybciej, jak pozwalał mi na to brzuch, i dopiero potem zalałam się łzami.

Ludzie sobie wyobrażają, że ślub gejów wyróżnia się czymś szczególnym, ale tak nie jest.

Poza tym, że improwizowane zaślubiny Davida z Christopherem odbyły się w „Mięso! Mięso! MIĘSO!!!” i że ja byłam wystrojonym w smoking družbą w sali wypełnionej ciasno gejami, reszta wyglądała jak na każdym innym ślubie - z jedną jeszcze różnicą, że zważywszy na stopień otwartości i hojności ducha, jaką obaj wnosili do związku, zdawało się bardziej prawdopodobne, że będą żyć „długo i szczęśliwie”.

W miarę jak rozkwitał ich związek i David stawał się coraz bardziej i bardziej pewny Christophera, ja

zaczynałam mieć wątpliwości. Zaczynałam sobie mówić, że Christopher nie jest chyba właściwym partnerem dla mojego przyjaciela. Jak mógłby być, skoro sama jego obecność wprawiała mnie w rozdrażnienie?

Ale teraz zaczęłam to analizować i w końcu w mojej małej główce coś zaświtało.

Patrząc, jak David i Christopher wymieniają przysięgę małżeńską, otoczeni tłumem najpiękniejszych mężczyzn w Londynie, rozpoznałam w swoich uczuciach wobec Christophera zwykłą zawiść. Zmarnowałam własną szansę z Tolkienem, a tu mój najlepszy przyjaciel stał przed swoją wielką szansą na szczęście, podczas gdy ja mogłam jedynie służyć za żywy dowód mądrości słów Gore Vidala: „Ilekcroć mój przyjaciel odnosi sukces, ja po trosze umieram”.

- Do cholery z tym wszystkim - powiedziałałam wściekle, nie zamierzając powiedzieć tego na głos, a już na pewno nie w środku ceremonii, ale stało się.

- Co masz na myśli, Jane? - David odwrócił się do mnie, z niepokojem na twarzy. - Co masz przeciwko zaproszeniu potem gości na wino i przekąski, i oczywiście filet mignon?

- Nie to miałam na myśli - powiedziałałam ze szlochem, rzucając mu się w ramiona. - Chciałam powiedzieć, że cię kocham i naprawdę chcę, żebyś był zawsze szczęśliwy. Zawsze.

Pogładził mnie po włosach, nie od niechcenia, ale z czułością, jakby udzielał mi błogosławieństwa.

- Wiem, Jane.

- I... - chlupałam - ja wiem, że to nigdy nie był twój pomysł, żeby... no wiesz. Wiem, że to wszystko moja wina.

- Tak, Jane. - Uśmiechnął się. - O tym też wiedziałem.

- Hm, hm - zakasłał ksiądz. - Czy mogę...?

Kiedy ogłosił ich parą - i może to była jeszcze jedna różnica między tym a innymi ślubami, na których byłam

- wyraziłam swoją radość, mając nadzieję, że nie wyglądało to nieszczerze.

Podczas przyjęcia mój najlepszy przyjaciel był na tyle hojny, żeby kosztem swojego ukochanego poświęcić mi trochę czasu.

- Wiesz, Jane - powiedział, kiedy stanęliśmy w cichym kącie, sącząc wykwintnego szampana (okej, powiedzmy, że ja swojego żłopałam) - ja potrafię sobie wyobrazić, co dzisiaj przeżywasz.

- Tak?

- Tak. Patrzysz na mnie i na Christophera, na nasze wspólne szczęście, ze świadomością, że mogłabyś mieć dokładnie to samo z Tolkienem, gdybyś tylko zechciała zrezygnować z udawania do końca ciąży po to, żeby twoja rodzina i znajomi z pracy byli dla ciebie miłsi.

- Wiesz, ja naprawdę chciałam zobaczyć, jak to jest w tym „pięknym wspaniałym świecie”.

Widziałam, że jest na mnie wkurzony.

- Od miesiący gadasz mi i gadasz o tym „pięknym wspaniałym świecie”. Jane, nie ma pięknego wspaniałego świata! Jest życie. Jest życie i jest świat urojeń. Musisz wybierać.

I wtedy mu o wszystkim powiedziałam. Całą prawdę o swoim pakcie z diabolicą Alice.

- Widzisz więc - skończyłam, mówiąc przesadnie podnieconym tonem, wskazującym na przyzwoitą dawkę pochłoniętego szampana - że nie mogę się z tego wszystkiego wycofać, prawda? Teraz, kiedy moja książka ma szansę stać się ultragalaktycznym bestsellerem i...

- Ultragalaktycznym bestsellerem? Istnieje w ogóle takie słowo jak ultragalaktyczny?

Dziwne, zamiast mi współczuć, był wyraźnie zły.

- Odrzuciłaś szansę na prawdziwą miłość dla ultragalaktycznego bestselera?

- Nie przeszkadzało ci, kiedy odrzuciłam prawdziwą miłość, żeby rodzina i znajomi byli dla mnie miłsi.

- Czy ja kiedyś powiedziałem, że mi nie przeszkadzało? - Pokręcił głową. - Poza tym odrzucenie prawdziwej miłości z tamtego powodu było szaleństwem, ale szaleństwo może być jakimś usprawiedliwieniem. Ale dla pieniędzy? Dla ultragalaktycznego bestselera?

- Ale ja...

- Czy ty masz pojęcie, jak rzadka jest prawdziwa miłość? Nie, widocznie nie masz. Prawdziwa miłość jest czymś, dla czego ludzie żyją, Jane, i jest rzadka, bardzo rzadka, ultragalaktycznie rzadka. Większość ludzi łąduje w jakichś związkach, żeby się ustatkować - po to, żeby mieć towarzysza, kogoś, kto jest w miarę przyzwoity - albo przekonują samych siebie, że znaleźli miłość, podczas gdy naprawdę znaleźli o wiele mniej. Ale ty miałaś szansę, Jane, prawdziwą szansę na wyjątkowe życie, i odrzuciłaś ją. I w imię czego?

Zaczęłam mu opowiadać o innych powodach, o tym, jak bałam się przyznać do swoich kłamstw, o tym, że nie mogłam się zdobyć na zranienie Dodo i wymyślenie ponurego końca swojej ciąży. Ale David był nieugięty.

- Nie obchodzi mnie twoje te czy inne powody. - Delikatnym, ale zdecydowanym gestem ujął w dłoń moją twarz. - Obiecuj mi coś, Jane.

Skinęłam głową.

- Obiecuj mi, że... jeśli nie możesz się zdobyć na to teraz, obiecuj mi, że kiedyś, nawet jeśli to będzie za kilka lat, znajdziesz Tolkiena choćby na końcu świata. Powiesz mu, co zrobiłaś, co naprawdę do niego czułaś, i pozwolisz mu zdecydować, co dalej.

Jaki miałam wybór? Nie można odmówić spełnienia prośby swojego najlepszego przyjaciela w dzień jego ślubu.

- Obiecuję - powiedziałam z wściekłością, ale musiałam mieć mokre oczy, bo David sięgnął po chusteczkę i otarł je z łez.

- Proszę cię, Jane, nie bądź smutna.

- Nie jestem smutna. - I w tamtej chwili nie byłam.
- Jestem taka szczęśliwa. Mojemu najlepszemu przyjacielowi udało się znaleźć tę rzadką prawdziwą miłość i nawet był na tyle mądry, żeby coś z tym zrobić.

I gdy kilka godzin później machałam im na pożegnanie przed wyjazdem w podróż poślubną, trzymałam w ręce bukiet i starałam się utrzymać na twarzy uśmiech czystej radości z powodu ich szczęścia. Być może w tych psychologicznych teoriach jest sporo racji - że jeśli ktoś nosi uśmiech jak parasol, zaczyna czuć się szczęśliwszy również w środku - bo czułam, jak poprawia mi się nastrój, przynajmniej na chwilę.

W końcu poczułam się gotowa wziąć odpowiedzialność za drugą istotę. Ale za kogo? Tolkien nie wchodził w grę, a David nie potrzebował mnie już tak jak dawniej.

Na herbatę do Ritza poszłam, żeby przeboleć rozczarowanie, jakim była wiadomość, że nie polecę do Nowego Jorku. Moja sztucznie luzacka serdeczność na ślubie Davida miała mi pomóc dojść do siebie po spotkaniu Tolkiena w Ritzu. Teraz musiałam się jakoś otrząsnąć po szczęśliwym zamążpójściu swojego najlepszego przyjaciela.

Nigdy nie zrozumieję, skąd mi się wziął nagły wpływ siły tamtego dnia; nigdy nie byłam amatorką spacerów na długie dystanse, zwłaszcza jeśli w zasięgu ręki była taksówka albo stacja metra. A był to wstrętny listopadowy dzień, pochmurny i wilgotny, jeden z tych dni, kiedy człowiekowi nigdy nie jest ciepło i zaczyna rozumieć, o co chodziło Guyowi Fawkesowi*, bo taka pogoda nawet zdrowego na umyśle człowieka może sprowokować do wszczęcia rebelii. Ale co tam: otuliłam się ciaśniej płaszczem, podniosłam kołnierz i stawiając

* Guy Fawkes (1570-1606) - uczestnik spisku prochowego, ujęty w podziemiach parlamentu w przeddzień zamachu; stracony (przyp. tłum.).

nogę za nogą, szłam dalej. Wkrótce - no, tak naprawdę droga z Picadilly musiała mi zająć sporo czasu - znalazłam się przed Szpitalem Królewskim, nie bardzo wiedząc, jakim cudem tam doszłam.

Z jakichś niezrozumiałych powodów szpital wydał mi się o wiele ciekawszym miejscem niż którykolwiek ze sklepów w okolicy. Skoro już tu jestem, pomyślałam sobie, czując się trochę jak Alicja w krainie czarów, kiedy z wysiłkiem otworzyłam ciężkie drzwi, równie dobrze mogę wejść do środka i porozglądać się.

To był mój pierwszy kontakt z instytucją opieki medycznej od dnia, w którym próbowałam namówić kobiety w przychodni, żeby sprzedały mi zdjęcie USG. Tym razem jednak, z wyprzedzającym mnie o takt albo dwa brzuchem, zostałam przyjęta znacznie cieplej.

- W czym mogę pomóc? - spytała pielęgniarka z recepcji, z uśmiechem, który mówił, że zważywszy na mój stan, nic, o co poproszę, nie sprawi jej nadmiernego kłopotu.

- Gdzie jest oddział noworodków?

- A nazwisko dziecka, które chce pani zobaczyć?

- Weszła na odpowiednią stronę w swoim komputerze.

Boże, pomyślałam. Nazwisko? Muszę wymyślić nazwisko?

- Smith - wypaliłam po długim zastanowieniu.

- Robert czy Julia?

- Och, Julia. Oczywiście, że Julia.

- Proszę pójść prosto korytarzem do końca i windą wjechać na siódme piętro, potem skręci pani w prawo i dojdzie do przeszklonej ściany.

- Dziękuję.

Ruszyłam we wskazanym kierunku, przy czym połowa mnie gnała do przodu, a druga połowa wlokła za sobą nogi, jak gdyby groziło mi, że kiedy tam dotrę, nie będzie drogi odwrotu.

Podłoga na siódmym piętrze lśniła jak lustro. Kiedy

zatrzymałam się przed przeszkloną ścianą oddziału noworodków, nadal coś mnie ciągnęło i coś odpychało.

- Stojąc za szybą, nie robi im pani krzywdy - usłyszałam głos przechodzącej pielęgniarki. - Może pani podejść bliżej.

Zbliżyłam się o krok.

Boże, jakież one były dziwne, te niemowlaki. Krzywiły swoje małe buzie w taki sposób, że trudno było zgadnąć, czy szykują się do płaczu, czy wypuszczają gazy. A może nawet wyrażały skomplikowane myśli na swój własny pozajęzykowy sposób? Kto wie?

Byłam pewna, że ich czapeczki, chroniące główki przed zmarznięciem, będą różowe albo niebieskie jak w telewizji, tymczasem wszystkie były w identycznym kremowym kolorze, i żeby znaleźć Julię Smith, musiałam czytać wszystkie po kolei tabliczki z nazwiskami.

Znalazłam ją! Całkiem ładne dziecko. Nie najładniejsze z nich wszystkich, ale na pewno nie tak odpychające jak to o wyjątkowo pomarszczonej buzi z sąsiedniego łóżeczka. Pomarszczone mogli sobie zatrzymać. Właściwie gotowa byłabym zakończyć etap W.C. Fieldsa* i zacząć myśleć o tych maleńkich formach życia jak o czymś więcej niż maszynkach do brudzenia pieluch, ale nie miałam zamiaru popaść w przesadę i dołączyć do armii głupawych istot, które gruchają nad każdym miniaturowym ubrankiem i uważają, że każdy poniżej lat sześciu powinien mieć zagwarantowaną licencję aniołka.

Gdyby jednak przydarzyła mi się taka możliwość, przypuszczam, że mogłabym pogruchać nad Julią, dotknąć palcem jej policzka, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest tak delikatny.

Dziwne: kiedy patrzyłam na te niemowlęta, czułam,

* W.C. Fields (1880-1946); amerykański aktor komediowy, autor m.in. takiego aforyzmu o dzieciach: „Lubię dzieci. Jeżeli są dobrze przyrządzone” (przyp. tłum.).

jakby się we mnie coś ruszało. I nagle przestały mi się wydawać istotami z innej planety.

Były nadzieją.

Nie chodziło o to, jak wyglądają, i naprawdę, zdecydowanie, absolutnie nie zamierzałam upodobnić się do tych zdziecinniałych ludzi, którzy twierdzą, że one wszystkie są śliczne, ale patrzenie na nie było jak oglądanie małego oceanu możliwości. Każde z tych dzieci było jakimś potencjałem ludzkim.

Przypuszczam, że nie byłam pierwszą osobą, której przyszła do głowy ta myśl, ale przeze mnie nie przemawiał romantyczny idealizm: wiedziałam, że nie wszystkie wyrosną na świętych Augustynów; wiedziałam, że jedno z nich może zostać Kubą Rozpruwaczem. Ale pięknie było na nie patrzeć, wiedząc, że każde jest jeszcze pustą kartą, a czym się staną, okaże się w przyszłości.

Moje dziecko mierzyło teraz, statystycznie rzecz biorąc, czterdzieści pięć centymetrów i ważyło ponad dwa kilogramy. Bardzo intensywnie rozwijał się jego mózg. Słyszało i widziało. (Wyobrażacie sobie, co by było, gdybym naprawdę nosiła w sobie dziecko, które widziałyby i słyszało, jakie szaleństwa wyprawia jego mamusia? Pewnie skończyłoby się pierwszym w historii przypadkiem, w którym płód wystąpiłoby o rozwód z matką z orzeczeniem jej winy). Większość jego narządów była dobrze ukształtowana, ale płuca mogły być jeszcze nie w pełni dojrzałe. Gdyby dziecko urodziło się teraz, miało znakomitą szansę na przeżycie.

Jednak w mojej sytuacji, zabrnąwszy tak daleko, równie dobrze mogłam je donosić, gdyby to w ogóle było możliwe.

dziewiąty miesiąc

Zmierzając nieubłaganie ku nieuniknionemu zakończeniu tego, co lekkomyślnie rozpoczęłam blisko dziewięć miesięcy wcześniej, znalazłam się w stanie przypominającym schizofrenię. Miotałam się pomiędzy krańcowym stadium zmęczenia i szaleńczej aktywności, czując coraz większe podniecenie, a jednocześnie coraz większy lęk. Miałam jeszcze poważniejsze trudności z zasypianiem, a kiedy już zasnęłam, moje sny były tak błogie, że budziłam się z uczuciem strachu. Byłam zniecierpliwiona, nie mogłam się doczekać chwili, kiedy to wszystko się skończy, i czułam się udręczona niecierpliwie wyrażanym pragnieniem ze strony innych, żebym miała to wreszcie za sobą. Najczęściej jednak z ulgą myślałam, że to już niedługo.

Trwały ostatnie przygotowania do przyjścia na świat, co mogło z pełnym bezpieczeństwem nastąpić w każdej chwili. Płuca były dojrzałe. Dziecku przybyło następnych pięć centymetrów długości i ponad kilogram wagi. Statystyki wykazują, że przeciętna waga urodzeniowa wynosi około trzech i pół kilograma, a długość ciała około pięćdziesięciu centymetrów. Oczywiście, ponieważ ja byłam drobna i tak bardzo uważałam, żeby w swojej ciąży nie przybrać nadmiernie na wadze, miałam nadzieję, że moje dziecko będzie mniejsze, a tym samym łatwiej je będzie urodzić, chociaż nie chciałabym raczej, żeby było maleńkie jak lalka. Płód mógł się wydawać teraz mniej

ruchliwy, ale to był tylko spokój przed burzą - a burza mogła nadejść naprawdę w każdej chwili.

Robiłam zakupy spożywcze w najbliższym Marks & Spencer, kiedy popchnęłam swoim dziewięciomiesięcznym brzuchem poręcz wózka (efekt domina), wózek ruszył do przodu i zatrzymał się na tyłku wysokiego mężczyzny, który oglądał coś na najniższej półce.

- Ty głupia krowo... - zaczął, odwróciwszy do mnie wściekłą twarz, ale cofnął się gwałtownie, jakby w obawie, że spróbuję go najechać powtórnie. Wtedy zobaczył, kim jest głupia krowa. - Boże! - wrzasnął Trevor. - Jane!

- Boże! Trevor! - Ja też się cofnęłam, burząc piramidę puszek z kukurydzą. - Co ty tu robisz? Myślałam, że jeszcze kilka miesięcy będziesz robił jakieś interesy giełdowe w Azji.

- Ja też tak myślałam, ale ściągnęli mnie z powrotem. Chyba jestem im bardziej potrzebny tutaj niż tam. - Wyglądało na to, że nie może oderwać swoich przerażonych oczu od mojego ogromnego brzucha. - Boże! Jak ty wyglądasz?! Nie mogę uwierzyć, że posunęłaś się tak daleko! Byłem pewien, że po moim wyjeździe pójdziesz po rozum do głowy, może powiesz swojej rodzinie i znajomym, że to była pomyłka, na przykład jakaś ciąża urojona, o których teraz tyle się słyszy. W życiu bym nie przypuszczał, że zdobędziesz się na coś takiego...

- No tak. - Byłam na tyle uprzejma, żeby spojrzeć na siebie z zakłopotaniem. Ale niezbyt dużym.

- Co zrobisz, kiedy upłynie dziewięć miesięcy, co zdaje się powinno nastąpić lada moment? Przecież nie możesz być w ciąży przez resztę swojego życia - w końcu ludzie potrafią liczyć. A na ciążę urojoną to chyba trochę za późno.

- Na pewno masz rację, ale nie wybiegam w swoich planach tak daleko w przyszłość.

- Tak daleko?! - Podniósł głos prawie do wrzasku.

- Nie wybiegasz w swoich planach tak daleko w przyszłość???

- Zechciej zniżyć głos. Chcesz, żeby wszyscy słyszeli?

- Czy chcę, żeby wszyscy słyszeli? - Położył ręce na biodrach i kiwnięciami głowy potwierdzał własne słowa.

- Może i tak. Może właśnie tego chcę. Myślę, że najwyższa pora pokazać, kim jesteś naprawdę. Nie można pozwolić, żebyś manipulowała ludźmi, igrała ich uczuciami. Ktoś musi cię powstrzymać!

Odsunęłam na bok wózek na zakupy i wypaliłam mu prosto w twarz:

- Thames Waterways.

- Co powiedziałaś? - zapytał piszczącym głosem i zbladł.

- Powiedziałam: Thames Waterways, ty zarozumiały dupku.

- Ale skąd ty...

- Za łóżkiem. Którejś nocy musiałeś zasnąć, przeglądając dokumentację swoich kantów.

- Proszę cię, Jane, mów ciszej.

- Potem - zlekceważyłam jego błagalną prośbę - kiedy postanowiłeś porzucić mnie i moje dziecko...

- Przecież wiesz, że to nie było tak!

- ...tak ci się śpieszyło, że musiałeś zapomnieć, że trzymałeś te papiery w domu.

- Proszę. Co mam zrobić, żebyś się uciszyła?

- Chcesz mnie uciszyć? Urząd skarbowy z radością dobrałby ci się do tyłka. Jestem też pewna, że i twój pracodawca chętnie by się dowiedział, ile pieniędzy zarobiłeś na wykorzystywaniu poufnych informacji.

- Nie zrobiłabyś mi tego!

- Tak, nie zrobiłabym? Wiesz, co ci powiem, Trevor? Ty i ja zawrzemy układ. Ty zachowasz dla siebie moją małą tajemnicę, a ja będę na tyle dobra, żeby nie wsadzić cię na całe lata do więzienia. - Chwyciłam swój wózek i jeszcze raz go staranowałam. - Ale teraz zejdź mi z drogi. Moje dziecko i ja mamy do zrobienia zakupy.

To była ta magiczna godzina, która zdarza się w Londynie tylko raz do roku, w dzień Bożego Narodzenia.

Wybiła dokładnie druga w nocy, a ja byłam sama w domu i nie mogłam zasnąć. Właściwie byłam sama od wczesnego popołudnia, kiedy wyszłam razem z innymi z pracy. Och, zapraszało mnie mnóstwo ludzi - wszyscy chcieli dotrzymać mi towarzystwa, zwłaszcza że zbliżał się termin mojego porodu - ale nie skorzystałam z ich propozycji. Nie zniosłabym następnej porcji matczynych rad mojej matki i Sophie dotyczących dziecka, które nie istniało, ani wylewnej serdeczności Dodo, która właśnie wróciła z Nowego Jorku, gdzie poznała Monę Shakespeare. Jeśli chodzi o Constance, kto wie, jakiego koloru szkła kontaktowe założyłaby na ten wyjątkowy wieczór? Na samą myśl, że patrzyłaby na mnie z troską czerwono-zielonymi oczami, dostawałam dreszczy.

To był dobry wieczór na to, żeby spędzić go w samotności i zrobić życiowy bilans. Nie miałam nawet ochoty na żadne alkoholowe rozweselacze. Nie, ostatnie kilka godzin spędziłam na przemyśleniu ostatnich dziewięciu miesięcy. I kiedy przeżywałam je od nowa, doszłam do wniosku, że w jakimś sensie ta udawana ciąża mnie odmieniła. Może wszystkie kobiety zmieniają się w ciąży. Może to sprawa hormonów, może nie - kto to może wiedzieć?

Zrozumiałam również, że David miał rację: jedynym wyjściem dla mnie, żeby zrobić krok do przodu, było przyznać się do wszystkich kłamstw... wszystkim. Nie obchodziło mnie już, czy „Szmaciane dziecko” zostanie wydane, nawet jeśli miało szansę na ultragalaktyczny sukces.

Drobna korekta - wciąż mnie obchodziło, ale już nie tak, bo zdałam sobie sprawę, że mój ultragalaktyczny sukces jako pisarki i poniesienie odpowiedzialności za to, co zrobiłam, były wzajemnie wykluczającymi się sprawami.

Pozostawała mi tylko jedna rzecz, którą mogłam zrobić.

- Proszę cię, bądź tam, proszę bądź, proszę bądź - szeptałam do siebie, wykręcając numer.

Jeden sygnał, drugi.

- Halo? - powiedział zupełnie trzeźwym głosem.

- To ja, Jane. Muszę z tobą porozmawiać. Mogę przyjść?

Eskimosi mają chyba siedemdziesiąt dwa słowa na opisanie różnych wariacji na temat, który my Anglicy postrzegamy jako śnieg. Ale choć mamy tylko to jedno słowo, bożonarodzeniowy śnieg w Londynie jest o wiele życzliwszy od śniegu, pod którym James Joyce grzebał swoich dublińczyków w „Umarłych”, i spadające teraz wolno tłuste płatki, łączące się w powietrzu z czerwonymi, złotymi i zielonymi światłami zamkniętych sklepów, które mijałam, stanowiły doskonałą ilustrację tej strony natury Charlesa Dickensa, która nosiła piętno doktora Jekylla.

Wysłałam zobaczyć się z Tolkienem i postanowiłam iść na piechotę.

Londyn jest miastem do spacerowania, a on mieszkał niezbyt daleko ode mnie, nie mówiąc o tym, że o złapaniu taksówki o tej porze w tę noc mogłam tylko marzyć. Poza tym dawało mi to więcej czasu na zastanowienie się, co chciałam mu powiedzieć: prawdę, rzecz jasna, ale nie zaszkodzi, pomyślałam, przygotować się do prezentacji.

Pewna byłam jedynie tego, że powinien usłyszeć prawdę przed wszystkimi innymi. Tak jak prawdziwy ojciec zasługiwał na to, żeby dowiedzieć się pierwszy, że będzie miał dziecko, Tolkien zasługiwał na to, żeby pierwszy usłyszeć, że ja nie będę miała żadnego dziecka.

Wcześniej przez telefon wyjaśnił, że on też odrzucił wszystkie propozycje towarzyskie, woląc spędzić święta samotnie. Zgłosił nawet chęć pracy w ten wieczór i niedawno wrócił do domu, ale nie był jeszcze zmęczony.

- Będę u ciebie niedługo - powiedziałam i odłożywszy słuchawkę, zaczęłam się szykować, wyjąwszy naj-

pierw szmaciane dziecko; tym razem tylko dla bezpieczeństwa.

Ulice londyńskie o tej magicznej porze, która zdarza się tylko raz do roku, są praktycznie wyludnione. Prawie wszyscy są ze swoimi bliskimi, a reszta pije samotnie; wszystko jest pozamykane. Jedyymi ludźmi, których można spotkać, są policjanci, ludzie szukający kłopotów i rozdarte dusze.

To tych, którzy szukają kłopotów, powinny się bać samotne dziewczyny.

Nawet jeśli wszyscy tej szczególnej nocy byli w nastroju „szczęść Boże nam wszystkim”, gdybym wyszła na ulicę, mogłabym się narazić na zaczepki. Ale zdążywszy się przekonać, że nawet ci, którzy nie są mili dla nikogo, traktują ciężarne kobiety z większą uprzejmością, po raz ostatni założyłam pod ubranie swoje szmaciane dziecko.

I tak oto byłam Ciężarną Jane na świątecznej przechadzce.

Postanowiłam, że zacznę od samego początku. Powiem Tolkienowi, że najpierw chciałam wyjść za mąż jak wszystkie inne kobiety, mniejsza o to, czy Trevor był właściwym kandydatem, czy nie; o tym, że przez jakiś czas myślałam, że naprawdę jestem w ciąży, potem udawałam, mając nadzieję, że w końcu w nią zajdę, a później postanowiłam udawać dalej, znów, żeby być jak inne i mieć to, co mają one. Zamierzałam powiedzieć mu o pomysłe Alice, choć to raczej na końcu.

Trudno było się przyznać, że stałam się taką osobą, z jakich się kiedyś wyśmiewałam: tak jak wielu innych ludzi chciałam mieć pewne doświadczenia - małżeństwo, dziecko - nie żebym tego szczerze pragnęła, ale dlatego, że mając te normalne rzeczy, stałabym się bardziej normalna.

Zastanawiałam się, jak mogę powiedzieć to wszystko, nie ukazując się w nieprawdopodobnie złym świetle, i kiedy doszłam do wniosku, że to niemożliwe, zbliżałam się do kamiennego kościoła.

Przypuszczam, że gdybym dalej szła ze spuszczoną

głową, mogłabym nie zauważyć... Ale podniosłam wzrok. Czy to cichutki płacz odciągnął moją uwagę od własnych myśli? Być może, nie wiem. W każdym razie spjrzałam przed siebie i zobaczyłam skuloną postać, która pochyliła się i położyła coś delikatnie na schodach kościoła.

Zatrzymałam się, patrzyłam.

Postać wyprostowała się, przez moment stała nieruchomo, potem jeszcze raz się pochyliła, wyciągnęła rękę i chyba pogładziła coś, co położyła na stopniu schodów. Potem znów się wyprostowała i odeszła w przeciwnym do mnie kierunku.

Kiedy ruszyłam się z miejsca, musiała usłyszeć moje kroki - teraz widziałam, że to na pewno kobieta - bo odwróciła się i spojrzała na mnie, ze strachem i smutkiem na twarzy. Po chwili odwróciła się gwałtownie i zaczęła biec, oglądając się od czasu do czasu przez ramię, żeby sprawdzić, czy jej nie gonię. Biegła coraz szybciej, w końcu zniknęła za rogiem przecznicy.

Wróciłam na schody kościoła, żeby zobaczyć, co tam zostawiła. Musiałam, prawda?

To mogło być coś niebezpiecznego, na przykład bomba. Nawet ja miałam trochę poczucia odpowiedzialności obywatelskiej. W przypadku bomby powinnam zawiadomić odpowiednie służby.

To oczywiście nie była bomba.

Pochyliłam się nad czymś, co okazało się wiklinowym koszykiem z miękkim kocykiem w środku. Wyciągnęłam niepewnie rękę i odchyliłam rąbek kocyka.

W środku było śpiące niemowlę, maleńkie, jakby dopiero urodzone. Mój ruch musiał je obudzić, bo wolno otworzyło zaspane oczy i spojrzało na mnie, całkiem, jak mi się wydało po chwili, przytomnym wzrokiem.

- Cześć - powiedziałam łagodnie, przeciągając palcem po jego policzku. - Jak to możliwe, że ktoś się zdobył na to, żeby cię tu zostawić?

Uświadomiłam sobie, że nawet nie wiem, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Boże, czymkolwiek było, było śliczne.

- Ghuu - zagruchało do mnie.

- Ty też ghuu - odpowiedziałam. Boże, nie miałam pojęcia, że potrafię wydobyć z siebie taki dźwięk.

Wiem, że powinnam była je natychmiast zanieść na jakiś komisariat albo oddać innym właściwym służbom, ale nie sądzę, żebym myślała wtedy trzeźwo. Albo może myślałam trzeźwo, może po raz pierwszy w życiu myślałam trzeźwo.

Jak grom z jasnego nieba spadła na mnie świadomość, że wreszcie jestem gotowa mieć dziecko. Gotowa byłam ustąpić pierwszeństwa innej ludzkiej istocie.

Właściwe służby mogły zostać w to włączone w odpowiednim czasie. Teraz naprawdę ważne było to, że miałam dziecko do wychowania, dziecko, które potrzebowało mnie tak, jak ja jego.

Podniosłam je wolno z kocykiem, koszyk zawiesiłam na ręce, na wypadek, gdybym potrzebowała go do czegoś później. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy taki koszyk może okazać się przydatny, prawda?

- Ghuu - szepnęłam znowu, przytulając niemowlę do piersi. - Chyba nie chcesz zostać w tym koszyku na zawsze, prawda? Chcesz być tam, gdzie jest bezpiecznie. No, no... Już cię mam.

Potem ruszyłam przed siebie, trzymając mocno dziecko, idąc krok za krokiem, aż dotarłam do celu.

Otworzył drzwi, a ja stałam przed nim ze szmacianym dzieckiem na brzuchu i prawdziwym niemowlakiem na ręku.

- Tolkien... - odezwałam się - mam ci coś do powiedzenia.